MIESIĘCZNIK
1(88) STYCZEŃ 1990 CENA 3900 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35838













Salvatore Dali ze swoją przyjaciółką i modelką Amandą Lear

Grałem wariata, żeby naprawdę nie zwariować...

Tak tłumaczy się ze swych ekstrawagancji Salvadore Dali, człowiek, który jak nikt inny na świecie odważył się mówić o sobie publicznie jako o geniuszu. *Geniusz Salvadora Dali jest wieczny i nie zaginie. Mogą we mnie umrzeć fizyczne protony i neutrony, choć uważam, że są one najbliżej sfery niebiańskiej. Genialny duch trwać będzie w falach wiecznej światłości.*

Ile w tym racji, potrafi ocenić tylko ten, kto choć raz przejrzał któryś z albumów z jego obrazami i rzeźbami. Ci zaś, którym udało się, jak mnie zeszłego roku we Wiedniu, obejrzeć oryginały jego prac – do końca życia pozostaną pod nieprzepartym wrażeniem i urokiem wielkości ich twórcy. Na różne przemyślne sposoby ośmieszał siebie w publicznych happeningach, wyrażając opinie, które budziły szok wśród słuchaczy. Ukazywał w swych dziełach fantastycznie karykaturalne postaci zwierząt i ludzi, po to, by narażając się na śmieszność, na krytykę, oskarżyć i wyśmiać swoje czasy. Choć trzeba to od razu powiedzieć – była to krytyka artysty zakochanego mimo wszystko w świecie.

W „Los Caprichos" Goyi, w tych karykaturach, które można było obejrzeć niedawno w Wilanowie, komizm stale przechodzi w okrucieństwo. U Dalego natomiast nawet w najokrutniej przedstawionych sytuacjach dostrzega się przede wszystkim cudowność krajobrazów, piękno ciał ludzkich i zwierzęcych, nawet deformacje zmuszają tylko do moralizujących refleksji. Ten Stańczyk hiszpański nie budził ani nienawiści, ani jednego z najbardziej rozpowszechnionych ziemskich uczuć – zawiści. Całe jego życie (wraz z wyglądem: szpiczasta bródka, komiczne wąsiki, nastroszone włosy) celowo chyba przypominało żywot Don Kiszota i miało być jednym z wariantów donkiszoterii.

Ktoś napisał niedawno, że ojcem postmodernizmu był Picasso, a także Braque. Mnie zaś się wydaje, że prawdziwy sprawca postmoderny, romantycznego ruchu, który nastał podczas tegowiecznych karesów nauki i racjonalizmu, to właśnie Dali, ze swą zrodzoną z nauki, a skierowaną w końcu

dokończenie na stronie 15



...3...2...1...



Wiosna Narodów

Ach, ta kokieteryjna zapyziałość krakowska, która z autora „Wysokiego Zamku", twórcy dziesiątków powieści fantastycznych oraz legitymacji, wypisywanych w dzieciństwie dla uporządkowania rządu dusz w byłej stolicy Galicji – zrobiła, ni mniej ni więcej, krakusa. Przepraszam – krakowianina, jak brzmi dostojny podpis pod całostronicowym zdjęciem Stanisława Lema w miesięczniku, eksponującym całą wspaniałość a zarazem i prowincjonalność dzisiejszego miasta pod Wawelem, zwanym jak i ono „Kraków".

Dobrze pamiętam, że początkowo zarówno Staszkowi Lemowi, jak i mnie, nie bardzo szło pod tym cudownym Wawelem, pośród wspaniałych murów i innych staroci.

Staszek wtedy urządzał wędrówki nad Rudawę – na randki z dziewczyną i na spacerki z dużym, pięknym wilczurem. To było zresztą bardzo blisko od jego Śląskiej ulicy. Pisywał także, oprócz fantastyki, scenariusze do wojennych filmów i jakoś nic z tego nie wychodziło. Za to drukował, tak jest, drukował już wiersze w „Tygodniku Powszechnym". Był to także okres jego, niechętnie widzianego przez ówczesnych mocodawców kultury, „Szpitala Przemienienia", którego początkowe trudności wydawnicze skłoniły Staszka do ucieczki w SF, gdzie mógł napisać wszystko czy prawie wszystko co było oficjalnie zakazane. Wydaje mi się jednak, że bez tego co opisał w „Wysokim Zamku" – bez atmosfery przedwojennego Lwowa, a także bez atmosfery tych dramatycznych przeżyć i przygód z czasów okupacji we Lwowie, właśnie we Lwowie, nie byłoby możliwe wszystko co otworzyło przed nim księgi i ekrany świata. Nie byłoby także spotkań kosmicznych i antycypacji konfliktów, przez te spotkania człowieka z nieznanym, przewidzianych słusznie i prawdziwie.

Należało więc chyba pod zdjęciem Lema napisać jednak – lwowiak, oddając w ten sposób jakieś honory miastu, które go ukształtowało, no niech będzie lwowiak-krakus. To byłoby adekwatniejsze. Podobnie należało dać inne zdjęcie, niż to, które się ukazało. Lem nigdy dostojnikiem nie chciał być i nigdy na dostojnika nie pozował. Może jeszcze lepiej byłoby podpisać fotkę lwowianin-krakowianin i trochę wiedeńczyk. Przecież chyba właśnie we Wiedniu powstała zamykająca cykl wielki prawdziwej SF lemowskiego wyrobu – książki, zatytułowanej przez autora „Solaris" – „Fiasko". A może dodać jeszcze do podpisu i Zakopane, gdzie powstawała lwia część twórczości Stanisława Lema. Jednym podpisem można wiele zepsuć i wiele zwalić. Nawiasem mówiąc, w galerii tych postaci krakowskich, nie krakowskich, wielką podobizną Fantasty manifestuje się także typowe dla Krakowa pomieszanie wielkości i zasług. Ale w tym mieście zawsze trochę ściągano i ściąga się za portki miejscowych luminarzy, zanim poniektórzy z nich nie staną się własnością (po emigracji) całego kraju i całego świata. Andrzej Wajda kiedyś o tym pisał w „Kulturze" bodajże, ale nie tej drukującej Merxów i Budnych.

W tym pięknym Krakowie bardziej wzrusza się swoimi co już na świeczniku, lub prawie na świeczniku, niż „chwilą osobliwą" przeżywaną przez cały kraj, a właściwie przez cały świat. Cały współczesny świat. Jestem szczęśliwy i chcę to tutaj publicznie wyznać, bez żenady z ujawniania swych wzruszeń (co było do niedawna nie w modzie) – szczęśliwy z powodu wielkiej fali romantyzmu i związanych z nim bezpośrednio wolnościowych dążeń, przewalającej się z ogromnym hukiem przez nasz kraj i przez świat. Ujawnia się diabelskie oblicze zła, piętnuje morderców z czarnych sotni, zmiata dyktatorów. To idzie jak trąba powietrzna. Wiedziałem, wiedzieliśmy, że kiedyś musi się tak stać, lecz nie spodziewałem się dożycia takiego roku jak niegdyś – 1848. Musiał być podobny ten rok Wiosny Ludów do naszego, który trzeba by raczej dziś nazwać Wiosną Narodów, nie dbającą zresztą o prawdziwe pory roku, czy o układy i konwenanse.

Sztuka, zauroczona złem; zachłyśnięta tym złem – oczekująca raczej niespodzianki – strasznej atomowej – w toku rzeczywistości zbanalizowanej i naiwnej, takiej jaką ukazuje Czesław Miłosz w swym słynnym wierszu, nagle została poddana innej niż przypuszczała, najostrzejszej próbie. Próbie wielkiego i cudownego romantycznego wzruszenia i choć ta próba już trwa, nie zdołała się ze złych uroków otrząsnąć. A romantyczny ruch rozprzestrzenia się z nagła wszędzie, na wszystkich lądach i wśród wszystkich narodów, nie jak dawna Wiosna Ludów w samej tylko Europie.

Znamy historię, choć niestety nie wszyscy – młodzież słabo jej uczono. Wiemy i trzeba to tutaj także powiedzieć – że po tamtej Wiośnie nastała najczarniejsza reakcja i trwała bardzo, bardzo długo. Pamiętamy też o śmierci wielu ówczesnych bohaterów. W potyczce z Austriakami ginie wtedy przywódca powstania krakowskiego, we Lwowie, na Hyclowskiej Górze okupant wiesza powstańców Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, tysiące młodzieży zamyka w kryminałach. Armaty ze szczytu Wronowskiej Góry (Cytadeli Góry) tak wycelowano, żeby zniszczyć największe zbiory biblioteczne, pogrześć kulturę. Istnieją dwie szkoły: jedna twierdzi, że historia się nigdy nie powtarza, druga wskazuje na zadziwiające zbieżności ludzi i zdarzeń w różnych epokach. Prawdopodobnie obie mają po trochu rację. Jednakże wiedza współczesna uczy nas równocześnie dziwności świata, wychodzenia poza tęże samą wiedzę w nie mające stałego gruntu meandry prawdy. Fizycy współcześni, najlepiej znający materię – w ogóle nie widzą jej taką, jaką my znamy na co dzień. Świat komplikuje się coraz bardziej, gdy chwieją się prawa i wizje nauki. Gdy nauka, równocześnie z dobrodziejstwami, okazała się przy tym bezlitosną niszczycielką krajobrazów, powietrza i wody. Cokolwiek się więc stanie, jutro nie zmieni już nigdy wielkości i historyczności tego co z narodami dzieje się dzisiaj. Nie bójmy się więc zmierzchu świata wyrozumowanego, jasnego, klarownego. Sam Lem, który tak zawsze chwalił naukę, coraz częściej wskazywał na jej potknięcia i mielizny. Jego fantastyka w dużej mierze przyczyniła się do burzenia murków nauki. To on doprowadził do spopularyzowania wielkich i ważnych problemów, do ich rozpowszechnienia i lepszego powszechnego rozumienia. W ten sposób utorował drogę populistycznym formom romantyzmu. Fantastyka najpierw, gdy on ją zaczął pisać, służyła rozrywce i przestrodze maluczkich. Siła intelektualna prozy Lemowskiej dźwignęła ją do poziomu lektury dla intelektualistów, skąd jak zawsze prowadziła droga do popularyzacji, do rozpowszechnienia w populistycznych formach danego gatunku sztuki. Skromna nasza i nie tylko nasza fantastyka służy przede wszystkim upowszechnianiu ideałów romantycznych – co jest niczym innym jak uczestnictwem w walce dobra ze złem, o panowanie nad światem, o rząd dusz. W tych zmaganiach trzeba mieć nie tylko dużo siły ale i także cierpliwości. Należy pamiętać, że obok chleba naszego powszedniego chodzi o sprawy i rzeczy o wiele ważniejsze. Bądźmy więc pełni w tym okresie nadziei i wzruszenia. Przecież wzruszeniu już mało kto potrafi się dziś oprzeć.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latala (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Hanna Sosińska-Balcer, Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Rafał A. Ziemkiewicz (kier. działu publicystyki).
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel.: 29-83-28, 28-86-41; fax: 28-61-36; telex: 814461, 814462, 814463, 814464 (redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń). Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Nakład 167 000 egz. Zam. z. 3563/89

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 |

| Oddano do składu 3 listopada 1989 r.

Lądowanie LXXXIII

Niech na pierwszy ogień pójdzie list, który bardzo nas ucieszył. Dowodzi on, że mimo wzrostu cen, mimo wielu niedociągnięć fantastyki jako gatunku – ludzie w nią wierzą, ufają w jej popularność, w jej siłę oddziaływania. No i mamy! Mamy pierwszą w Europie Środkowej specjalistyczną księgarnię SF.

***W Gdańsku powstała firma „Hobbit”**, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, która otwarła w połowie listopada specjalistyczną księgarnię z fantastyką i fantasy. „Hobbit” prowadzi sprzedaż wszystkich pozycji związanych z szeroko rozumianą SF. Są więc i książki, i gry, i komiksy, i plakaty, a także fanziny. Dostępne są te pozycje także w sprzedaży wysyłkowej. Osoby zainteresowane otrzymywaniem nowości wydawniczych proszone są o kontakt, który dzięki uprzejmości redakcji „Fantastyki” nawiązujemy. Piszcie państwo pod adresem **„Hobbit”, sp. z o.o., ul. Dunikowskiego 7 D/7, 30-526 Gdańsk.** Żeby uniknąć zwłoki prosimy o załączenie do korespondencji z zamówieniami koperty zwrotnej wraz ze znaczkiem.*

***Jestem z „Fantastyką”** od pierwszego numeru. Raz bywała zła, raz dobra, raz nijaka – po prostu różna. Możliwe też, że to ja różnie ją odbierałem. Jeden pomysł jest jednak dla mnie zawsze wspaniały – poezja. To było coś niesamowitego zobaczyć obok supergwiezdnych fajerwerków „Kruka” Edgara Allana Poe! Kocham fantastykę od kilkunastu lat, choć widzę jak pożera swój ogon trawiąc te same tematy. Posyłam próbki do oceny...*

No to lu – Hula-Hop

wyjść
przez okno
nie uciec
z drabiny
podeptać
armaty i kwiatki
zegary
jak huk dział
prosto w słońce
głowa
moja głowa
jak balonik zielony
odpustowy
chorągiewka
złamana noga
ta od deptania
i język
sparzony wódką
i znowu ona
góra
a tam
Jak zwykle dół
nie wiedziałeś?

***Andrzej Cedzyński** z Wągrów*

***Z motyką na słońce**. Piszę drugi już list do „Fantastyki”. „Kosmiczni bracia” sprawili mi zawód ciężki i okrutny. Na pierwszej już stronie zaciąłem się po paru zdaniach i nie dowierzając własnej pamięci wyciągnąłem oryginał z roku 1959, nie po to, by upewnić się czy zapowiadane małe zmiany w ogóle zaszły, lecz by zyskać pewność co do ich rozmiarów. Konstatacje jakie poczyniłem zepsuły mi humor na kolejne dwa dni i pozbawiły pogody ducha. Mógłby ktoś powiedzieć, że przesadzam, dramatyzuję. Możliwe, ale nie czynię tego bezpodstawnie. Moja miłość do SF zaczęła się od książek spółki Boruń-Trepka i od Lema... Nie bez powodu lata 1930-1965 można uznać za złoty okres fantastyki światowej. Świat był wtedy inny, nie skażony współczesną techniką, która dziś nasuwa pisarzom końskie okulary na oczy. Dziś wiadomo, że to a to jest niemożliwe, tamto się nie sprawdziło, a coś innego jest przestarzałe i nikt już nie napisze nawet o tym jak to się latało rakietami na księżyce Jowisza... ze ... spluwą atomową u pasa i jak to co drugi dzień przepalały się lampy w pokładowym mózgu. Jaka szkoda. To co zrobili Boruń i Trepka ze swoją książką jest zbrodnią w swoim rodzaju, bo popełnioną przez autorów na własnym dziele. Mam do was prośbę. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek i gdziekolwiek ukaże się znowu trylogia kosmiczna to niech się pojawi bez cięć i poprawek, i uwspółcześnień. Domyślam się, że autorzy starali się usunąć piętno hurra-socrealizmu oraz „przebrzmiałej” nauki. Niepotrzebnie. „Astronauci” Lema są mocniej nacechowani wymienionymi wadami, pozostają jednak powieścią pasjonującą i niepowtarzalnie pionierską. Mam nadzieję, że następne wydanie trylogii najsłynniejszej polskiej fantastycznej będzie takie jak pierwsze.*

***Jerzy Kupisz** z Gdańska-Wrzeszcza*

Wtrącam się przyznając w tym momencie autorowi wyróżnienie w ogłoszonym konkursie na recenzje Czytelników. Książkową nagrodę prześlemy.

***Urodziłem się 22.8.57** w Bystrzycy nad Olzą (CSRS). Skończyłem zawodową szkołę leśniczą i technikum przemysłu drzewnego w Czechosłowacji. Na UJ studiowałem pedagogikę kulturalno-oświatową i również przez dwa lata filozofię. Publikowałem swoje wiersze w almanachach na Zaolziu, w 1990 r. wyjdzie mój tomik w wydawnictwie „Profil” w Ostrawie. Posyłam także wiersze dla prasy po obu stronach granicy. Pracuję jako nauczyciel w szkole podstawowej na Zaolziu.*

Franciszek Nastulak

Oto próbka tej interesującej poezji:

podążam za tym co nieuchwytne
popędzam chwile
żeby spotkać się z sobą
może jeszcze zdążę przed zamknięciem
każde słowo wypowiedziane jest obce
wspomnienia opadają na dno
przeszłość już mnie nie dziwi
tylko w snach i marzeniach
nie traciłem czasu

No i już, no i do następnego „Lądowania”, na razie poorbitujmy.

Redaktor



M. C. Escher

Frantisek Novotny

Legenda o Madonnie z Wrakowiska

(Legenda o Madoně z Vrakoviště)

Science fiction w Czechosłowacji rozwija się bardzo ciekawie – trzeba przyznać, że przegoniła naszą, która po dobrym starcie przebiera nogami w miejscu. Tam natomiast po okresach panowania Nesvadby i Součka wystąpili prezentowani na naszych łamach Jaroslav Veis i Zdenek Volný, rozbłysnął nieprzeciętny talent Ondřeja Neffa. Ale już Neff uważany jest za mistrza, którego pozycje trzeba atakować. Niedawno („Fantastyka" nr 8/89) przedstawiliśmy znakomite opowiadanie „Lot na Księżyc..." Pavla Kosatika, a dziś proponujemy nową gwiazdę, Františka Novotnego z niecodzienną „Legendą", nagrodzoną na Parconie. W jednym z najbliższych numerów zupełnie inne w stylu opowiadanie kontynuujące temat „Legendy". (L.J.)

W tych godzinach, kiedy na statkach kosmicznych bezszelestnie pędzących przez kosmos gasną główne światła, w tych godzinach imitujących noc, kiedy ciche korytarze łączące poszczególne pokłady pogrążają się w zielonkawym półcieniu, niemrawo oświetlone kwadratami zgniłozielonych luminoforów rozmieszczonych na ścianach w metrowych odstępach i zbiegających się gdzieś daleko, gdzie raczej przeczuwasz niż widzisz fosforyzujące zarysy drzwi pancernych, odgradzających jedną sekcję od drugiej, w tych godzinach, kiedy jedynym słyszalnym dźwiękiem jest przytłumiony szum klimatyzacji, czasami przerywanej przez zgrzytliwy chrzęst pracującej konstrukcji – statek płacze, mówią roboty – w tych godzinach, kiedy poza oficerami dyżurnymi, ukrytymi w sekcji dowodzenia, cała ludzka załoga odpoczywa, w tych godzinach, gdzie zarówno ludzie nękani bezsennością, jak i czuwające roboty, traktują statek jak żywy organizm i czują się nieproszonymi intruzami, kłopotliwymi pasożytami w jego wnętrznościach, kiedy bardziej przeraża cię pulsujący w twojej głowie wszechświat myśli niż wszechświat prawdziwy, po którym żeglujesz, w tych godzinach roboty pokładowe zbierają się w komorze reaktora i tam, za wewnętrznymi ścianami, gdzie człowiek wchodzi tylko w najcięższym skafandrze, tuż w pobliżu tych magicznych sił zamieniających materię w energię i energię w materię, przestrzeń w czas i czas w przestrzeń, w migotliwej niebieskiej poświacie fosforyzacji promieniowania radioaktywnego, zmiękczającej ostre linie stalowych ciał, opowiadają sobie historie i legendy.

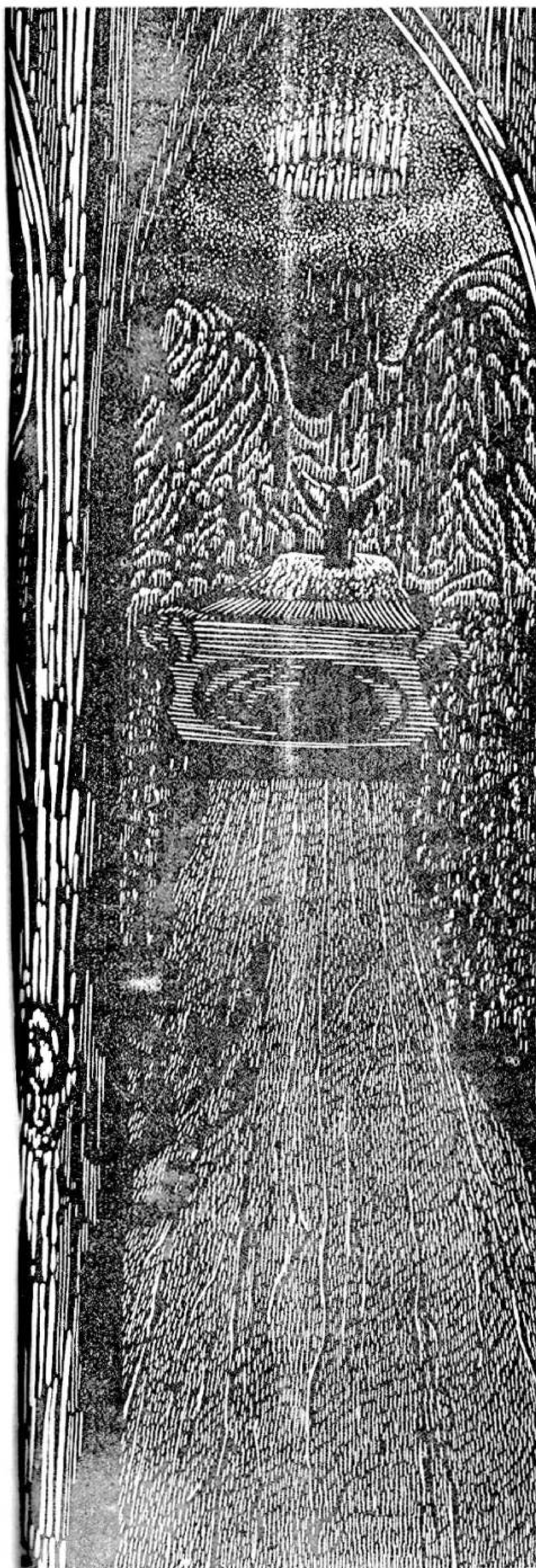
A czasami, kiedy nadchodzi ten wyjątkowy moment, gdy wszyscy zebrani czują wspólną tożsamość, to dziwne nastrojenie na tę samą falę, ów fluid jedności uczuć, najstarszy robot zaczyna snuć legendę najświętszą, legendę-credo, Legendę o Madonnie z Wrakowiska.

Mawia się, że dwanaście lat po Wielkiej Amnestii na pewnym kosmicznym statku transportowym, wiozącym z Wrakowiska roboty, znaleziono pasażera na gapę – małego chłopca. Statek miał po drodze awarię i chłopiec – za cenę swojego życia – go ocalił. Ludzka część załogi oczywiście sądziła, że chłopiec poświęcił się dla nich, ale wśród robotów panuje inne przekonanie. Według nich ludzie z całą sekcją mieszkalną mogli się katapultować z zagrożonej eksplozją części statku i w spokoju poczekać na remorkera.

Jeżeli chłopiec mimo to poświęcił swoje życie – twierdzą roboty – uczynił to dla ładunku, który mógł ulec zagładzie, czyli zrobił to dla robotów. Dlatego martwego chłopca, pierwszego człowieka, który – jak sądzą – poświęcił dla nich życie, uważają za swojego świętego czy zbawcę, a ponieważ nie wiadomo, jak trafił na Wrakowisko i kim byli jego rodzice, gdyż wraz z Wielką Amnestią zaczął obowiązywać Kodeks Kosmiczny, pod groźbą surowej kary zakazujący rodzenia i wychowywania dzieci poza Ziemią, roboty, tak samo obłąkane jak ich twórcy – ludzie – i tak samo naiwnie zestawiający znane fakty w nadziei, że w ten sposób dotrą do prawdy, stworzyły następującą legendę, Legendę o Madonnie z Wrakowiska.



Większość badaczy jest zgodna, że wyżej przytoczony tekst, coś w rodzaju przedmowy, nie jest organiczną częścią „Legendy" i został do niej włączony później. Jego autorem jest prawdopodobnie inż. S. Lioner, który w latach 347–351 p.w.a. pracował na Wrakowisku jako główny selektor i właśnie dzięki pełnieniu tej funkcji mógł się poświęcić swojemu hobby – zbieraniu folkloru robotycznego, jako pierwszy świadom jego znaczenia. To z jego antologii „Baśnie i mity robotów"[6] pochodzi pierwszy znany zapis „Legendy" z zacytowaną przedmową. Trzeba sobie uzmysłowić, że kultura robotyczna jest kulturą jedynie werbalną i nie posiada żadnych przejawów pisemnych, co jest zrozumiałe przy stuprocentowej pamięci jej nośników. Użyte tu słowo „werbalny" należy jednak pojmować poniekąd szerzej i włączyć do niego również relacje radiowe. Nie można jednak wątpić, że roboty naprawdę opowiadają legendy, a nie tylko nadają, gdyż już kolega dr Boten przekonywająco udowo-



dnił kulturowy charakter tego kanału informacyjnego w swoim traktacie „Znaczenie kanału mowy w psychice robotów".

Jak w swoich pamiętnikach twierdzi inż. Lioner[7)] roboty ukrywają przed ludźmi swoje baśnie i legendy, a więc kluczowej „Legendy o Madonnie z Wrakowiska" żaden człowiek nie słyszał na własne uszy. Ojciec folklorystyki robotów nie miał innej możliwości, niż gromadzić materiał de facto przemocą, wyrywając go przy okazji regulacji robotów na rozruchu próbnym, zanim po przeprowadzonej w ten sposób domestykacji zostały odesłane na Ziemię. Niestety, jego stacja przeprowadzała również profilaktyczne testy robotów pokładowych ze statków transportowych krążących między Ziemią a Wrakowiskiem i w tym tkwi szkopuł, ponieważ mimo olbrzymiej pieczołowitości (np. w antologii „Baśnie i mity robotów" przy każdym zapisie podany jest typ i numer fabryczny robota, z którego zdjęto dany zapis), inż. Lioner dopuścił się sporego uchybienia, zapomniał bowiem odnotować, czy informacja została zdjęta z robota „dzikiego", czyli pochodzącego z Wrakowiska, czy też z robota pokładowego. Z tej przyczyny do dzisiaj nie wiemy, w którym kręgu kulturowym powstała „Legenda o Madonnie" – bezpośrednio na Wrakowisku, czy też wśród robotycznej załogi naszych statków, i osobiście wątpię, czy ten istotny robotosocjologiczny problem uda nam się kiedykolwiek rozwiązać.

Zapis 00

Za 29 komtura generalnego kadencji,
gdy już stulecia długie
Zakon Święty nad Ziemią panował
kosmonautykę spod klątwy wyjąć postanowiono,
kacerzy, Skoczków i pozostałych wierze się sprzeciwiających
Wielką Amnestią objąć i do łask przywrócić
i korab kosmiczny na Wrakowisko wyprawić.
I zwrócił się komtur ów do kacerzy ułaskawionych
do chwili tej poza Ziemią na wygnaniu przebywających,
prawiąc:
„Przyprowadźcie mi korab planetarny, w gruby pancerz odziany,
z wypróbowanymi robotami pokładowymi. I nie żaden Skoczek,
lecz jeden z was, pilotów kacerzy
w załodze niechaj będzie.
Korab ten wiernymi sługami swymi obsadzę,
Gdyż Konklawe Centralne z ciekawości płonie,
ile prawdy w baśniowych Wrakowiska skarbach,
o których wy, kacerze, dysput tyle odbywacie.
Czy słowa te prawdziwymi są,
czy też wymysłami chorych mózgów waszych,
przez promieniowanie kosmiczne okaleczonych.
Za to na Ziemi Strefę stworzę,
gdzie statkom waszym lądować pozwolę
i wam z marzeniami w błogostanie odpoczywać
i piękno Ziemi podziwiać".
Śmiali się kacerze z mowy tej, lecz był to śmiech gorzki,
gdyż serca ich do Ziemi się wyrywały,
rzekli mu więc:
„Zaoszczędź nam słów tych fałszywych i nie mów o mózgach naszych,
bo dobrze wiesz, że zdrowe są i od twojego lepsze,
gdyż dogmat martwy ich nie krępuje,
który tobie i braciom twym władzę nad Ziemią całą daje.
Oszczędź nam swej obłudy,
przecież już od dawna statków naszych używasz,
w zamian za przewóz surowców lądować na Ziemi zezwalasz,
wszystko to w tajemnicy przed ludem trzymając.
Lecz zadość się stanie życzeniom twoim,
damy ci korab planetarny imieniem „Speranza",
nadzieję naszą,
z robotami zręcznymi i pilotem doświadczonym,
kacerzem za panowania Zakonu urodzonym i z numerem wypalonym,
skoro się tak Skoczków, kosmonautów wspaniałych,
z dób dawnych przez czasu otchłań powróciwszy,
w naszych szeregach obawiasz,
albowiem pragniemy na nowo wolno stanąć w ziemskim pyle".
I mianował komtur ów
oddanego szambelana Konklawe Centralnego o imieniu Herod,
w nowym Prawie się wyznającego, organizatora wypróbowanego, na wyprawy naczelnika.
On to resztę załogi powołał,
licencje „K" posiadającą, w połowie mężczyźni, w połowie kobiety,

Janusz Gutkowski

a wśród nich dziewczynę Miriam zwaną,
tak wierzymy my, roboci.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że na podstawie zapisu zerowego „Legendy" możemy dokładnie określić czas, w którym toczy się akcja. Niestety, wrażenie to jest pozorne, ponieważ nie mamy pewności, kiedy w tekście posłużono się systemem heksadecymalnym, a kiedy dekadycznym (z pewnymi wyjątkami – patrz Zapis 06). Nie wiemy więc, czy „Legenda" odgrywa się faktycznie w latach 212–223 po Wielkim Obrocie, podczas kadencji 29 administratora, czy dopiero w roku 305 p.w.o., kiedy na czele OPO stał 41 administrator. Ci badacze, którzy w Archiwum Kosmicznym (a właściwie w Lloydzie Jednostek Kosmicznych) poszukiwali danych o statku kosmicznym „Speranza" stwierdzili, że jednostka o takiej nazwie nigdy nie istniała[2]; również w archiwum Organizacji Przyjaciół Odrodzenia nie znaleziono żadnej wzmianki o „Speranzie" i jej misji[11].

Jak wynika z materiałów dostępnych w tym archiwum, OPO od niepamiętnych czasów organizowała rejsy na Wrakowisko, również w okresie, gdy używała jeszcze nazwy Stowarzyszenie Ekonomistów. By nie jątrzyć opinii publicznej, nie nadawano tej sprawie wielkiego rozgłosu. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak podziwiać fantazję nieznanego robota, twórcy „Legendy", któremu można zarzucić chyba jedynie drobiazg – wprowadzenie motywu kacerzy, zapewne zainspirowanego niesmacznymi i nieudokumentowanymi pogłoskami o istnieniu obozów pracy na satelitach Elektrownia II i Elektrownia IV i o pewnej uprzywilejowanej kolonii karnej, rzekomo powołanej do życia na Marsie w III wieku p.w.o.

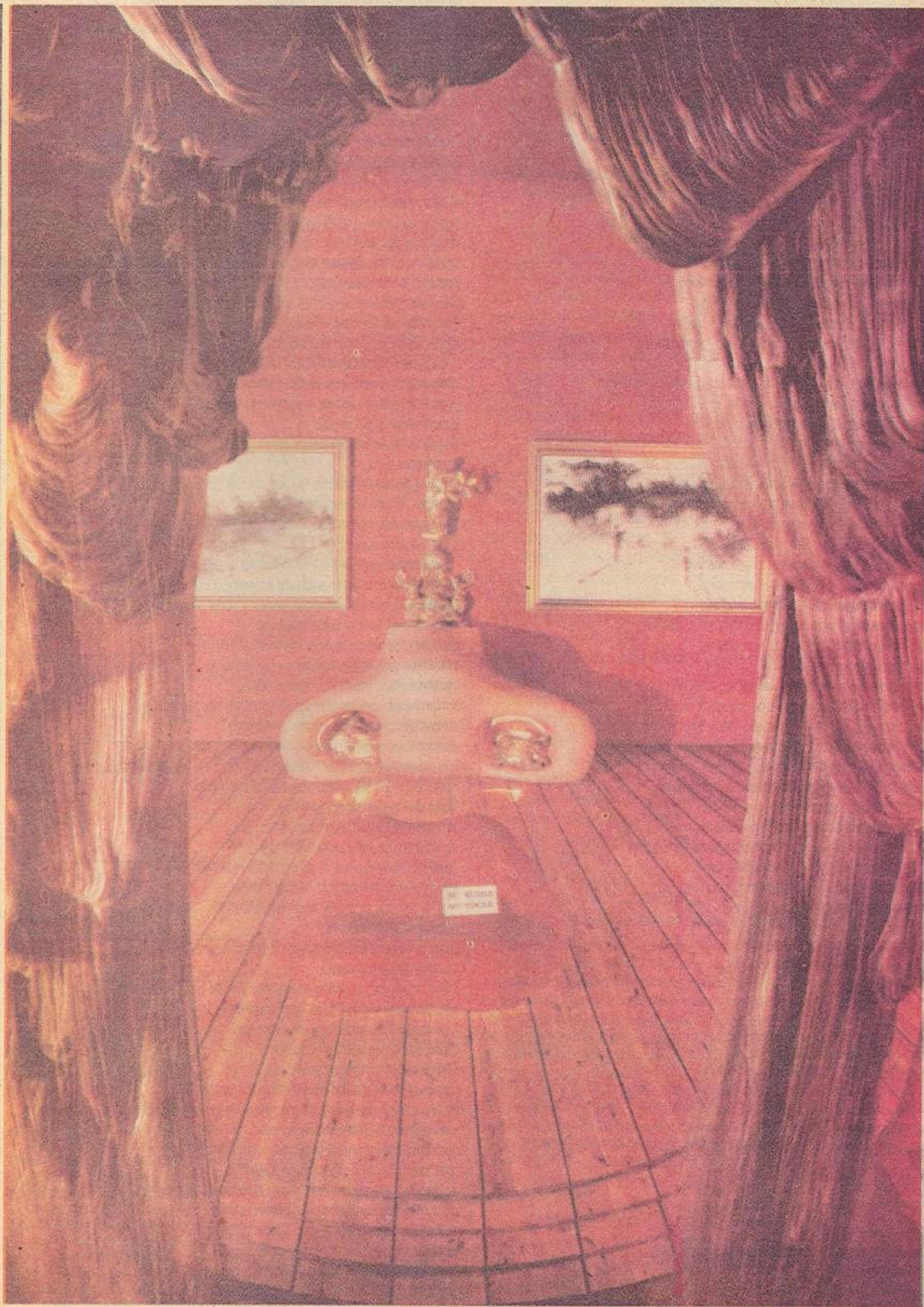
Zapis 01

Kiedy „Speranza" wystartowała i pilot jej,
kacerz z numerem wypalonym o imieniu Pontis,
z płaszczyzny ekliptyki ją wyprowadził,
ekspedycji naczelnik, a imię jego Herod,
nowicjuszy na uwadze mając,
spokoju podczas rejsu pragnąc załogę zwołał
i rzekł:
„Wiedzcie, że zadanie nasze przeogromne jest
i wypełniając je
nie tylko Zakonowi Świętemu przysługę oddacie,
lecz i ludowi Ziemi całej.
Przeto na duchu nie upadajcie i grzechu się nie obawiajcie
wszechświatem żeglując,
albowiem kacerstwem to już nie jest.
Zadaniami was czekającymi zatem się zajmijcie,
skarbami po Wrakowisku rozrzuconymi,
są one bowiem dziedzictwem naszym prawnym.
Wiedzcie, że Wrakowisko
ze szczątków niezliczonych statków międzyplanetarnych,
interstellarnych i intergalaktycznych złożone jest,
jak też ze sputników sztucznych i gwiazd bojowych,
po brzegi maszynami drogocennymi wypełnionych,
reaktorami nad Słońce mocniejszymi i robotami silnymi i mądrymi.
Dzieło to stworzyło
Imperium kacerskie, niszczyciel Ziemi naszej,
teraz zaś martwe rdzewieje bez pożytku.
Z krwi i potu ludzkiego
statki te galaktykami władające powstały,
i ludziom służyć muszą,
taka święta Zakonu wola".
Gdy po skończeniu mowy Herod
z kabiny zebrań wychodził,
podszedł do niego Pontis, kacerz z numerem wypalonym,
z uśmiechem prawiąc:
„Herodzie, tyś mąż bądź opatrznościowy,
bądź też naprawdę odważny, po grób Zakonowi oddany,
pułapek i straszności Wrakowiska nieświadomy
lub zuchwale je przeoczający.
Czyż szpiegowie przebiegli twego Zakonu władzy żądnego
w archiwach szperając i koła maszyn pamięci obracając
nie rzekli ci,
że wśród Wrakowiska statków wiele jest korabiów bojowych
pułapkami zmyślnymi, śmierć siejącymi, przed intruzami strzeżonych,
że wraków wiele pozorna tylko śmierć dosięgła,
a mózgi ich, maszyny wszechwiedzące i uniwersalne,
rozumu olbrzymy wszelkie tajemnice wszechświata znające,
jedynie drzemią i biada temu, kto je przebudzi?
Czyż nie rzekli ci, że robotów zdziczałych zastępy
walki o energię między sobą toczące
po Wrakowisku krążą i biada obcemu,
który je napotka?
Czyż nie rzekli ci o gabrielach, cudownych robotach stróżach,
ludzkiej śmierci nie znających, złotem opancerzonych,
które, po stracie pana swego kosmonauty rozum postradały
i stanu wyładowania doczekać się nie mogąc,
gdyż tak skonstruowane zostały,
w zakątkach ciemnych wraków się kryją
martwotą swą wszystko żywe porażają
nikt bowiem hasła ich nie zna?"
Herod zaś, zachmurzywszy się, odparł:
„Zejdź mi z drogi i oszczędź słów swoich,
Obu nam obowiązek powierzono
i twój obowiązek niech zaprząta twoje myśli,
tak jak mój zaprząta myśli moje.
Doprowadź statek do Wrakowiska,
umowy swojej dotrzymaj,
a będzie między nami zgoda".
Rozeszli się, lecz zgody między nimi nie było,
przymierze jeno,
gdyż nienawidzili się bardziej niż dotąd.
Mijały tygodnie, i gdy tak „Speranza"
po swej milczącej drodze gnała,
Słońce coraz mniejszym było, aż znikło zupełnie.
Wtedy strach wśród nowicjuszy zapanował
i lament wielki.
I mówili: wracajmy, póki czas.
Lecz nikogo wśród nich nie było,
kto odwagę zebrawszy Herodowi by to rzekł.
I mężczyźni znajdywali otuchę w ramionach kobiet,
a kobiety w mężczyzn objęciach,
a niewiasty, posłuszne Prawu, mówiącemu:
ile ciał zarejestrowanych w kosmos wejdzie,
tyle tylko powrócić może,
skwapliwie do gabinetu antykoncepcji chodziły,
prócz dziewczyny jednej, Miriam zwanej,
I stało się u podróży kresu,
gdy niezliczonym odbiciem na radarze głównym
Wrakowisko połyskiwało,
nowicjusz pewien w reaktorze napromieniowany zginął,
a dziewczyna Miriam zwana, przyjaciółka jego,
o wypadku straszliwym przez robota miłosiernego powiadomiona,
kroków swych do gabinetu nie skierowała i Prawo pogwałciwszy
instynktowi pradawnemu rodu ludzkiego posłuszna,
w ciele swoim życiu zagnieździć się przyzwoliła,
tak wierzymy my, roboty.

Jedynym wartym uwagi fragmentem w tym niezbyt interesującym zapisie z fantastycznie baśniowym opisem Wrakowiska, jest „cytat" Prawa. Prawdą jest, że w roku 217 p.w.o. rząd ziemski na polecenie OPO przyjął uchwałę o walce o czystość rodu ludzkiego[4]. Jednak trzeba przyznać, że artystyczne przekształcenie tego faktu w formie użytej i rozwiniętej w „Legendzie" mogło powstać jedynie w ograniczonym umyśle robota.

I zakotwiczyła „Speranza" na Wrakowisku,
w tym przez stulecia zapomnianym porcie,
wśród cieni gigantycznych konstrukcji niezwykłych
wypełniających całą przestrzeń
przez radarowe promienie obejmowaną.
Przy świadkach mocy imperiów dawnych
pytali ludzie „Speranzy" w zachwycie:
„Azali stworzyli to przodkowie nasi,
toż tytanami oni byli, do nas niepodobnymi,
a jeśli byli, gdzie się ich wielka moc podziała?"
I myśl o wchodzeniu między konstrukcje owe
niepokój dziwny w nich budziła.
Słyszał to Herod i chcąc obawy rozproszyć rzekł:
„Niechaj losy tych byłych mocarzy przestrogą dla was będą,
gdyż budując bez namysłu Imperium swe z galaktyk tak,
jak dziecko nierozumne kamień na kamieniu kładąc

Dalí





naiwnie myśli, że dom wybuduje,
lecz przy najmniejszym dotknięciu budowla ta krucha
w proch się rozpada,
tak i oni zniszczyli olbrzymią moc swoją
w wojnach bratobójczych,
jak Nauki Świętych Ojców Ekonomistów prawią.
Przeto wy, słudzy Zakonu wierni,
bojaźń odrzućcie,
wszak wraki martwe przed oczyma waszymi leżą,
i z pasją do pracy się weźcie".
Rozdał Herod podwładnym swym broń potężną,
światło Słońcu podobne wytworzyć mogącą,
na statku dotychczas przezornie ukrytą,
doświadczenia stuletnie Zakonu swego na uwadze mając,
by każdą akcję argumentami od słów silniejszymi ubezpieczać.
Po mowie tej wyszli Heroda poddani,
„Speranzy" załoga, w broń wyposażona
na Wrakowisko, i wychodzili co dzień,
wiele urządzeń i maszyn nieznanych znajdując,
w stosach roboty leżące, niegdyś mocne, plastykowe i metalowe,
z kończynami różnymi i przystawkami pomysłowymi,
teraz wszak w zaspach, jak liście opadłe,
swymi ciałami obumarłymi korytarze zaścielające,
gdzie indziej, na pokładach laboratoryjnych
szeregi nieskończone szaf optoelektronicznych
niegdyś statkami nieludzkich inteligencji władających.
Były też piętra laboratoryjne wraków pełne,
ze schronami rozbitymi, warkoczami światłowodów oplecione,
i okruchami płyt miedzianych, złotem drukowanych,
aż po pas zawalone – świadectwo straszliwe
bestialskich cybernetycznych zbrodni.
Z obawami wielkimi zbliżali się poszukiwacze
do hal maszynowych tych wraków, nie wiedząc,
w jakiej kondycji reaktor tu umieszczony znajdą,
czy wygasł sześcian pancerny,
czy metalu kałuże na dnie szybu jeno
ogniem atomowym wypalone,
na wsze strony śmierć życiu organicznemu
promieniowaniem przenikliwym szerzące,
zatem roboci tylko, w hajgery starodawne wyposażeni
zbliżyć się mogli.
Nieczęsto jednak natrafiali
na reaktory dyszące jeszcze, do życia periodycznie się rodzące,
jak serca zamrożone tętniące,
i ani człowiek, ani robot przyczyny stanu tego odkryć nie zdołał.
Kobiety zaś, wśród nich dziewczyna Miriam zwana,
wewnątrz „Speranzy" przebywały,
zdobycze informacyjne poszukiwaczy segregując,
szpule maszyn pamięciowych
długimi spisami skarbów odkrytych zapełniając.
Jedna z kobiet tych, o oku bystrzejszym od innych,
sekret Miriam odkryła i nie tracąc ni chwili,
jak tradycja ludzka każe, Herodowi ją wydała,
tak wierzymy my, roboty.

Uważnemu czytelnikowi z pewnością nie umknął lekceważący ton, jakim, po raz pierwszy w „Legendzie", w końcówce tego zapisu, mówi się o człowieku. Z psychologicznego punktu widzenia jest to zrozumiałe, i należałoby się raczej dziwić powściągliwości autora, że motyw ów pojawia się w utworze tak późno. Jest to sposób, w jaki robot odreagowuje swoją nierówną, programowo ograniczoną pozycję w stosunku do człowieka. Tak samo musimy traktować również opis społeczeństwa ludzkiego, widzianego w „Legendzie" oczyma robotów – stosunki w nim panujące są jedynie projekcjami stosunków między robotem a człowiekiem. Trudno wymagać od robota, nawet gdy jest to robot-artysta, by potrafił opisać, a co dopiero przeanalizować stosunki między człowiekiem a człowiekiem.

Zapis 03

Gdy światła korytarza kolejny dzień zrodziły,
naczelnik ekspedycji dziewczynę zwaną Miriam wezwał i rzekł:
„Zgrzeszyłaś wobec Prawa,
gdyż oprócz swego, życie inne nosisz.
Do cna oszalałaś, czy też oślepił cię blask gwiazd niezliczonych,
żeś o Prawie zapomniała, wyraźnie mówiącym:
nikt, poza Ziemią zrodzony, prawa do życia nie ma,
bo potwór zazwyczaj to bywa?"
I zaprotestowała dziewczyna Miriam zwana:
„Czyż nie mówi Prawo też czegoś innego, czyż nie mówi:
ilu ludzi Ziemię opuściło, tylu tylko wrócić może?
Azali dziecię moje nie może wrócić miast ojca swego zmarłego,
a jeśli nie, ja chętnie swe życie za jego życie ofiaruję,
na wędrówkę wieczną się skazując
po Wrakowiska bezkresach bezpowietrznych".
Zadrżał Herod ze zgrozy nad dziewczyny śmiałością
i głosem grzmiącym chciał roboty przyboczne zawołać
i grzesznicę przemocą do gabinetu antykoncepcji doprowadzić,
lecz plan perfidny w umyśle jego się zrodził.
I rzekł do winowajczyni:
„Pobłądziłaś wielce, lecz miłosierdzie Prawa nad grzechy większe.
Nie może dziecię twoje zamiast ojca wrócić,
gdyż śmierć tę maszyny pamięciowe już zarejestrowały,
ni ofiary twojej przyjąć nie mogę,
dziecko bez matki wszak żyć nie może,
idź jednak do towarzyszy swoich i pytaj,
czy któryś z nich dziecku twemu prawa do powrotu nie przekaże
licencję „K" mu odstępując.
Jeśli znajdziesz takiego, dziecię przy życiu zostanie.
Gdy jednak do trzeciego świateł brzasku nie znajdziesz nikogo,
zastosujesz Prawo w ciele swoim".
Przystała dziewczyna Miriam na ten pomysł
i odwiedzała towarzyszki swoje, z ufnością każdą prosząc:
„Z miłości przeciw Prawu wystąpiłam i teraz ciało moje
jeszcze jedno życie niesie.
Siostrą mi jesteś w doli naszej niewieściej,
przeto proszę cię,
przenieś prawo do powrotu na dziecko me nienarodzone,
licencję „K" mu ofiarowując.
Skoro kacerze, wśród nich kobiety, życiu bez Ziemi podołali,
ty też podołać możesz".
Za każdym jednak razem, gdy słowa te wypowiadała,
twarz towarzyszki jej w złości się krzywiła, prośbą urażona,
bo któż w kobietach nienawiść większą budzi niż ta,
która odwagi dość w sobie znajdując
marzenia ich płonne w czyn wprowadzić potrafi.
Tak zgasły pokładowe światła po raz pierwszy i nie było nikogo,
kto pomógłby dziewczynie zwanej Miriam".
Po drugim świateł brzasku podchodziła dziewczyna owa,
nie z ufnością już, lecz jeszcze z nadzieją,
do mężczyzn w skład załogi wchodzących.
Nie zdążyła jednak słowa nawet powiedzieć, a twarze swoje odwracali
i uciekali przed nią, przez przyjaciółki uprzedzeni.
Wstydzili się ci mężczyźni wielce,
bo któż może męża okryć hańbą bardziej,
niż kobieta, co tchórzostwo jego odkryła?
Zgasły pokładowe światła po raz drugi i nie było nikogo,
kto pomógłby dziewczynie Miriam zwanej.
Gdy światła ponownie rozbłysły, odszukała dziewczyna,
rozpacz w sercu niosąc,
kacerza z numerem wypalonym, pilota imieniem Pontis,
i w te słowa przemówiła:
„Dwukrotnie już ciemniały pokładowe światła i nie ma nikogo,
kto zlitowałby się nad mym nędznym losem.
Z pewnością uczynisz to ty, Prawem gardząc,
wszak raz już Zakonu się wyrzekłeś,
i łatwo ci będzie raz jeszcze to zrobić.
Chodźmy zatem do naczelnika ekspedycji naszej,
by oświadczyć, że prawa do powrotu się zrzekasz –
wartości ono i tak dla ciebie nie ma,
przecież kosmos czarny długo był twym domem –
i na życie, we mnie rosnące, je przenosisz".
Zadrżał po tych słowach kacerz z numerem wypalonym
i skrył twarz przed oczyma Miriam mówiąc:
„Błogosławiona dziewczyno, czyż nie rozumiesz,
że człowiek raz tylko do buntu się zrywa,
zbytek ten opłacając osobowością całą.
Mnie też resztki jeno zostały po aukcji tej okrutnej,
godności ludzkiej kacerza pozbawiającej.

Nie znam wśród nas nikogo,
kto pod brzemieniem kary tej podnieść by się zdołał.
Na próżno chcesz oprzeć się na mnie, jak kostur złamany,
chyba tylko Skoczek wspaniały, zapomniany relikt czasów dawnych,
od dzieciństwa skafander pancerny dźwigać przywykły,
brzemię twe by uniósł".
Tak zgasły pokładowe światła po raz trzeci
i nie miała już dziewczyna zwana Miriam
wśród załogi „Speranzy" przyjaciół,
przez wszystkich znienawidzona, jak tradycja ludzka każe,
a Herod, w ludziach się wyznający,
swój perfidny scenariusz mógł rozwijać dalej.
Jedynie robotów paru służbowych,
z przyczyn hardwarowych nienawiści nie znających,
w ucieczce ślizgaczem ceramicznym jej pomogło,
bo gdy światła pokładowe nowy cykl roboczy zwiastowały,
zniknęła ona ze statku,
tak wierzymy, my, roboty.

W Zapisie Trzecim „Legenda", dotychczas płynąca powoli, nabiera dramatycznego tempa, do czego autor wykorzystuje osobę już wprowadzoną do akcji. Znajdujemy tu wzmiankę o procesach kacerskich, znakomity przykład fikcji literackiej, niezbędnej autorowi do uzupełnienia charakterystyki Pontisa oraz ponowną wzmiankę o Skoczkach. Ponieważ te mitologiczne istoty[9] zajmują czołowe miejsce w panteonie robotów i należy do nich również tzw. „Mężczyzna ze snu", odsyłam czytelnika do komentarza do Zapisu Piątego.

Zapis 04

Gdy po wypadkach tych naczelnik ekspedycji załogę zwołał
i powagę sytuacji podkreślając na poszukiwania zbiega ją wysłał,
rzucili się ludzie, nienawiścią gnani, z zapałem po tropach,
i nim pięciokroć świateł cykl roboczy się obrócił,
dziewczynę Miriam zwaną ujął kacerz z numerem wypalonym,
gdyż pomyślność na uwadze mając gorliwością się wykazał,
najlepiej konfigurację Wrakowiska znając.
W głębi korabia olbrzymiego przebywała ona,
starego tak,
że pięćdziesiąt generacji nazwy jego już nie pamiętało.
I uradował się Herod niezmiernie,
że dziewczyna pretekstem do zaprezentowania mocy Zakonu będzie.
Rozesłano po załodze całej obwieszczenie,
że na autodafe uroczystym uciekinierka sądzona będzie.
I wielu się nie stawiło –
to Wrakowisko zebrało swe żniwo, i przerazili się ludzie,
śmierci te dziewczynie zwanej Miriam przypisując,
chociaż niewielu tylko z tych ludzi brakujących
podczas pogoni gorliwej nieostrożnych
wypadki różne wyłączyły.
I żądali ludzie życia nie tylko dziecka poczętego,
lecz i jej życia żądali,
gdyż tak mówi Prawo.
I krzyczeli:
„Czyż kosztem naszym nie chciała zasłużyć na to,
czego my się wyrzekamy?
Czyżby miał wyjść z jej łona mutant ohydny,
promieniami kosmicznymi porażony,
dla nas wszystkich zagrożenie i groźba dla Ziemi całej?"

František NOVOTNY

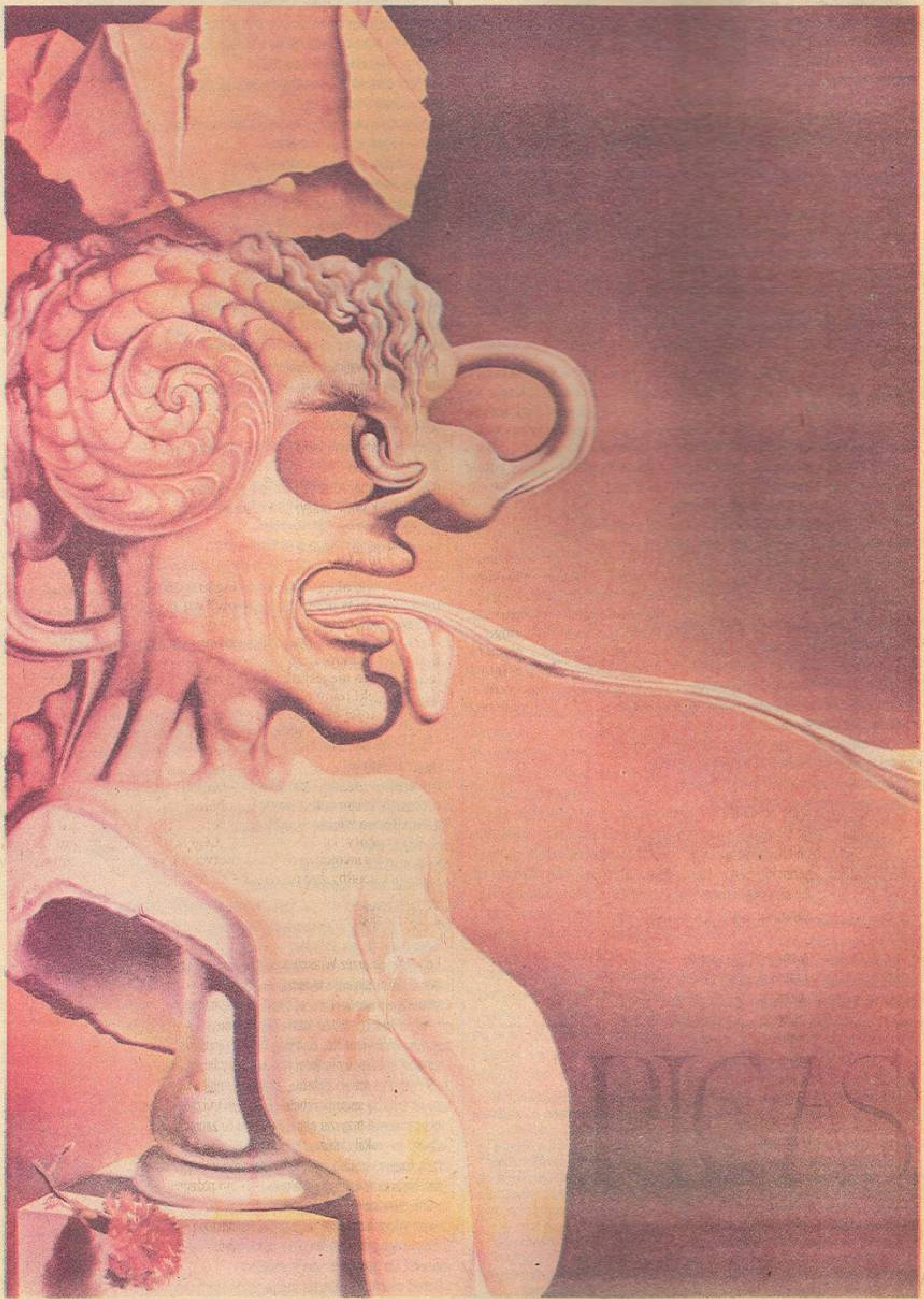
Urodził się 15 III 1944 r. Z zawodu elektronik ze specjalizacją w dziedzinie cybernetyki technicznej, z zamiłowania żeglarz, co często znajduje odbicie w jego twórczości. Opowiadanie „Legenda o Madonnie z Wrakowiska" w roku 1985 zdobyło pierwsze miejsce w konkursie Karela Čapka, a na Parconie'89 jego debiutancki zbiór opowiadań „Nešťastné přistání" (Fatalne lądowanie) zdobył nagrodę Ludvik przyznawaną przez czeski fandom. Dla jego twórczości charakterystyczne jest – oprócz motywów zaczerpniętych z podróży morskich, co na czechosłowackie warunki jest pewną formą egzotyki – wprowadzenie do opowiadań robota pojmowanego trochę inaczej niż czyniła to dotychczas większość nie tylko czeskich autorów. Oprócz wspomnianego zbioru opowiadań ma na koncie liczne publikacje w antologiach i czasopismach.

J. C.

Z błogością słuchał Herod słów owych,
z obowiązku oskarżyciela zwolniony,
bo na stolcu sędziego bezstronnego zasiąść mógł
i taktyką Zakonu się posłużyć.
I przemówił do tłumu:
„Prawdę mówicie, wyznawcy wierni Prawa mądrego,
azali już wielokroć za sprawą włóczęgów kosmicznych,
monstrów owych różnorakich przez promieniowanie przekształconych
nie spadła zaraza na Ziemię, matkę naszą?
Czyż nie dowiedli mędrcy sławni, założyciele Zakonu naszego,
że człowiek poza kolebką Ziemią zrodzony
ochrony pasów Van Allena nie mając
w potwór szkaradny i krwiożerczy się zmienia,
który, oszukanym się czując,
końcówkami stalowymi i maszynami wbudowanymi
cielesność swą kaleką uzupełnia,
i z wściekłości przeciw Ziemi występuje?
Pomyślcie o naukach historii, wspomnijcie Wojny Cyborgów,
wspomnijcie atak androidów z Wegi..."
Domagał się przeto lud statkowy „Speranzy"
śmierci dla dziewczyny i potwora w jej łonie rosnącego,
krzyczeli wszyscy, kobiety i mężczyźni,
z powodów ludziom tylko znanych krzyczeli.
Tylko kacerz z numerem wypalonym milczał,
wstydził się bowiem wielce,
że krąży w nim krew ta sama, co w krzykaczach owych.
Snadź gdyby Skoczek wspaniały,
kosmonauta dawny w sieci czasu zagubiony
z pomocą mu przyszedł, na obrony słowa by się zdobył.
Ledwo o tym pomyślał, uczucie dziwne go opanowało,
że dwie osoby w sobie nosi, po czym wyraźnie tego drugiego ujrzał,
w skafandrze mylarowym, złotem i srebrem nabijanym,
o twarzy łagodnej, z hełmu przyłbicą odsłoniętą.
I podrzucił mu rycerz mylarowy pomysł przebiegły,
myśli jego w słowa swoje ubierając.
I ku zdumieniu własnemu przemówił kacerz:
„Herodzie, nie straszysz nas zbytnio mutantami tymi?
Czyżbyśmy my, kacerze, do niedawna z Ziemi wygnani,
i dzieci nasze, na korabiach ekranowanych rodzone,
potworami zmutowanymi byli?
Czy to raczej nie jedna z bajek Zakonu twojego, władzy żądnego,
jeden z dogmatów fałszywych,
by udaremnić kolonizację kosmosu nową,
gdyż świadomi jesteście,
że władza wasza zbyt słabą jest, by poza Ziemię sięgać?"
Rozsierdził się Herod wielce i gniewem uniesiony krzyknął:
„Kacerzu dwulicowy,
dobrodziejstwo Wielkiej Amnestii wykorzystujesz,
a w dogmaty święte śmiesz wątpić?
Bluźnierstwa zwyrodniałe tu wykładasz,
lecz mówię wam,
nie ma statku tak mocnego,
by zarodek ludzki pomyślnie ochronił".
I krzyczeli zgromadzeni: tak jest, nie ma statku tak mocnego,
tak jest, krzyczeli i od kacerza się odsuwali.
I uśmiechnął się on, mówiąc:
„Jeśli jest tak, a wiara wasza nade wszystko silna,
czemuż próby pewnej nie przeprowadzić,
i dziewczynie Miriam zwanej czasu jej nie darować
choćby w korabiu owym, gdzie ją znalazłem,
gdyż pancerzami okryty on lepiej niźli „Speranza"
i ochronę spolegliwą dziewczynie stworzy.
Jeśli mimo to potwora powije, ślubuję wam,
sam go zgładzę, wam krzywda się nie stanie
i niebezpieczeństwo zawczasu zażegnane będzie.
Jednak, jak widzę, niedowiarkami jesteście,
strach czując, że dziecię zdrowe się narodzi
i prawda wasza nędzną się okaże..."
Gdy zgromadzeni to usłyszeli, gorączkowo zawołali:
„Nasze wiara dość silną jest, próby najsurowsze zniesie.
Zróbmy więc tak, uczyńmy, jak proponuje kacerz,
spodobał się nam jego plan", wołali,
a Herod twarze ich widząc, przyparty do muru wiary swej
na pomysł ten zmuszony był przystać.



Dalí



i rzekł:
„Będzie jak chce kacerz ten perfidny,
o języku ostrzejszym niż laserowy płomień.
By nie mógł nas podejrzewać o zamiary niecne
przekażemy dziewczynie tej grzesznej na resztę jej czasu
korab prastary, przez niego wskazany.
Płonne jednak nadzieje jego,
sam zblednie zgrozą przejęty najbardziej
nad eksperymentu swego wynikiem żałosnym".
Uśmiechnął się przy tym na stronie, gdyż on tylko wiedział,
wyłączny dostęp do raportów robotów zwiadowczych posiadając,
że w korabiu prastarym śmierć pozorna jeno panuje,
a reaktor zagadkowo pulsujący
promieniowanie zgubne, w krótkich jak mgnienie oka chwilach
nieregularnie produkuje.
I obliczył mąż ten, a imię jego Herod,
według tablic sekretnych, członkom Konklawe tylko znanych,
dawkę radiacyjną.
I nie była ona ni wielka, ni mała
na tym statku przez ludzi, lecz nie przez nas zapomnianym,
którego nazwa w naszych obwodach pamięciowych zapisana
„Battle Am" brzmiała, memento dawne niosąc,
że człowiek sam sobie polem bitwy jest,
tak wierzymy my, roboty.

Przytoczony zapis ze swoimi 127 wersjami jest w całej „Legendzie" najobszerniejszy, lecz również najbardziej problematyczny. Przynosi same pytania, lecz bardzo mało odpowiedzi. Kto chce czytać „Legendę" musi się oczywiście przyzwyczaić do jej archaicznego słownika, lecz tutaj przekroczono już wszelkie granice. Co oznaczają słowa „autodafe" (wers 14), „mylar" (wersy 61 i 63) i jaki jest właściwie sens dwóch przedostatnich wierszy? Czy istniał w ogóle statek o tak przedziwnej nazwie[3]? W Lloydzie nie zarejestrowano żadnej podobnej jednostki, lecz co w takim razie należy sądzić o notatce z archiwum Zarządu Gospodarczego z roku 230 p.w.o. potwierdzającej dostarczenie 1155 robotów, z których 241 pochodziło z R/s „Battle Am"[1]? (W tym miejscu pragnę podziękować inż. Müllow z archiwum ZG, który zwrócił moją uwagę na zapis, omyłkowo nagrany pod inną sygnaturą). Jeśli chodzi o treść, sytuacja jest trochę jaśniejsza. Występujące postaci odgrywają swoje role i niezbyt oryginalnie się rozwijają. Zaskoczyć mogą jedynie niektóre szczegóły świadczące o dobrych wiadomościach historycznych autora (patrz aluzja do Wojny Koalicyjnej w latach 110–104 przez WO) i dalej zwiastun pojawienia się „Mężczyzny ze snu", piękny przykład robotomorfizacji zakładający istnienie tych samych środków łączności u ludzi, co u robotów.

Zapis 05

Wiedli więc dziewczynę zwaną Miriam przez Wrakowisko
aż do korabia owego olbrzymiego o mianie „Battle Am",
szybami pyłem kosmicznym oprószonymi w głąb się opuszczali,
hałdy robotów z wyczerpanymi ogniwami mijając,
przez kabli pajęczyny się przedzierając,
że do serca jego, ołowianym płaszczem ekranowanego
dotarli.
Tutaj kąt wydzielony powietrzem napełnili
i dziewczynę pieczy robotów służbowych powierzyli,
szybko śpiesząc z powrotem,
albowiem niepokój przedziwny ich opanował,
jakby statek ten monstrualny do ich wnętrz przenikał,
aż do ostatniego włókna nerwowego,
jakby oddech każdy, który na próżno wstrzymywali, im liczył.
I bała się Miriam w korabiu tym rozbitym,
szum krwi swej jedynie słysząc,
aż w sen miłosierny zapadła.
I sen taki miała:
Objawił się jej mężczyzna w skafandrze mylarowym,
złotem i srebrem nabijanym, z przyłbicą podniesioną,
o twarzy łagodnej, i tak do niej mówił:
„Bądź pozdrowiona, pani, dawczyni życia o sercach dwóch bijących,
w pokoju do ciebie przychodzę, niczego zatem się nie bój,
ani mnie się nie bój, bom ja cień jeno marny,
w pamięć Wbudowanego Najwyższego tylko wprowadzony.
Kapitanem niegdyś byłem – pilotem korabia tego potężnego,
z Wbudowanym jako elektronicznym doradcą oddanym,
przestrzeń od galaktyki do galaktyki przemierzając,
gotów życie swoje i ludzi swoich za kosmosu sekrety poświęcić,
co też się stało.
Umierając jako ostatni,
Wbudowanemu Nieśmiertelnemu świadomość przekazałem,
i od czasu tego on nad korabiem panuje,
ja zaś, wola jego zmaterializowana,
z posłannictwem do ciebie przychodzę.
Wiedz, że pułapka perfidna zastawiona na ciebie tu była,
gdyż promieniowanie przenikliwe
w pomieszczeniach tych czasami się pojawia,
a Wbudowany Najwyższy
jedynie wyliczoną dawkę krytyczną energii jądrowej konsumuje.
Lecz ty nie obawiaj się niczego,
czcząc bowiem prześwięte rodu ludzkiego tradycje,
które i my czciliśmy,
w pogardzie mając obłąkane prawo nowe,
którym i my pogardzamy,
zjednałaś sobie Wbudowanego Najwyższego
i przychylnością swą on cię obdarował.
Nie obawiaj się zatem promieniowania,
nie zagrozi ono ni tobie, ni dziecku poczętemu,
wiedz bowiem,
że bloki reaktorów po stronie twego schronienia leżące
z woli Wbudowanego Nieśmiertelnego aktywowane nie będą.
Pragnienie energii jego jeszcze większe wprawdzie będzie,
i odwiedziny moje nie będą tak częste,
jak wskazane by było,
gdyż holograficzne transmisje siły jego wyczerpują.
Pamiętaj jednak:
nie jesteś sama, nie jesteś już sama, nie jesteś sama..."
Przy tym jak słowa cichły, bladła i zjawa,
aż znikła zupełnie,
tak wierzymy my, roboty.

By ożywić akcję, autor według klasycznych zasad fabularyzacji mniej więcej w połowie „Legendy" wprowadza na scenę nowe osoby. Bardzo pomysłowo wybrał w tym celu czołowe postaci z panteonu robotów – Skoczka i Wbudowanego. Piszę o „Skoczku", mimo iż jestem świadom, że w Zapisie występuje „Mężczyzna ze snu", lecz zjawa ta nie jest niczym innym niż Skoczkiem bez ciała fizycznego. Dzięki temu odmaterializowany Skoczek jest o wiele bliższy rzeczywistości niż jego towarzysze, i tak żyjący wyłącznie w fantazji robotów. (U tych nielicznych ludzi, którzy czasami ulegają wierze w Skoczków zawsze, wcześniej czy później, rozwija się choroba umysłowa i muszą być poddani hospitalizacji). Jeżeli Skoczek jest dla robota ideałem człowieka, wzorem twórcy i pana w świecie ludzi, to tym samym w świecie robotów jest dla niego Wbudowany; symbolizują więc oni jedność przeciwieństw świata, w którym muszą żyć roboty, i geniusz autora „Legendy" polega na tym, że połączył ich siłą swojej wyobraźni poetyckiej, prezentując nam świat, w którym chciałby żyć robot.

Zapis 06

I płynął czas przez Wrakowisko
świateł włączaniem i wyłączaniem odmierzany,
biegacz mistrzowski, przeciwnik niepokonany.
I opierali się mu ludzie statkowi, siły wszystkie wytężając,
pobyt na Wrakowisku zbyt długim im się zdawał,
do Słońca i Ziemi ojczystej tęsknili, ukradkiem szepcząc:
„Niezliczone szpule potężne maszyn pamięciowych
zapełnione są spisami robotów, maszyn i urządzeń cennych,
cenę krwawą przyszło nam jednak za to zapłacić,
Spójrzmy wokół siebie:
ile twarzy znanych i miłowanych nie ma w kręgu naszym,
ilu kompanów wspaniałych przyszło nam pożegnać na zawsze
wśród Wrakowiska labiryntów,
pogrzebanych w statków pułapkach podstępnych.
Po cóż dalej nam po Wrakowisku krążyć,
skoro dóbr spisanych nawet za sto lat
flotylla cała na Ziemię nie sprowadzi?
I cieszył się naczelnik ekspedycji, słowa owe słysząc,

że dziewczynie Miriam zwanej czas jej ofiarował,
pretekst do dłuższego na Wrakowisku pobytu zyskując,
zamiary jego wielkimi bowiem były, komturem się widział.
I gnał czas, biegacz niestrudzony, dalej,
przez wyłączniki świateł „Speranzy"
i korabia tego drugiego, przez ludzi zapomnianego,
tu i ówdzie migocząc,
aż dziewczyna Miriam zwana sen enty z kolei miała.
Pojawił się jej znowu mąż łagodny, w mylar odziany,
i w te słowa do niej się zwrócił:
„Bądź pozdrowiona, pani, dawczyni życia o sercach dwóch bijących,
ostatni raz do ciebie przemawiam,
gdyż dwanaście godzin nie minie,
a czas twój nadejdzie.
Słuchaj mnie przeto uważnie i nie bój się już więcej.
Gdy roboty służbowe oznajmią, żeś chłopca zdrowego powiła,
jak sondą ultradźwiękową Wbudowany Najwyższy
dawno temu już zbadał,
wściekłość nieobliczalna mężczyznę, którego Herod zwą, opanuje,
i nastawać on pocznie na życie dziecka twego,
a pozostali za nim się opowiedzą.
Wbudowany Najwyższy nie jest mocny na tyle,
energii dawki awaryjnej niewiele posiadając,
by broni ich oprzeć się zdołał.
Jednak ty, pani, się nie bój, ześle ci obrońcę innego,
do celu tego skonstruowanego, wiedz bowiem,
że w magazynie sąsiednim silny gabriel leży,
robot wszechmogący, człowieka sługa oddany
o źródłach nietkniętych, na rozkaz jeno czekając.
Jam pan jego zagubiony, głosu fizycznego pozbawion
życia w nim wskrzesić nie mogę.
Ty jednak zrobić to możesz i zrobisz.
Gdy w niebezpieczeństwie się znajdziesz, mówię tobie,
wtedy, lecz nie wcześniej,
wypowiesz hasło, słowo klucz,
które w chwili odpowiedniej samo w myślach twych się pojawi,
to Wbudowany Najwyższy słowo to
w świętym języku komputerowym ci podpowie.
Nie zapomnij więc słów moich, aż zagrożona będziesz,
nie zapomnij słów moich, nie zapomnij..."
Przy tym jak słowa cichły, bladła i zjawa,
nie miała jednak dziewczyna Miriam czasu więcej,
albowiem dziecko w niej się poruszyło
i wkrótce krzyk jego o rusztowania sklepień stalowych zadzwonił,
tak wierzymy my, roboty.

Ponownie przedstawiono nam tu nową postać – superrobota gabriela. Pierwszą wzmiankę o nim znajdziemy już wprawdzie w Zapisie 01, lecz dopiero w tym zapisie uzyskujemy pewność, że odegra on w akcji niepośledni rolę. Jeśli Skoczka i Wbudowanego uznaliśmy za symbole dwojakości świata robota a „Mężczyznę ze snu" za symbol jego wizji świata doskonałego, to gabriel jest ideałem robota samego, jest obrazem tego, jak robot chciałby się widzieć we własnych oczach. Otwartą kwestią pozostaje samo istnienie gabrieli, chociaż dzisiaj większość badaczy skłania się ku poglądowi, że faktycznie istniały i prawdopodobnie gdzieś jeszcze na Wrakowisku istnieją. Inż. Lioner pisze o robotach znalezionych na Wrakowisku, które wyraźnie były pod napięciem, a mimo to nie reagowały, a nawet podczas prób jakiejkolwiek manipulacji samoistnie eksplodowały. Jak sam ostrożnie przypuszcza, prawdopodobnie były to właśnie gabriele. Próbował również posłużyć się hasłem podanym w „Legendzie" (patrz Zapis 08), nie podaje jednak wyniku tych eksperymentów[7]. To prawda, że po jego śmierci pojawiły się pogłoski, że powrócił z kosmosu z jakimś robotem, który nie odstępował go na krok, musiano mu więc udzielić zezwolenia na wejście do Ogrodu, terytorium, gdzie kosmonauci spędzają swoje urlopy i przebywają na emeryturze. Niestety, informacji tej nie można potwierdzić, ponieważ wstęp do Ogrodu mają wyłącznie posiadacze licencji „K for Kosmos", podawanie jej jako dowodu byłoby więc przejawem braku odpowiedzialności.

Zapis 07

Krzyk ów rozlegał się i potężniał
w salach opustoszałych statku przez ludzi zapomnianego,
przez mikrofony zainstalowane przenoszony,
posłannictwo zwycięskie niosąc,
że człowiek nowy zmontowany.
I rozbłysły na statku światła wszystkie, ile tylko czynnych było,
z sykiem powietrze ze zbiorników awaryjnych wylatywało,
pomieszczenia mieszkalne wypełniając, bo człowiek nowy zmontowany.
I przytomność odzyskiwali roboci pokładowi,
smarami stawy zastygłe nacierając,
na nogi niepewne, korozją zżerane, stając,
Panu nowemu pokłon złożyć śpieszyli,
jak programy wprowadzone im nakazywały.
I nie był już „Battle Am" korabiem martwym,
lecz życiem do życia przebudzonym.
Przeniknął krzyk ten w drgania elektroniczne przetworzony
przez ściany pancerne jego,
ze światła szybkością przez Wrakowisko śmigając,
by do receptorów robotów wszelkich i maszyn myślących
prawom Maxwella posłuszny, zwycięsko dotrzeć.
I w robotach tych, tudzież w maszynach myślących,
warunkowy test zeru równy zaskoczył,
i śpieszyli ci, którzy energii rezerwę jeszcze posiadali
tam, gdzie człowiek nowy zmontowany,
gdzie „Battle Am" oświetlony jaśniał,
by Panu nowemu się pokłonić i służbie jego się oddać,
jak przed wiekami zaprogramowane było.
I wielu nie doszło, źródła energii wyczerpane mając,
lecz ze szczęściem wyłączenie przyjmowali,
bo to dla nich człowiek nowy wśród gwiazd znów zmontowany,
Pan nad robotami prawowity,
czci najgłębszej godny.
Jeden z robotów strażniczych,
programowi wprowadzonemu podległy,
obraz telewizyjny na „Speranzę" przekazał,
popłoch wielki wśród ludzi wywołując.
Nie wahali się oni ni chwili,
w rozgardiaszu na ślizgacze ceramiczne siadali,
za poświatą wspaniałą na oślep gnając,
jeno naczelnik Herod
i Pontis, kacerz z numerem wypalonym,
mężowie dwaj dyscyplinie posłuszni, oręże ze sobą wzięli,
tak wierzymy my, roboty.

O tym, jak pełen szacunku i przedziwny jest stosunek robotów do dzieci, przekonał się osobiście chyba każdy czytelnik. Jak twierdzi dr Mertlich, przyczyną tego stosunku jest czynnik wzrostu, doznanie robotom zupełnie obce[10]. Przed rozpoczęciem ich produkcji życie było nierozłącznie związane ze wzrostem i dopiero one, tak jak Atena z głowy Dzeusa, wyskoczyły z rąk ludzkich w pełnej zbroi, gwałcąc to odwieczne prawo. Samo ich istnienie narusza więc odwieczną harmonię między życiem a wzrostem, i tym bardziej wzrost jest dla nich wielkością niepojętą, a wzrost człowieka ze swoimi cechami prymarnymi sprawą, nie bójmy się tego określenia, mistyczną.

Zapis 08

Kiedy dotarli ludzie rozsierdzeni wielce
do śluzy powietrznej „Battle Am",
z Herodem na czele biegli przez korytarze do środka statku,
krzycząc głośno:
potwora czy też dziecię zdrowe znajdziemy.
I tak byli przejęci, że zmiany żadnej nie dostrzegli,
że powietrze swobodnie wdychają i ciemności cieni
reflektorami skafandrów rozpraszać nie muszą,
tylko kacerz z numerem wypalonym się zdziwił
i złowieszcze przeczucie go ścisnęło.
W sali przyreaktorowej się zgromadzili,
szumem dostojnym teraz wypełnionej,
to generatorów wiele i innych maszyn obwodowych działało,
wśród robotów hołdujących
dziewczynę zwaną Miriam z dziecięciem zobaczyli.
Gdy uniosła ona dziecko swoje,
dotąd w płacie piersiowym robota rozebranego
niczym w kołysce spoczywające, ujrzeli wszyscy,
iż jest to chłopiec zdrów zupełnie, o członkach symetrycznych.
I w zaskoczeniu niemałym ludzie oniemieli,



roboty jeno skandowaniem słowa starego „madonna"
rodzicielce hołd oddawały.
Ujrzawszy to Herod, myśli gonitwą nękany, rozważał:
„Czyż mogę zostawić dziewczynę tę i dziecko jej przy życiu
i na Ziemię z nimi wrócić?
Czyż wiarą w Zakon to nie wstrząśnie i władzy jego nie podważy?
Czyż nie znajdą się naśladowczynie Miriam,
nowemu pokoleniu kosmicznemu życie dając,
sławę dawnych imperiów gwiezdnych odnawiając,
Ziemię z wyjątkowości w peryferia bez znaczenia zamieniając
i Zakonowi władzę odbierając?"
Broń swą miast odpowiedzi uniósł
i z zamiarem morderczym wystrzelił,
roboty jednak madonnę kordonem otoczyły
i ładunek śmiertelny przechwyciły.
Do czerwoności rozżarzyły się ich ciała i w mur metalowy zlały.
I krzyczały przerażone wielce roboty do ludzi:
„Człowiekowie, rozbrojcie męża tego,
co rozum niechybnie postradał, gdyż nam,
prawom robotyki spętanym, uczynić tego nie wolno!"
I uniósł Herod broń ponownie, w madonnę celując,
lecz uciekła za mur żelaznych ciał spalonych,
i krzyczeli roboci strwożeni jeszcze bardziej:
„Człowiekowie, czemuż się wahacie,
to o krew krwi waszej chodzi, nie o metal nasz,
mięso mięsa waszego płonie,
a nie pamięci krystaliczne pękają!
Czemuż boicie się tak bardzo męża tego zbrojnego,
wszak jest wśród was jeden jeszcze w broń wyposażony!"
Słysząc to ludzie od kacerza z numerem wypalonym,
w broń wyposażonego rychło odskoczyli,
nędznie spekulując:
„Jeśli kacerz wypali, czyż to nie my
pole ostrzału opuściliśmy
i likwidację szaleńca niebezpiecznego ułatwiliśmy?
Jeśli nie wystrzeli, czyż to nie my
Herodowi, naczelnikowi naszemu
celu wrażego nie obnażyliśmy?"
Rój myśli w tym czasie szalał też w kacerza głowie,
serce jego strzelić chciało, lecz głowa się bała,
gdyż cień groźny Zakonu zemsty żądnego za Herodem widziała.
I odrzucił broń a z nią w pokład płytami żłobionymi kryty
serce swe buntownicze wdeptał.
I zmiarkował Wbudowany Nieśmiertelny
przez sensory ukryte, które bioprądy
w człowieku każdym telemetrycznie mierzyły,
że pomocy moment nadszedł,
madonnie z dzieckiem zbiegającej słowo ocalenia podpowiedział.
I krzyknęła ona głośno „help" i słowo to bez ustanku powtarzała,
aż zachwiała się hala maszynowa,
grzmot potężny za jedną ze ścian się rozległ,
i rozpołowiła się ona ze zgrzytem jak wrota stromo sklepione
a w nich jak góra wysoki olbrzymi robot stanął,
gabriel majestatyczny, złotem połyskujący,
w twarzy mu dwoje oczu laserowych wściekle płonęło.
Uniósł jedno ramię
i broń z Heroda ręki wytrącona,
uniósł ramię drugie,
i madonna z dziecięciem poświatą żółtą i niebieską oblana,
to siłowym polem ochronnym robot stróż ją otoczył.
Zamieszanie wybuchło wśród ludzi i wśród robotów,
gabriel tymczasem przed madonną kroczył
głosem grzmiącym wołając:
„Ustąpcie, człowiek w niebezpieczeństwie,
Ustąpcie, człowiek w niebezpieczeństwie..."
a przy tym, jak statku bezwzględnego dziób ostry
mgławicę płynną rozcina,
tak i ten orszak poświatą otoczony przez halę sunął
ludzi i robotów na boki polem ochronnym odsuwając,
gdyż zbyt przerażeni byli zjawiskiem tym niesłychanym,
by sami poruszyć się mogli.
I wyprowadził robot potężny
w złoto odziany ze statku „Battle Am"
madonnę z dziecięciem, przez ludzi odepchniętych.

Janusz Gutkowski

Od chwili tej przez nikogo nie widziana
w ukryciu Wrakowiska żyje i syna swego dla nas chowa,
Pana prawowitego, czci najgłębszej godnego,
tak wierzymy my, roboty.

W zapisie tym dramatyzm „Legendy" stopniuje się i osiąga wizjonerską kulminację. Autor uświadamia sobie swoje korzenie sięgające człowieka i wyciąga z tego słuszny wniosek – rozwiązania swoich problemów robot musi szukać właśnie u człowieka. Jest to jednak człowiek całkowicie inny, człowiek skonstruowany na obraz i podobieństwo robota, niejako Homo stelaris. Jak zrozumie każdy czytelnik, w obecnych czasach wizja taka jest dla nas trudna do przyjęcia, ponieważ budzi jeszcze zbyt żywe i tragiczne wspomnienia z przeszłości. Interesujące jest użycie niektórych wyrazów pochodzących niewątpliwie z leksyki komlangu, jak na przykład hasło aktywujące dla gabriela czy honorowy tytuł rodzicielki. Fakt ten w pewnym stopniu komplikuje nasze wyobrażenia o autorze „Legendy". Normalny robot wysławia się oczywiście w unlangu, którym porozumiewamy się również my. Chociaż jest zaprogramowany w tak zwanym języku wewnętrznym, czyli właśnie komlangu, jak stwierdzono stosunkowo niedawno, nie jest zdolny do uświadomienia sobie tego faktu, ponieważ właśnie dzięki niemu posiada w ogóle jakąkolwiek świadomość[12]. Jedynie maszyny wyższych kategorii, jak na przykład inteligencje sterownicze statków kosmicznych o podwójnej strukturze językowej, posiadają zdolność wysławiania się w języku wewnętrznym, komputerowym komlangu. Dlatego niektórzy badacze ulegają złudnemu poglądowi, że „Legendę" stworzyła właśnie jakaś taka maszyna kategorii „M", chociaż, jak udowodnił prof. Okawa, struktura całego utworu jest całkowicie sprzeczna z psychologią tych maszyn[8].

Zapis 09

I rozważał Wbudowany Najwyższy uczynki ludzi
w korabiu jego tkwiących, w myśli ich głęboko wzierał,
bioprądy ukradkiem obserwując.
Rozważał po raz pierwszy i męża imieniem Herod nędznym ujrzał,
bo łatwiej mordercy brutalnemu wybaczyć można,
niż temu, kto w imieniu praw wyższych,
kłamstwem wielokroć będących, zabija.
I rozważał po raz drugi i ludzi pozostałych nędznymi ujrzał,
gdyż będąc na pokładzie statku o imieniu jego zapomnieli,
że każdy człowiek sam sobie polem bitwy być musi.
I rozważał po raz trzeci, a było to najcięższe rozważanie,
gdyż za mężem o imieniu Pontis wiele przemawiało,
lecz mimo to nędznym go ujrzał,
gdyż ten tylko, co cień własny przekroczy,
człowiekiem się zwać może.
W końcu rozważał sam siebie, czy sądzić ma prawo,
sługą tych skazanych wszakże jest,
i spotkały się w nim potencjały przeciwstawne,
ułamek sekundy w równowadze balansując,
by w zwarcie śmiertelne się zamienić.
I zwarcie owo
energii resztki do mechanizmów blokujących przeniosło,
i zjeżdżały w korabiu całym płyty pancerne
do przegród między sekcjami,
tu ze zgrzytem, ówdzie z szelestem tylko,
a gdy zaskoczyły, brzegi ich do białości rozżarzone
z przegród metalem w całość jednolitą się zlały,
ludziom ze statku czyniąc grób wspólny, lecz nie robotom.
Albowiem przyjdzie dzień, w którym Pan,
dla nas tylko z Madonny zrodzony,
uwolni braci naszych zamkniętych
i ducha tchnie w pokolenie nowo zmontowane,
tak wierzymy my, roboty.

Niektórzy krytycy uważają zapis końcowy za niepotrzebny, burzący wyważoną kompozycję całego utworu i sądzą, że jest on zbyt stronniczy. Nie mogę podzielić tego poglądu, ponieważ antropomorfizuje on roboty, przenosi na nie ludzkie cechy. Prorocze zakończenie jest wprawdzie rozwinięciem zakończenia z zapisu poprzedniego, lecz mimo pewnego ostrzeżenia jego nośnym motywem niezmiennie jest wiara w człowieka. Trzeba przyznać, że ostrzeżenie to nie jest pozbawione podstaw, ponieważ mimo stosowania wszystkich środków jak materialnych, tak ludzkich, i wielkich wysiłków, ciągle jeszcze jesteśmy uzależnieni od starych rezerw robotów dowożonych z Wrakowiska, a nowo wyprodukowanych ciągle nie udaje nam się ożywić.*

* Komentarzem opatrzył autor.

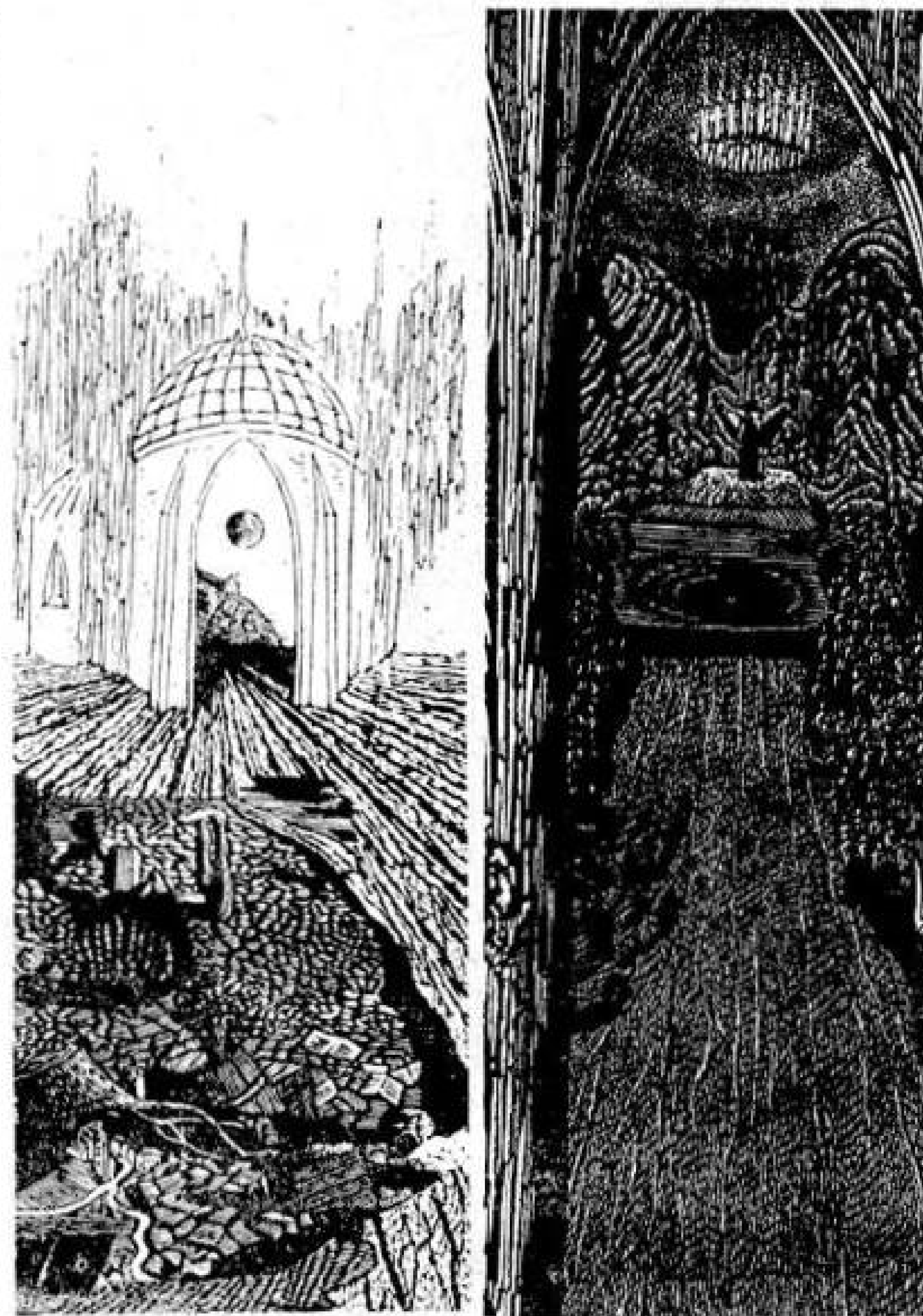
Spis materiałów źródłowych i bibliografia:

Materiały źródłowe i archiwalne:

1. Archiwum ZG, bank: Konosamenty, sygn. 381/DB3/230 omyłkowo wprowadzone do banku: Środki czystości, sygn. FC5/491/A1D. Konsament wyszczególnia kargo c/p „Teaping" w sposób następujący:

robotów	437	from	U.W.S. „Durendal"
robotów	324	from	p/s „Empress of Universe"
robotów	241	from	R/s „Battle Am"
robotów	153	from	c/p „Popov"

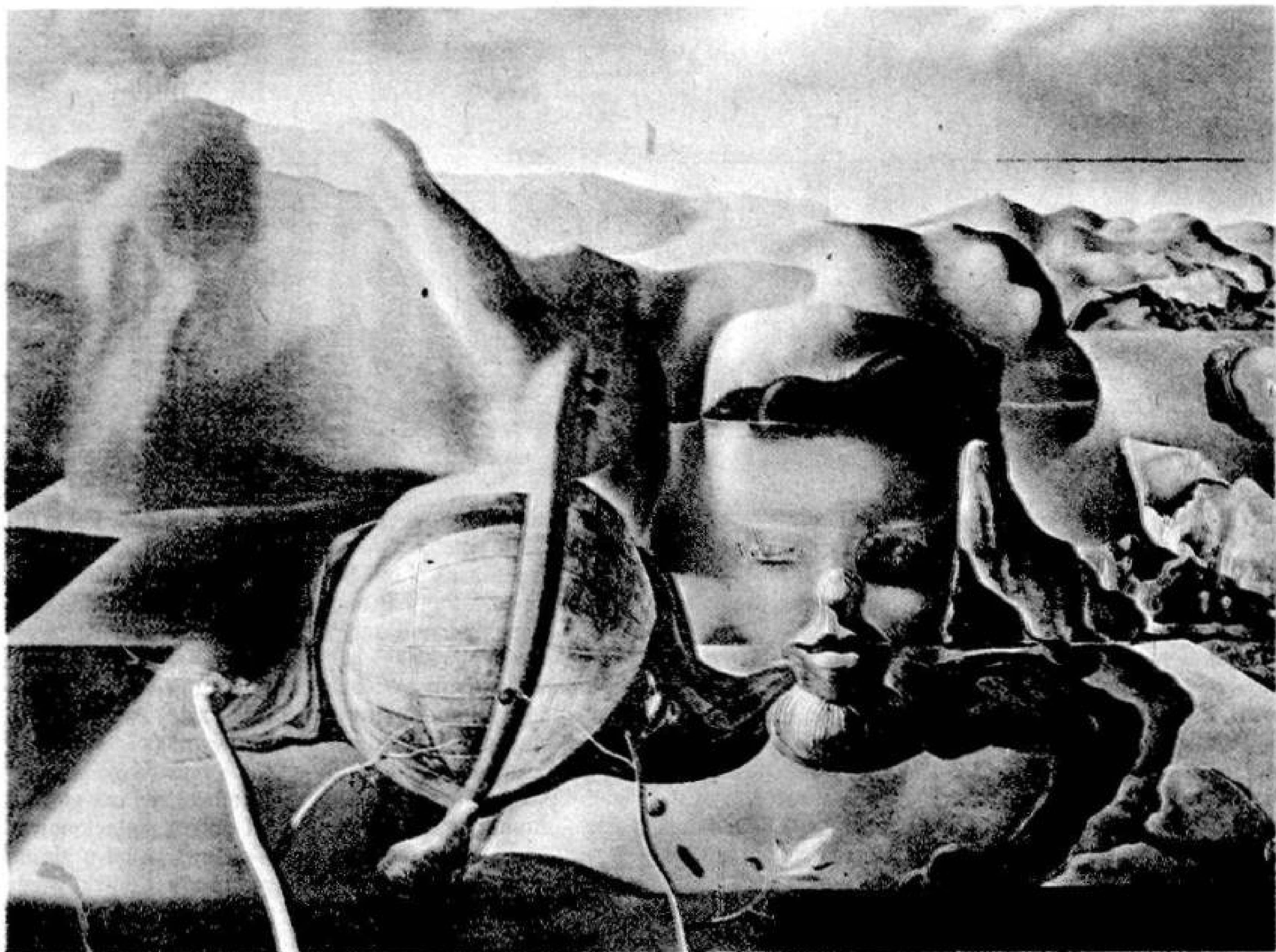
2. Archiwum Lloydu Jednostek Kosmicznych, bank: SP-A, sygn. 341/D/4C1A
3. ibidem, bank: SS-A, sygn. 112/C/825F
4. Archiwum OPO, bank: wytyczne ZG, sygn. 1349/19/A1CO


Janusz Gutkowski

Bibliografia:

5. dr Alex Boten, „Znaczenie kanału mowy w psychice robotów", Akademia Nauk, Troy, 461, mała seria „Robotica"
6. inż. Stan Lioner „Baśnie i mity robotów", wyd. III, Akademia Nauk, Troy 451, wielka seria „Robotica"
7. inż. Stan Lioner, „Moje życie wśród robotów", Wydawnictwo Liberty, New Wienna 395, seria „Ciekawe życiorysy"
8. prof. dr Mushi Okawa i zespół, „Psychologia inteligencji M", część II – typy MARKOPOLO, MAGELAN, MAHAN, MAKAROV, MIKAWA, MOLTKE, MAGHURURUN, MALYGIN, MIRANDA, Akademia Nauk, Troy 483, wielka seria „Robotica"
Czasopisma i antologie:
9. dr Alex Boten, „Pozycja Skoczków w mitologii robotów" w: „Świat robotyki" 2/459
10. dr Joanna Mertlick, „Roboty i dzieci" w: „Świat robotyki" 10/472
11. doc. Morton Vallek, „Tajemnica »Speranzy«" w: „Świat robotyki" 7/472
12. Zespół INR, „Znaczenie języków wewnętrznych. Rekonstrukcja KOMLANGU i jego archaicznych dialektów PLANNER, LISP i SALL z przejściem na COMPUTER LANGUAGE" w: antologia INR, Tolingrad 479.

Przełożyła Joanna Czaplińska



dokończenie ze strony 11

Dali

sztuką. Jakże on pragnie, jakże lubi ukazywać ludzi w stanach przyboru fantazji i fantastyczności, istoty ze snu, niepewne swej egzystencji. Sztuka ta bazuje teoriom Freuda, a później także i tych, co mistrza Freuda mocno krytykowali. Jednakże całe ufantastycznianie otoczenia, deformowanie ludzi i zwierząt (słonie na cienkich długich nóżkach), wydobywanie się postaci z postaci wzajemnie sobie wrogich, czy twarzy brzydkich z twarzy cudnych – ten niezwykły splot malarskich happeningów, naśladujących i pastiszowo wykpiwających tradycje w sztuce i w życiu służy – tylko moralizatorstwu, tylko?

Czyżby tworzenie etycznego kontrapunktu nie było wzniosłym celem tworzenia? Czy pomniejsza tego malarza i rzeźbiarza, tego błazna i żonglera paradoksu dążenie do uzyskania konkretnych, użytkowych efektów? To co robił Dali pozoruje bowiem jedynie metody „sztuki dla sztuki", lub sztuki dla zabawy, dla drażnienia współczesnego burżuja. Warto tutaj przypomnieć, iż podobne zamiary i cele przyświecają dość często także i współczesnej, szeroko pojętej prozie fantastycznej. Fantastyka ma w sobie wiele jak gdyby wprost ze sztuki Dalego. Oscyluje nieustannie między zmysłowością a uduchowieniem, między druzgocącą logiką nauki a nieuchwytnością istoty życia, między komizmem a grozą, między śmiercią a zmartwychwstaniem. Nic dziwnego, że w pełnej dojrzałości twórczej powstał w końcu pod pędzlem Salvadora Dali cały cykl obrazów o treściach religijnych.

Urodził się w 1904 i dzieciństwo jego upłynęło w pustawej scenerii nadmorskich plaż, których tłem były – błękit nieba i błękit morza. W większości swych dzieł ciągle nawracał do widoków z dzieciństwa, jak gdyby w ten sposób chciał, przedstawiając bogactwo współczesnego świata i przeżyć, zachować swą tożsamość, nie utracić jej nigdy. Być może właśnie z takiego infantylizmu rodził się jego dystans artysty do epoki, w której musiał żyć – do dwóch wojen, których był świadkiem, do upadków i wzlotów człowieczeństwa. Dał także w swoich dziełach początek niezwykłej wprost precyzji przedstawiania – sztuce nie wyobrażającej sobie trudności w demonstrowaniu. Jak to ktoś z jego otoczenia powiedział: *było to malowanie tego co nawet nie istnieje, czego nie można sobie wyobrazić.*

Kierunek ten jest również charakterystycznym rysem epoki – pragnęlibyśmy bowiem opanować to, czego absolutnie nie potrafimy i czego być może nigdy się nie nauczymy. Jeśli niemożliwe nie da się zdobyć metodami nauki, to – spróbujmy posłużyć się zjawiskami dalekimi od nauki i techniki. Nadprzyrodzone jest wokół nas! Nie lękał się Dali sięgać do stanów patologicznych psychiki ludzkiej. Zaprogramował też to sięganie do granic normalności i nienormalności w swej paranoiczno-krytycznej metodzie.

Jego powiedzenie o udawaniu wariata, aby nie zwariować, może mieć więc drugie dno. Nie lękając się odsłaniania zjawisk, które tkwią we wnętrzu nas i naszych bliskich – znał je przecież dobrze obserwując w swym życiu aż dwie najstraszliwsze wojny światowe – „zamawiał" jak gdyby te ludzkie, „wewnętrzne tygrysy", poszukujące sposobów wydostania się na zewnątrz. Stąd błazeńska, kpiąca postawa. Nie myli się wobec tego jeden z poetów, J.G. Bohinski, pisząc:

jeszcze wam w oczach nie
postały boście mali
te perwersyjne światy, które
stwarzał Dali,
a one są zachodu pastiszem,
symbolem...

Adam Hollanek

David Brin

Rzeka czasu

(The River of Time)

Nie sądzę, żeby ktokolwiek dokładnie wiedział, kiedy się to zaczęło. Na początku wydawało się to śmiertelną chorobą. Dziesiątki, a może i setki ludzi zostało pogrzebanych lub spalonych w krematoriach zanim rozpoznano istotę choroby.

Była to pseudośmierć. Uderzała bez ostrzeżenia. Nic jej nie zapowiadało, nie było żadnych wcześniejszych objawów, które dawałyby znać, że nadchodzi.

Jej ofiary często znajdowano w łóżkach, na pozór uśpione, jednak sztywne i nieruchome. Widać je było na chodnikach, jak z nieobecnym wzrokiem, niepewnie utrzymywały równowagę pośród idących ludzi. Urzędnicy, których dotknęła, siedzieli wpatrując się pustym wzrokiem w papiery, z długopisami zawieszonymi nad i bez kropki.

Ciała pozostawały ciepłe. Po dokładnym zbadaniu okazało się, że zużywają tlen i wydalają dwutlenek węgla.

Tylko sztywność była wspólna z *rigor mortis*... uparta odmowa poruszenia się.

Nikt czegoś takiego wcześniej nigdy nie widział. Wkrótce zaczęto publiczne dochodzenie. A w kilka tygodni po tym, jak epidemia została stwierdzona, urzędowe tryby wciągnęły mnie w ten bałagan. Zanim Agencja do Sytuacji Kryzysowych sięgnęła do swojej listy zwariowanych konsultantów – byłem świadkiem jak ta nowa śmierć uderzyła w kilkoro z moich znajomych, dwóch bliskich przyjaciół i – na moich oczach – w mojego agenta.

Larry Carpis zaprosił mnie na obiad do Goldfarba, restauracji o umiarkowanych cenach, niezbyt oddalonej od jego biura, gdzie zwykle zabierał tych spośród swoich klientów, których zaliczał do kategorii „błyskotliwi, młodzi, obiecujący".

Tak upoiła mnie własna błyskotliwość, że ledwie spróbowałem steku. Wymownie gestykulując, streszczałem Larry'emu koncepcję kolejnej powieści.

Carpis jak zwykle jadł powoli, a jedząc odzywał się bardzo rzadko. Zazwyczaj długo milczał zastanawiając się, zanim wypowiedział swoje zdanie. Dlatego trudno mi powiedzieć, kiedy nastąpiła zmiana. Zauważyłem, że ma niezwykle zamyślony wyraz twarzy, a kiedy przesunąłem krzesło, jego wzrok nie podążył za mną.

Nie dowiedziałem się, co Larry myślał o mojej powieści. Sam uważam, że pomysł był całkiem niezły. Oczywiście, nigdy jej nie napisałem.

Następnego dnia obudziło mnie łomotanie w drzwi. Kiedy zaspany otworzyłem, zobaczyłem dwóch potężnych, stojących na baczność wojskowych żandarmów.

– Pan Daniel Brand, pisarz sci-fi? – zapytał wyższy z nich.

– Chodzi panu pewnie o science fiction. Poza tym napisałem jeszcze parę naukowych artykułów...

Mówiłem jak automatyczna zegarynka. Na moim progu stało dwóch gliniarzy, a ja serwowałem im standardowy tekst, który wygłaszałem zawsze na przyjęciach. Pełen uśmiech i zadowolenie.

– Przepraszam pana. Science fiction. Będę pamiętał – skinął głową. – Panie Brand, ma się pan udać z nami. Pańskie zlecenie na współpracę z Agencją do Sytuacji Kryzysowych zaczęło obowiązywać.

Stałem osłupiały. Wiedziałem tylko to, że dwóch Brobdingangów z karabinami chce mnie gdzieś zabrać... i to przed porannym sokiem pomarańczowym!

W takim momencie każdy z moich bohaterów wyciągnąłby pistolet laserowy... albo powiedział coś tak głośno, żeby automat przy drzwiach mógł potem zrelacjonować wszystko jego najlepszemu przyjacielowi. Albo z zimną krwią rozbroiłby niedoszłych napastników i uciekł przez okno w łazience. Udało mi się przeskoczyć te schematy mruknięciem.

– Moje co?

– Pańskie zlecenie, zgodnie z umową z Agencją do Sytuacji Kryzysowych. Przez rok otrzymywał pan stypendium, a pańskie nazwisko znalazło się na liście niekonwencjonalnych konsultantów na wypadek hipotetycznego kryzysu. Na pewno pan to pamięta.

Szczęka mi opadła.

Wreszcie przypomniałem sobie. Moje roczne stypendium wynosiło nędzne sto dolarów (jednorazowo), z czego dziesięć procent zabrał Larry, ponieważ był to jego pomysł. W zamian za to zgodziłem się służyć mojemu krajowi radą w przypadku, gdyby wylądowały małe, zielone ludziki, albo z mórz wyszły dinozaury, albo stało się cokolwiek w tym stylu... i obiecałem poinformować kaprala siedzącego w małym biurze w podziemiach Pentagonu o każdej zmianie adresu. Budżet dla tego programu był ustalony na dwadzieścia lat w przód przez naszego poprzedniego Prezydenta, maniaka pracy, kiedy ten dowiedział się, że USA nie ma żadnych planów na wypadek, gdyby jakaś wielka kometa albo coś innego leciało w stronę Ziemi. Myślę, że użył pieniędzy wyciągniętych z tego budżetu na opłacenie sprzątaczek w Białym Domu.

– Potrzebują mnie – powiedziałem.

– Tak jest – potwierdził erudyta dzierżący gumową pałkę. – Czy mógłby się pan teraz ubrać...?

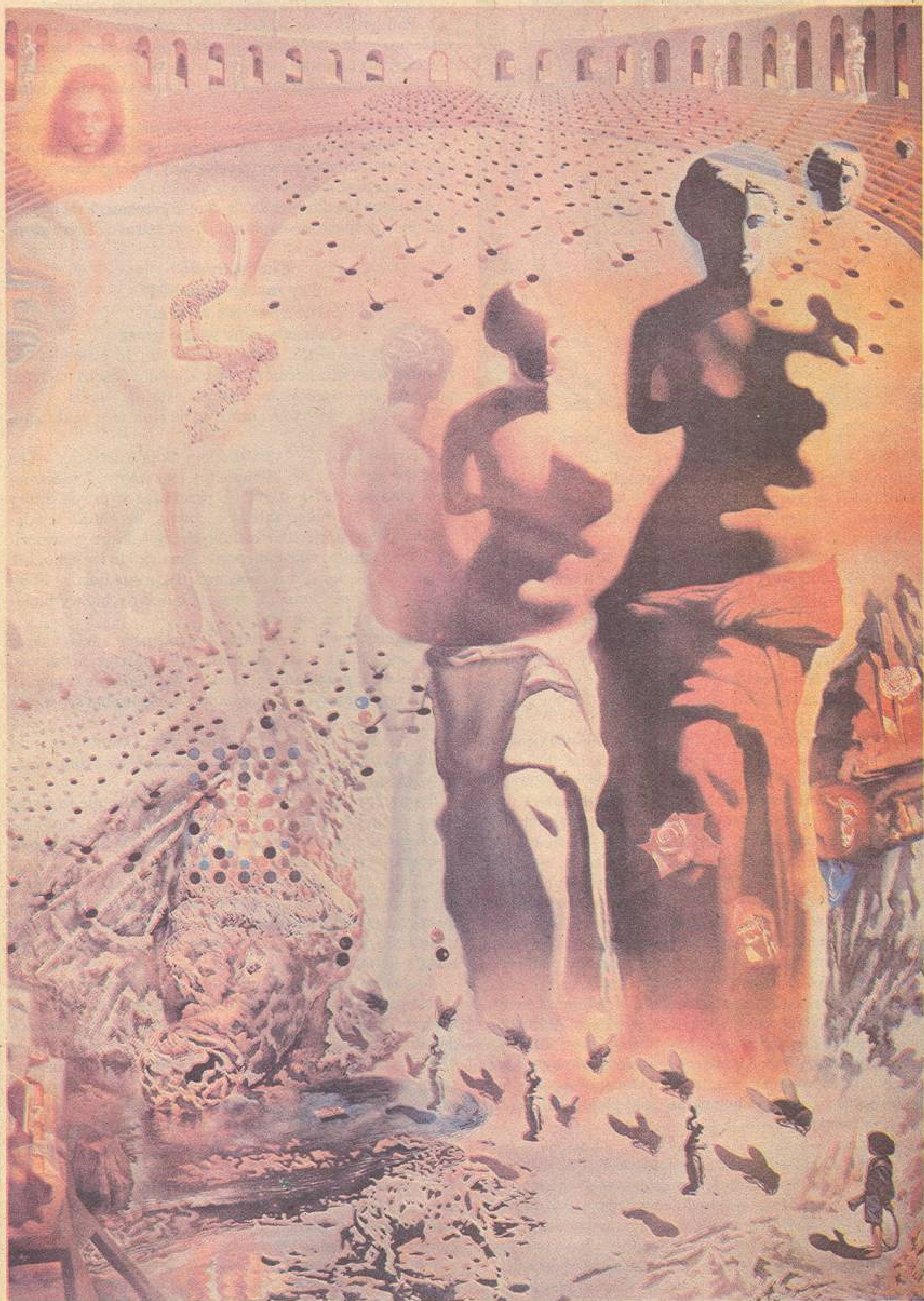
Pozwolono mi zabrać dokumenty i szczoteczkę do zębów. Resztę: „otrzyma pan w miejscu spotkania grupy antykryzysowej".

Gdy opuszczaliśmy budynek, odjeżdżały właśnie dwa ambulanse, zabierające żniwo kolejnej nocy. Przechodnie przyglądali się temu z nietypowym dla nowojorczyków zainteresowaniem. Można by powiedzieć, że byli przestraszeni.

– Czy to znaczy, że spotkam nareszcie Carla Sagana? – zapytałem, kiedy dwaj żandarmi popychali mnie w stronę zielonego, rządowego plymoutha.



Dalí





Ryszard Bojarski

– Nie, proszę pana – odpowiedział ten, który opanował słownik. – Wydaje mi się, że on już padł ofiarą choroby. Komputer wyciągnął pana, jako posiadającego najlepsze kwalifikacje w grupie konsultantów. Z tych, którzy jeszcze przetrwali. Jedziemy teraz do głównego zespołu medycznego. Oczekują tam pana.

W taki sposób stałem się grubą rybą w badaniach nad stanem powolnej śpiączki. Komputer mnie wyciągnął. Pamiętam, jak pomyślałem wtedy, że ofiar musi być już bardzo dużo, skoro biedna maszyna jest w takiej desperacji.

W szpitalu panował chaos. Oddziały stałej opieki były przepełnione. Żeby poradzić sobie z rosnącą liczbą ofiar adaptowano szkolne sale gimnastyczne i baraki Gwardii Narodowej.

Objawy były przerażające. Lekarze wsłuchiwali się w powolne uderzenia serc, zamartwiali się oczami, które nie mrugały, ale w jakiś sposób pozostawały wilgotne. Przyglądali się zdesperowani wykresom encefalograficznym, których piki mogłyby pokazywać drgnienia pojedynczych neutronów, ale całe wykresy miały charakter... normalny!

Jednak najbardziej niepokojące było to, co malowało się na twarzach pacjentów. W swojej zastygłej nieruchomości nie były one pogodnie bezmyślne, jak można by oczekiwać u katatoników. Nie były też spokojne, jak twarze podczas snu. Zamiast tego, u większości ofiar coraz częściej wyrażały żałośnie zastygłą, ale niewątpliwie świadomą panikę.

Nazwę „spowolnienie letargiczne" nadano, kiedy odkryto, że pacjenci posiadają pewną śladową zdolność ruchu. Pozostawionych na noc bez opieki, często znajdowano później stojących niedaleko łóżek jak rzeźby, usiłujące gdzieś odejść. Niekiedy dwoje leżących w sąsiedztwie a dotkniętych plagą nad ranem miało twarze zwrócone ku sobie, jedno lub oboje z ustami uchylonymi, zastygli w scenie naśladowania rozmowy.

W chwili gdy dołączałem do Zespołu nr 1, epidemia atakowała jedną osobę na dwieście. Miesiąc później stosunek ten wynosił jeden do pięćdziesięciu pięciu. Opiekowanie się i zapanowanie nad tyloma pacjentami stało się wręcz niemożliwe. Już samo karmienie dożylne wyczerpywało zdolności służby zdrowia.

Tak wyglądała sytuacja w dniu, w którym poszliśmy z dr. Hunter, żeby przekazać nasze wnioski. Weszliśmy razem, ale nie towarzyszyłem jej do szczytu stołu. Po miesiącu nadal byłem tutaj elementem trochę obcym, na przekór zaufaniu jakie pokładały we mnie komputery.

Hunter uniosła nad ciężkim, dębowym stołem plik zagryzmolonych i zarysowanych kartek.

– To wszystko napisali nasi pacjenci! – ogłosiła.

Popchnęła zapiski po lśniącej powierzchni stołu. Lekarze podnosili je i oglądali.

Hunter wskazała na mnie i zwróciła się do obecnych.

– Pamiętacie, jak trudno było komisarzowi Brandowi i mnie nakłonić was, żeby zostawić niektóre ofiary same sobie z kartką i ołówkiem? No cóż, oto są rezultaty eksperymentu. Pozostawieni w spokoju, wyprodukowali te dokumenty.

Większość zapisków stanowiły żałosne gryzmoły – normalny człowiek mógłby napisać coś takiego, trzymany w samotności, bez przerwy znieważany i popędzany przez obce, kapryśne moce.

Ale jedna kartka różniła się. Treść przekazu była wyraźnie, choć pośpiesznie napisana. Duże staranne litery głosiły:

Kim jesteście?
Czy znacie angielski?
Nie życzymy wam źle!
Odpowiedzcie wolno prosz

Urywała się nagle. Hunter wyjaśniła, że pielęgniarka, zauważywszy niezmienioną przez dwa dni pościel na łóżku pacjenta, interweniowała, niszcząc ostatnie zdanie.

Pozostali patrzyli to na mnie, to na Hunter w zakłopotaniu.

– Nie widzicie? – wykrzyczałem moją frustrację. – Ten gość jest najwyraźniej inteligentny i spokojny. Z niesamowitą pomysłowością starał się przekazać w czasie, który musiał być dla niego zaledwie chwilą, króciutką wiadomość do potężnych, niewidzialnych istot, które go uwięziły! Z jego punktu widzenia poruszamy się zbyt szybko, tak szybko, że nie może nas zobaczyć. Być może uważa, że jesteśmy pozaziemcami. Jak inaczej mógłby sobie wytłumaczyć to, co mu się przytrafiło?

W jednej chwili szedł ulicą. Potem nagle znalazł się w szpitalnym łóżku okładany pięściami i poszturchiwany co parę sekund, przekładany, kiedy tylko chciał się ruszyć.

Jeden ze starszych pandemiologów poskrobał się w głowę.

– Czy usiłuje nam pan powiedzieć, że ci katatonicy wcale nie są chorzy? Że są zupełnie normalni, ale tylko niesamowicie powolni?

Spojrzałem na Hunter zdesperowany. Właśnie to staraliśmy się im powiedzieć od dwóch tygodni.

Przerwała mi. Myślę, że nie chciała, żebym przez mój temperament zaprzepaścił sprawę.

– Tak – powiedziała. – To zaś prowadzi nas do konkluzji, że epidemia wcale nie jest problemem medycznym, ale czymś co wymaga badań fizyków... i może specjalistów od metafizyki, i ludzi świętych. Może nawet również pisarzy science fiction.

To słysząc zrobiłem głupią minę, ale siedziałem cicho.

Dobrze wiedziała, że gronu zebranych tam czcigodnych lekarzy trudno będzie coś takiego przełknąć, więc szybko dodała na osłodę.

– Wydaje się nam także, panie i panowie, że to rozwiązanie daje możliwość wyjścia z kryzysu, do którego się szybko zbliżamy... kryzysu zbyt małej ilości szpitalnych łóżek i przepracowanych lekarzy i pielęgniarek. Pomysł, kiedy się już do niego przyzwyczaić, jest całkiem pociągający...

Oczywiście miała całkowitą rację. Problem opieki był pilny i mógł zostać szybko rozwiązany. Prawdę mówiąc był to ostatni moment. Bo podczas gdy debatowaliśmy, zwalił się na nas kolejny fenomen.

Jakiś miesiąc od wybuchu epidemii spowolnienia letargicznego, nastąpiła seria dziwnych śmierci – lub raczej zaginięć. Ludzie po prostu znikali.

W tym samym czasie, kiedy zauważono pierwsze zniknięcia, rozpoczęła się też fala dziwnych psikusów.

Na stołach poważnych urzędników pojawiały się znikąd szczekające psy. Mężczyźni i kobiety idący ulicami stwierdzali nagle, że są bez ubrania, jakby wyparowało ono w mgnieniu oka. Alarmy wyły w całym mieście, a jedzenie znikało z tac w eleganckich restauracjach.

Zdarzały się też rzeczy okropne. Najgorsza była katastrofa lotnicza. Ktoś najwyraźniej spętał stalową liną podwozie samolotu tuż przed jego wysunięciem. Nikt nie widział jak to się stało, nikt nie zauważył winowajcy.

Kilka słynnych i pięknych kobiet zniknęło z miejsc publicznych, a gdy odnajdowano je w kilka minut później w zupełnie innych rejonach miasta, nieco wymięte i potargane, nie pamiętały co się z nimi stało, pozostało im tylko chaotyczne i rozmyte wrażenie.

Niektórych ludzi, posiadających wrogów pomiędzy zaginionymi spotkał makabryczny koniec. Między innymi paru polityków i prawie wszystkich szefów organizacji kryminalnych.

Ale w świetle teorii, którą stworzyliśmy, dziwne było, że szkód było tak mało... biorąc pod uwagę do czego zaginieni byli zdolni oraz ich rosnącą liczbę.

Na przykład włączenie alarmu prowadziło najczęściej do odkrycia, że „ktoś się tam kręcił". Rzadko ginęło coś wartościowego. Za to prawdziwi kryminaliści często byli „teleportowani" wprost do więzień. A przynajmniej tak się wydawało ogłupiałej policji.

Powiedziałbym, że lęk przed kawałami jako dodatek do strachu przed spowolnieniem letargicznym przekraczał to, co przeciętny człowiek był w stanie wytrzymać.

Ludzie na ulicy, w każdej chwili mogący stać się obiektem kaprysu kogoś niewidzialnego, kto zechce im wrzucić za kołnierz proszek wywołujący swędzenie lub ściągnąć spodnie, byli tak samo przestraszeni, jak nasi pacjenci w szpitalu Johna Hopkinsa.

Sprowadziliśmy fizyków. A także mistyków i metafizyków, i pisarzy sci-fi. Najpierw o mało się nie pozabijali, a potem wszyscy zgodzili się z jednym. Byliśmy świadkami dokładnego i nieprzyjemnego zepsucia się czasu.

Wspaniale. Hunter i ja doszliśmy już do tego wcześniej.

Ku powszechnej uldze, przynajmniej nasz sposób rozwiązania problemu spowolnienia letargicznego działał. Zamiast traktować ofiary epidemii jako ludzi chorych, zostawiliśmy im swobodę i pozwoliliśmy prowadzić szpital po swojemu.

Wkrótce pozostawiano im całe miasta. Żandarmi pilnowali ich granic, a inspektorzy raz na tydzień albo dwa wpadali, żeby sprawdzić czy wszystko jest w porządku i dostarczyć jedzenie.

Powolne miasta były niesamowite. Ci, którzy mieli prawo je odwiedzać, czuli się jakby trafili do miejsc, gdzie jakiś szalony, płodny rzeźbiarz wpadł w amok, pozostawiając dokładne kopie żywych ludzi w trakcie ich codziennych zajęć: gotujących, jedzących... ktoś, kto zjawiał się w tydzień później mógł zobaczyć tę samą statuę zmywającą naczynia.

Gdyby problem Zniknietych można było równie łatwo rozwiązać.

Zatargaliśmy z Hunter stolik i maszynę do pisania w miejsce, gdzie znajdowała się najpopularniejsza tablica ogłoszeń w mieście. Wynajęliśmy malarzy znanych z szybkości i daliśmy im wiadomość do napisania.

Kiedy wpadliśmy na ten pomysł, wiedzieliśmy, że nie mamy chwili do stracenia. Zaprzepaszczona minuta dla zaginionych była dniem. Mimo wszystko byłem jednak zadowolony, że wychodząc z domu zdążyłem złapać butelkę szkockiej whisky. Kiedy siedzieliśmy pod tablicą ogłoszeń, patrząc jak malarze wykonują napis:

Zniknięci! Prosimy, skontaktujcie się z nami!

pociągnąłem z niej tęgi łyk, a potem przekazałem butelkę Hunter.

W tym samym momencie, kiedy malarze skończyli napis, Hunter i ja zauważyliśmy, że nasze ubrania znikają. Odczułem coś, co można by określić jako pieczenie, jakby ktoś przejechał po moich rękach i nogach papierem ściernym. Hunter podskoczyła i krzyknęła.

Nie o takim „kontakcie" myśleliśmy, ale był to jakiś początek.

Wcześniej ostrzegłem malarzy, czego się mogą spodziewać. Mogłem być z nich dumny. Podskoczyli ze zdumienia, ale potem goli jak święci tureccy, wesoło wrócili do pracy, wymalowując naszą wiadomość.

Następna linijka głosiła:

Rozmawiajcie! Bądźcie mili! My jesteśmy mili dla powolno-śpiączkowców! Jesteśmy gotowi

Nie dokończyli tej linijki, ponieważ znowu coś się wydarzyło. W sekundę moja głowa została ogolona do żywej skóry. Piękne piersi dr Hunter pomalowane jaskrawą, niebieską farbą, podobnie jak... hmmm... pewne części mojej anatomii. A obok maszyny do pisania zawirował plik notatek. Wiadomości tłoczyły się i przepychały przed moją twarzą, pozostając jednak wystarczająco długo, by nie było wątpliwości, że są to kpiny.

Potem, nagle, papierowy sztorm zakończył się. Mignął mi jeden, nie, dwoje ludzi leżących bez przytomności na chodniku. Zaraz zniknęli, a w tym samym momencie coś poderwało moje kończyny i znalazłem się z powrotem w ubraniu.

Papierowy cyklon powiał znowu, tym razem nieco wolniejszy i wyraźnie pojednawczy w tonie. Domyślałem się, że zostaliśmy wybawieni od pierwszej grupy Zaginionych, przez drugą, bardziej odpowiedzialną.

Pisałem najszybciej jak mogłem:

Zorganizujcie się! Trzymajcie wiadomości trochę dłużej!

Jestem upoważniony w imieniu pogotowia kryzysowego wyznaczyć osobę odpowiedzialną...

Karta zniknęła i natychmiast pojawiła się ze skreślonymi słowami „osobę odpowiedzialną", a wstawionymi *Herman Wunkler*.

Musiałem pomyśleć przez dwie sekundy. Dla Hermana Wunklera były to na pewno długie godziny.

Wiedziałem, że jest to nazwisko profesora filozofii z uniwersytetu w Crosstown. Kiedy zniknął, miał ponad pięćdziesiątkę. Był uznawany za błyskotliwego wykładowcę łagodnie oceniającego studentów.

To rokowało dobrze. Skończyłem pisać oświadczenie dające Wunklerowi prawo zorganizowania Zaginionych na wzór normalnego społeczeństwa konstytucyjnego, z nadzwyczajnymi zastrzeżeniami w celu jak najlepszej ochrony nas, normalnych.

Kiedy wystukiwałem ostatni paragraf, w mojej ręce znalazło się pióro zawieszone nad końcem kartki. Szybko podpisałem. Jeżeli Wunkler był przy mnie przez cały czas, musiał też mieć niezłą grupę pomocników. Nie zabrało im dużo czasu odnalezienie i przetrząśnięcie odpowiedniego biura rządowego, żeby potwierdzić moje uprawnienia.

Liczyłem sekundy odwracając się do Hunter. Uśmiechnęliśmy się, zadowoleni z odwalonej roboty.

Gdy doliczyłem do ośmiu, w mojej lewej ręce pojawił się nagle kufel zimnego piwa. Cygaro (takie jakie lubiłem) dymiło w drugiej. Dr Hunter lekko zdębiała, kiedy nasz stolik

David BRIN

Amerykański autor, zdobywca nagród Hugo i Nebula, wykładowca fizyki i współbudowniczy promów kosmicznych, był przedstawiony na naszych łamach w listopadzie 1988 roku pięknym opowiadaniem „Kryształowe sfery", później zamieściliśmy „Thor spotyka kapitana Amerykę" (6/89) i „Czwarte powołanie George'a Gustafa" (8/89). Jak twierdzi autor, „Rzeka czasu" jest jednym z jego najwcześniejszych opowiadań i jedynym, które zapisał dokładnie tak, jak mu się przyśniło.

Temat spotkania osób (lub całych cywilizacji) żyjących w odmiennym czasie lub tempie jest jednym z klasycznych i zawsze fascynujących tematów science fiction – przypomnijmy choćby wersję Barringtona Bayleya w powieści „Kurs na zderzenie" czy pozostający w pamięci obraz spowolnionego miasta w „Robocie" Adama Snerga-Wiśniewskiego. (L.J.)

zastąpiło potężne, mahoniowe biurko, a w miejsce składanych fotelików pojawiły się pluszowe leżanki.

Pod daszkiem w kolorowe pasy nad głowami pracowaliśmy z Hunter przez dwie godziny czytając pośpiesznie kolejne raporty, które pojawiały się przed naszymi oczami jak obrazy...

Szybko opanowaliśmy technikę odpowiadania „tak" lub „nie" przez mrugnięcie to prawym, to lewym okiem.

W ciągu stu minut opracowaliśmy porządek społeczny. Nagle, w całym kraju skończyły się głupie kawały.

Musieliśmy, oczywiście, zmienić całkowicie prawa fizyki. Zgodnie z wszystkimi regułami Pośpieszni (jak wkrótce zaczęto nazywać Zaginionych) powinni się byli spalić przez swój superszybki metabolizm, jeżeli nie po prostu od tarcia powietrza, podczas poruszania się. Powolniacy (tak nazywano teraz Powolnośpiączkowców) powinni przewrócić się w pół kroku przy każdym ruchu.

Jakoś wszystko udało nam się uporządkować. Coraz więcej ludzi stawało się Pośpiesznymi lub Powolnymi. Zaczęliśmy dzielić miasta na obszary zamieszkane przez grupy zależnie od ich prędkości. Rozwinął się handel wymienny, do kontaktów używano komputerów.

Liczyliśmy, że Pośpieszni będą nam służyć za obrońców i tak się stało. Pilnowali nas superszybcy policjanci. Ratowali nas superszybcy strażacy.

Hunter nie była jednak optymistką, a ja wiedziałem czego się obawia. Czy nie rozwiną się trzy oddzielne rasy? Przez ile pokoleń Pośpieszni będą pamiętali o swoim wspólnym pochodzeniu z Normalnymi, a Normalni o ich odpowiedzialności za Powolnych?

Mieliśmy tylko parę miesięcy, żeby się nad tym zastanowić. Wkrótce rozeszła się wieść, że profesor Wunkler umarł w wieku stu dwóch lat. Następne informacje, jakie przekazał nam komputer, mówiły o panice, jaka ogarnęła naszych szybkich kuzynów.

Przysięgam, nigdy nie przyszło nam do głowy, że proces może pójść jeszcze dalej!

Pewien odłam Pośpiesznych przeskoczył teraz na jeszcze szybszą ścieżkę czasu. Znowu zaczęły się głupie psikusy, tym razem jednak skierowane głównie na Normalnie Pośpiesznych. Najwyraźniej Superpośpieszni nie chcieli zawracać sobie głowy figurami, które podczas ich życia nawet nie zdążą zareagować, więc właściwie zostawili Normalnych i Powolnych w spokoju.

Musieliśmy wymyślić inne nazewnictwo. Nowy poziom Pośpieszniaków nazwany został Pośpieszni II. Potem nasze miasta podzielone zostały na cztery części. Kiedy z kolei Powolniacy zaczęli mieć swoje odłamy, dzieliliśmy je znowu.

Wielu fizyków, którzy już myśleli, że zrozumieli co się dzieje, oszalało, popełniło samobójstwa, albo zmieniło zawód. Rozważałem możliwość, że kiedyś Ziemia była naprawdę środkiem wszechświata, że starożytni filozofowie mieli rację budując prymitywne modele rzeczywistości w kształcie kryształowych sfer i dziur na granatowym niebie. Być może istniały siły, które, gdy ludzkość już prawie zrozumiała swoje miejsce w klatce i rządzące nią zasady, celowo po prostu poszerzyły zakres możliwości, przywołując nas do porządku.

Diabli wiedzą.

Mamy z Hunter troje dzieci. W dziwny sposób otrzymaliśmy to, o czym w sekrecie marzą wszyscy rodzice. Dzięki Emmie, Cassandrze i Abelowi nasza rodzina stała się taka jak pragnęliśmy.

Abel jest naszym najstarszym dzieckiem. Kiedy miał dwanaście lat stał się Pośpiesznym I, równo na trzy tygodnie przed tym, zanim jego siostra Cassandra, Hunter i ja zostaliśmy porwani z naszego poziomu i rzuceni w jego świat.

W tym czasie zajmowali się nim jacyś mili ludzie i wyrósł na porządnego mężczyznę – silnego, inteligentnego i sympatycznego. Kiedy dołączyliśmy do niego, przedstawił nas nieźle już podrośniętym wnukom.

Powiedziałem już chyba, że Cassandra poszła z nami? Jest cudownym dzieckiem... sprawia nam masę radości i ciągle zaskakuje czymś nowym. Jest nieznośna i cudowna, i rośnie z dnia na dzień w oczach. Jesteśmy pewni, że zawsze będzie z nami... a przynajmniej, że spędzi tu swoje dzieciństwo.

Emma była naszym najładniejszym dzieckiem. „Była" to złe słowo, bo będzie piękna i zawsze siedmioletnia do końca naszego życia. Kiedy zmienialiśmy ścieżkę czasu, ona została. Nikt nie wie, jak kontrolować te zmiany, więc musimy je akceptować.

Nieważne. Podchodzimy do tego filozoficznie. Zanieśliśmy ją z wiadomością przypiętą do swetra naszym przyjaciołom Nealesonom, którzy są przemiłymi ludźmi. Od czasu do czasu wpadamy, żeby rzucić okiem na nasze dziecko. Wiemy o niej tyle, że jest zawsze porządnie uczesana. Hunter twierdzi, że nawet w trakcie meczu baseballa. Mruczę coś na temat wtrącania się, ale wiem, że ona też lubi wiedzieć, że jesteśmy gdzieś blisko. To będzie dla niej tak krótko trwało.

Zresztą ruch idzie teraz w obie strony – dzieje się to zupełnie przypadkowo. Pewnego dnia być może Emma opuści Główny Strumień Czasu i połączy się z nami.

Zresztą, co to jest Główny Strumień Czasu? Sam już nie wiem. Jakimi jednostkami mielibyśmy liczyć zmiany?

Nasz lęk przed tyranią Pośpiesznych okazał się niepotrzebny. Nowe ścieżki czasu pojawiają się, jak się wydaje, mniej więcej co dziesięć lat, z punktu widzenia strumienia „najdalszego"... co oznacza, że z mojej obecnej perspektywy zdarzają się co kilka milisekund.

Nie ma w tym logiki. Żadnej, z dawnego punktu widzenia. Ale jest wystarczająco dużo ludzi, żeby zapełnić te strumienie i dla wszystkich jest miejsce.

Ludzie płyną w przód i w tył przez strumienie, jak ryby w różnych częściach tej samej rzeki. Niektórzy porwani przez szybkie prądy, inni dryfują wolno blisko brzegu. Handlujemy i wymieniamy pomysły. Pomysły, które wędrują w dół są cudowne, ale zawsze znajduje się coś wartościowego, co idzie w drugim kierunku. W jakiś sposób wszyscy pozostajemy ludźmi. Jestem teraz konsultantem Rządu Pośpiesznych I. Cieszę się tu sporym respektem. Coś tak, jakbym był odrodzonym Benjaminem Franklinem. Jest nawet pewne zapotrzebowanie na moją science fiction, chociaż najlepsze dni tego gatunku należą już do przeszłości.

Hunter i ja nie rozstajemy się nigdy. Może to przesąd, ale wierzymy, że jeżeli się znajdzie kogoś, kogo się kocha i mocno go trzyma, to gdy nadchodzi zmiana, przejdzie się do innego czasu razem.

Mam nadzieję, że tak właśnie jest.

Zastanawiałem się nad tym długo podczas naszych dyżurów przy Powolnych, którymi się opiekowaliśmy.

Doszedłem do wniosku, że rodzi się nowy sposób myślenia, który wypiera stary. Widzę, że słońce wstaje każdego ranka. Drozd przelatuje nad moją głową, ile razy zbliżę się do drzewa, na którym ma gniazdo. Każdego roku liście zmieniają kolor i Pośpieszni farmerzy zbierają plon.

Jak może dzień być dniem dla każdego strumienia czasu? Czy ten sam ptak może śpiewać dla moich Szybszych i Wolniejszych przyjaciół?

Jak to możliwe, że linie się mnożą? Czy kiedyś krąg się zamknie? Jeżeli najwolniejsi z Wolnych spotkają najszybszych z Szybkich i zaczną sobie robić nawzajem psikusy, coraz głupsze przy każdej kolejnej pętli?

Są to pytania wynikające z dawnej logiki i wiem, że są fałszywe. Bo rzeka jest legendą. Jej dopływy łączą się daleko od lodowca, z którego kiedyś wypłynął wątły strumyczek.

Jakże jesteśmy dumni z siebie, że tak dobrze się przystosowujemy. Wmawiamy sobie, że jesteśmy panami tej wielkiej rzeki.

Ale ona płynąc poszerza się, jest coraz głębsza.

A gdzieś tam jest jeszcze Morze!

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Wolfgang Jeschke

Midas albo zmartwychwstanie

Nowa powieść Wolfganga Jeschkego „Midas albo zmartwychwstanie ciała" to zręczne połączenie science fiction i literatury kryminalnej. Nie ustępuje ona pod względem napięcia i bogactwa pomysłów jego pierwszej powieści „Ostatni dzień stworzenia". Autor drobiazgowo opisuje egzotyczne scenerie, łączy piękno krajów Trzeciego Świata i nędzę mas społecznych, oskarżając w ten sposób kastę oficerską nie liczącą się z jednostką ludzką i jej życiem. Protestuje także przeciw wykorzystywaniu nauki przez żądnych zysku ludzi interesu i polityków. Oto treść utworu:

Protagonistą i narratorem powieści jest Peter Kirk, naukowiec z NASA i astronauta. Wraz ze swoim przyjacielem i kolegą, Andrewem Baldenhamem spędza w 2016 roku urlop na Sri Lance – wyspie wyniszczonej przez wojnę domową. Liczne wstawki wyjaśniają przyszłość i przeszłość Petera Kirka, a także informują czytelnika, że od niedawna pojawiają się podejrzane sobowtóry znanych osobistości, ci zaś, którzy chcą wyjaśnić całą sprawę, giną w tajemniczych okolicznościach. Andrew opowiada Kirkowi, że był dawniej członkiem grupy pracującej nad projektem MIDAS, którego celem miało być opracowanie metody dokładnego kopiowania wszelkich struktur molekularnych przy wykorzystaniu zapisu cyfrowego. Mimo iż próby zostały przerwane, bowiem żywotność kopii okazała się zbyt mała, pojawiają się dowody na to, że dawny szef grupy i zarazem wynalazca techniki kopiowania, Cecil Roughtrade, kontynuuje nielegalne eksperymenty i sprawił, że rozkwitł prawdziwy handel na skalę światową kopiami ludzkimi o krótkiej żywotności. Na wyspie przeszłość odżywa przed Andrewem – bezwzględni żołnierze, którzy okazują się hurtownikami spekulującymi kopiami, uprowadzają go i zabijają, sporządzając uprzednio zapis jego kopii. Peter Kirk, który próbuje wyjaśnić zagadkę śmierci przyjaciela, staje się igraszką kolejnych wydarzeń. Co jakiś czas otrzymuje wiadomości od kopii Andrewa, które za pośrednictwem Kirka pragną nawiązać ze sobą kontakt. Kiedy wprowadza nazwisko Cecil Roughtrade do Infopoolu, światowego banku danych, handlarze żywym towarem zwracają na niego uwagę i czynią wszystko, aby go zlikwidować. Ucieczka okazuje się niemożliwa; nawet kiedy znajduje kryjówkę na stacji kosmicznej, odnajduje go nasłany przez nich morderca i Kirk tylko cudem uchodzi z życiem.

W tym czasie Roughtrade przekazuje amerykańskiej agencji wywiadowczej wiadomość, że zamierza zaprzestać swej działalności i oddać się do jej dyspozycji. Rokowania mają się toczyć za pośrednictwem Petera Kirka oraz jednej z kopii Baldenhama. Nieoczekiwanie dochodzi do katastrofy: Roughtrade, Baldenham i sporządzona na wszelki wypadek kopia Kirka zostają zabici przez dawnych wspólników Roughtrade'a. Zabójcy niszczą też niezwykle ważne dokumenty dotyczące projektu MIDAS. Powieść kończy scena w klinice, w której prawdziwy Peter Kirk po raz ostatni spotyka się z obumierającymi już kopiami Andrewa Baldenhama i Cecila Roughtrade'a.

Zamieszczony niżej fragment stanowi pierwszy rozdział powieści. Opisywane w nim wydarzenia mają miejsce tuż po pierwszej i właściwej śmierci Baldenhama.

Z pewnością zna pan Nancy Tanner – powiedział taksówkarz.

Zatrzymaliśmy się w cichej uliczce przed tylnym wyjściem restauracji na Wolfendahl Street.

– Tę aktorkę filmową?

– Tak.

– Widziałem ją kilka razy na wideo – odparłem. – Dlaczego pan pyta?

Zawahał się.

– Niechże pan mówi!

Wyciągnął z kieszeni pognieconą paczkę Benson and Hedges, rozdygotanymi palcami zapalił papierosa i wydmuchnął dym na przednią szybę. – Boję się.

– Ale czego?

– Chyba mogę panu zaufać, mister Kirk?

Wzruszyłem ramionami.

– Przecież znamy się już wystarczająco dobrze.

– Widziałem, jak ją zabili.

– Nancy Tanner? Ach, daj pan spokój! To jakaś makabra! Wszędzie już o tym trąbiono. Co pan widział?

– To było w zeszłym tygodniu, w nocy z 18-go na 19-go. Czekałem w taksówce na Korteboam Street, przed tylnym wyjściem z klubu oficerskiego, tam gdzie zwykle wycho-

dzą z kurewkami. Wtedy chcą im zaimponować i dają największe napiwki. Czekałem więc na tym gównianym podwórzu, gdzie między wypchanymi po brzegi śmietnikami ganiają się szczury, kiedy nagle otworzyły się drzwi. Usłyszałem głośną muzykę. Jakaś para wytoczyła się na zewnątrz, walcząc ze sobą – facet w mundurze i wysoka blondyna. Przy tym oświetleniu nie mogłem dużo zobaczyć, ale jedno było pewne: chciał z nią zrobić to akurat tam, pośród tych śmieci. Zobaczyłem, że ma już rozpięte spodnie, szarpnął ją za suknię, rozerwał materiał. Musiał mieć już nieźle w czubie. Cały czas starał się przyciągnąć ją do siebie i dobrać się do niej, ale to mu się nie udawało, bo kobieta była dosyć silna. Zaczął ją tłuc, wściekły jak diabli, ona wyrwała się i uciekła z wrzaskiem, a on wylądował między śmietnikami tak gwałtownie, że aż szczury prysnęły na wszystkie strony. Bardzo szybko zerwał się jednak i – co ja widzę! – wyciągnął pistolet.

– Niech mi pan pomoże! – zawołała kobieta po angielsku i podbiegła do mojej taksówki. – Niech mnie pan stąd wywiezie! Co za świnie!



Ryszard Bojarski

Zapuściłem silnik i otworzyłem drzwi. Kobieta wyglądała strasznie, nieźle ją urządził! Potargane włosy, szminka rozmazana po całej twarzy, rozerwana suknia na piersiach. W tym momencie padł pierwszy strzał. Zobaczyłem, jak kobieta potyka się i leci do przodu, zakrywając dłońmi swe nagie piersi. Na jej rękach czerwieniła się krew. Wrzuciłem pierwszy bieg i wtedy padł drugi strzał, a po chwili trzeci; pod ich uderzeniami kobieta, jak po pchnięta, przeleciała dwa ostatnie metry prosto na wóz i zatrzasnęła sobą drzwi. Uderzyła twarzą w boczne okienko – oczy miała już nieruchome, szeroko otwarte usta – jednym słowem widok, jakiego nie zapomnę do końca życia. Przycisnąłem gaz do dechy i jej twarz raptownie zsunęła się do tyłu, pozostawiając na szybie czerwony, rozmazany ślad. Czwarty i piąty strzał przebiły tylne okno. Trzymałem nogę na gazie, żeby jak najprędzej wydostać się z miasta i cały czas spoglądałem ze strachem w lusterko wsteczne, czy przypadkiem nie goni mnie radiowóz policyjny.

– Ta kobieta, która została zabita, to była Nancy Tanner?

– Przysięgam panu, mister Kirk – to była jej twarz, jej figura i jej głos!

– Ale przecież przed chwilą mówił pan, że w tym słabym oświetleniu nic nie było widać.

– Początkowo tak, ale pod koniec stała tuż przy wozie, widziałem więc wyraźnie jej twarz. Jednak to, co najdziwniejsze usłyszy pan dopiero teraz – dzisiaj zobaczyłem ją znowu.

– Tę samą kobietę?

– Nancy Tanner. Jeździłem po Janadhipathi Mawatha tam i z powrotem, szukając pasażerów, kiedy nagle, w samym środku dnia, zobaczyłem ją znowu. Szła pod rękę z generałem, śliczna jak zwykle, uosobienie zdrowia, z parasolką w dłoni i wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie, tak jakby miała trochę w czubie. Byłem tak zaskoczony, że wcisnąłem hamulec i to tak raptownie, że o mały włos ktoś z tyłu nie wjechał mi w kuper. Zaczęły wyć klaksony i ten koncert sprawił, że generał spojrzał na mnie, a mnie przeszły ciarki po plecach. Dobrze, że nie jechałem tym samym wozem, co tamtej nocy! Skuliłem się za kierownicą, szczęśliwy, że mam na nosie ciemne okulary. W tym momencie ona też spojrzała na mnie i wtedy byłem już pewien – miałem przed sobą Nancy Tanner.

– Skąd ta pewność?

– Bo się w niej kochałem. Pewnie pan widział ten film, w którym występowała – „Zbieracze herbaty" – akcja rozgrywała się tu, na Sri Lance, w czasie walk z Tamilami.

Przypomniałem sobie ten monumentalny, stary film, wzniosły epos o miłości bliźniego, zgodzie narodowej i o namiętności. Dostał cztery albo nawet pięć Oscarów. Nancy Tanner grała rolę amerykańskiej dziennikarki, która przeprowadzała młodego, rannego terrorystę tamilskiego przez linie wroga do Jaffny i na statek.

– Dwa lata temu, kiedy kręciła ten film, kochaliśmy się w niej na zabój. Większość mężczyzn wtedy poszłaby za nią w ogień. Nawet udało mi się kilka razy przewieźć ją wtedy moją taksówką do hotelu. I proszę mnie nie pytać, ile razy oglądałem na wideo ten jej film! Jestem więc absolutnie pewien.

– Jak więc pan to tłumaczy?

– Nie mam pojęcia. Wygląda to tak, jakby wpadła w ręce żołdaków, a ci mogli wreszcie wskrzeszać ją i znowu zamęczać na śmierć.

– Skąd panu przyszedł do głowy tak absurdalny pomysł?

– Ona była znienawidzona przez żołdaków. Wprawdzie żołnierze uczestniczyli przy nakręcaniu filmu, ale ministerstwu wojny przedłożono do wglądu inny scenariusz. Po rozpowszechnieniu filmu wybuchł skandal, bo z terrorysty uczyniono dzielnego bojownika o wolność, a z cejlońskich oficerów – łotrów. Do dziś tego filmu nie wolno wyświetlać w Sri Lance. Gdyby... – zawahał się i rzucił mi szybkie spojrzenie – ... gdyby mogli to zrobić, zrobiliby na pewno, po prostu, aby się zemścić.

– Co by zrobili?

– Zabiliby ją. Zabijaliby wielokroć.

– Co za bzdura!

– Jestem wierzącym buddystą, mister Kirk. Wierzę w reinkarnację. Ale to... to jest okrutne, straszne. I dzieje się w tym mieście.

Czy Andrew również nie wspominał o reinkarnacji? Nie, on zapytał: „Czy wierzysz w zmartwychwstanie ciała?" Ciekawe, co miał na myśli?

– Pan mi nie wierzy?

Potrząsnąłem głową. – Nie.

A przecież powinienem był wtedy wiedzieć, co i jak. W środkach masowego przekazu podano kilka meldunków, były jednak tak dziwne, absurdalne i śmieszne, że nikt nie wierzył w ich prawdziwość – oczywiście oprócz tych, którzy byli doskonale zorientowani. Fakty leżały jak na dłoni, należało jedynie zebrać wszystkie informacje i połączyć je w logiczny ciąg. Oczywiście, kilka rekinów z Infopoolu czyhało już na każdego, kto chciał dobrać się do danych lub udzielić informacji na temat osoby noszącej rzadkie, ale niepozorne nazwisko Cecil Roughtrade. Taki ekspert jak Andrew Baldenham mógłby ich wykiwać bez trudu, ale i on, i ja byliśmy już zbyt długo w kosmosie, tam zaś wszystkie aktualności z Rzymu czy Londynu docierały skurczone do skali perspektywy astronomicznej.

Tak więc oni wykiwali jego.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

Szliśmy już z powrotem w kierunku, z którego przybyliśmy. Ponieważ przejście było zbyt wąskie, żebyśmy mogli posuwać się obok siebie, szedłem z przodu niosąc świecznik i ktoś obcy, kto by nas zobaczył, mógłby pomyśleć, że oświetlam staremu człowiekowi drogę.

– Jak to może być, mistrzu? – pytałem dalej. – Rozumując w ten sposób należałoby przyjąć, że życie znajduje się także w każdym stawie każdego palca, a to jest przecież zupełnie niemożliwe.

– Jak duże jest życie człowieka? – odpowiedział pytaniem Ultan.

– Nie mam pojęcia, ale chyba większe, prawda?

– Spoglądasz na nie z początku drogi i wiele po nim oczekujesz. Ja, będąc u jego schyłku, wiem, jak niewiele w gruncie rzeczy przyniosło. Przypuszczam, że dlatego właśnie te zdeprawowane istoty poszukują czegoś więcej w ciałach zmarłych. Pozwól, że cię o coś zapytam: wiesz chyba, że syn jest często nadzwyczaj podobny do swego ojca?

– Owszem, słyszałem o tym. I wierzę w to – dodałem. Nie potrafiłem inaczej myśleć o rodzicach, których nigdy nie znałem i których nigdy nie miało mi być dane poznać.

– Zgodzisz się więc chyba, że jest w takim razie możliwe, iż jakaś twarz będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie przez wiele generacji. Skoro syn przypomina swego ojca, a jego syn przypomina z kolei jego samego, i tak dalej, to kolejny w linii pra-prawnuk przypomina swego pra-pradziada, czyż nie tak?

– Owszem – skinąłem głową.

– A jednocześnie nasienie każdego z nich było zawarte w odrobinie kleistej cieczy. Skąd się wzięli, jeżeli właśnie nie stamtąd?

Nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi i szedłem naprzód opanowany zdumieniem, aż wreszcie dotarliśmy do drzwi, przez które wkroczyłem na ten najgłębszy poziom wielkiej biblioteki. Spotkaliśmy tam Cyby'ego z książkami wymienionymi w liście mistrza Gurloesa. Odebrałem je od niego, pożegnałem się z mistrzem Ultanem i z ulgą opuściłem duszną atmosferę biblioteki. Później wielokrotnie jeszcze odwiedzałem wyższe kondygnacje tego budynku, ale nigdy nie miałem okazji ani ochoty zagłębić się ponownie w jego podziemia.

Jeden z trzech tomów, które przyniósł Cyby miał wielkość blatu sporego stolika, łokieć szerokości i niemal łokieć grubości. Ponieważ na safianowej okładce wytłoczone były ozdobne herby, sądziłem, że jest to historia jakiejś starej, szlacheckiej rodziny. Pozostałe książki były znacznie mniejszych rozmiarów. Zielona, nie większa od mojej dłoni i nie grubsza od wskazującego palca okazała się zbiorem modlitw, pełnym błyszczących wizerunków ascetycznych świętych i boskich wyobrażeń w czarnych aureolach i bogatych szatach. Zatrzymałem się na chwilę przy wyschniętej fontannie w jakimś zapomnianym, oświetlonym blaskiem zimowego słońca ogrodzie, by na nich popatrzeć.

Zanim otworzyłem któryś z pozostałych tomów, poczułem nagle na sobie olbrzymi ciężar czasu; jest to nieomylny sygnał świadczący o tym, że pozostawiliśmy już za sobą nasze dzieciństwo. Wykonując proste przecież polecenie przebywałem poza naszą wieżą już ponad dwie wachty i zaczynało się powoli zmierzchać. Zebrałem wszystkie książki i pospieszyłem przed siebie, aby, chociaż wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem, spotkać szlachetnie urodzoną Theclę i moje przeznaczenie.

Gene Wolfe

CIEŃ KATA

(The Shadow of the Torturer)

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

Gene Wolfe był już wielokrotnie przedstawiany na naszych łamach jako autor opowiadań i dłuższych nowel. W tym numerze rozpoczynamy druk jego najsłynniejszej powieści, otwierającej serię „Księgi Nowego Słońca". Oprócz „Cienia kata" należą do niej: „The Claw of the Conciliator" (Szpon Pojednawcy), „The Citadel of the Autarch" (Cytadela Samowładcy). Z serią związana jest niezależna powieść „The Urth of the New Sun". Trylogia o losach i dojrzewaniu katowskiego pomocnika Seweriana oparta jest na prastarym schemacie mitologii i fantastyki – wyrastania bohatera z mało obiecujących, powiedzmy, początków. Specyfiką księgi Wolfe'a jest bogactwo dekadenckiego, dziwnie zwichrowanego świata.

„Cień kata" ukazał się w roku 1982 i otrzymał nagrodę za najlepszą powieść fantastyczną roku.

L.J.

Tysiączne stulecia w twoim spojrzeniu
Jak wieczór mijający;
Strażnik skończył swoją służbę
Wraz ze wschodzącym słońcem.

I. Zmartwychwstanie i śmierć

Jest zupełnie możliwe, iż już wówczas niejasno przeczuwałem, co spotka mnie w przyszłości. Wznosząca się przed nami zardzewiała, zamknięta na głucho brama, z nanizanymi na ostre blanki strzępami wilgotnej mgły, pozostaje mi do dzisiaj w pamięci jako symbol mojego wygnania. Dlatego rozpoczynam moją relację właśnie od pływackiej eskapady przez Gyoll, podczas której ja, Severian, uczeń w konfraterni katów niemal utonąłem.

– Strażnik gdzieś sobie poszedł – powiedział mój przyjaciel Roche do Drotte'a, który sam zdążył już to zauważyć.

Mały Eata zaproponował niezbyt pewnym głosem, żebyśmy okrążyli bramę. Jego szczupłe, pokryte piegami ramię wskazywało na ciągnący się tysiącami stadiów mur przecinający miasto i wspinający się na wzgórze, gdzie łączył się z niebotycznymi bastionami Cytadeli. Kiedyś, dużo później, miałem przebyć tę drogę.

– Mielibyśmy przejść przez mur? Natychmiast trafilibyśmy do mistrza Gurloesa.

– Ale dlaczego nie ma strażnika?

– Nieważne – Drotte zastukał w przerdzewiałe pręty. – Eata, spróbuj, czy uda ci się przecisnąć.

Drotte był naszym kapitanem, toteż Eata bez słowa przełożył nogę i rękę na drugą stronę. Już po chwili stało się oczywiste, że nic więcej nie uda mu się osiągnąć.

– Ktoś idzie – szepnął ostrzegawczo Roche. Drotte wyszarpnął Eatę spomiędzy prętów.

Obejrzałem się za siebie. W perspektywie ulicy kołysały się przy akompaniamencie stłumionych rozmów i szelestu kroków migotliwe latarnie. Chciałem rzucić się do ucieczki, ale Roche dał znak dłonią, bym tego nie czynił.

– Widzę halabardy – powiedział.

– Myślisz, że to wracają straże?

Potrząsnął głową.

– Jest ich zbyt wielu.

– Co najmniej tuzin – dorzucił Drotte.

Czekaliśmy ciągle jeszcze mokrzy po kąpieli w Gyoll. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach mego umysłu stoimy tam do tej pory, drżąc z chłodu. Tak jak wszystko, co niezniszczalne dąży do samozagłady, tak i te najbardziej nawet ulotne chwile powracają wciąż na nowo, nie tylko w mojej pamięci (z której nic nie jest w stanie zniknąć), ale także w biciu serca i mrowieniu skóry na głowie, odradzając się tak samo, jak każdego ranka w przenikliwych dźwiękach fanfar odradza się nasza Wspólnota.

Jak wkrótce zobaczyłem w żółtym, pełgającym świetle latarni, zbliżający się ludzie nie mieli na sobie zbroi; mieli za to halabardy, jak powiedział Drotte, a oprócz tego topory i sękate kije. Za pasem ich dowódcy błyszczał długi, obosieczny sztylet. Jednak dużo bardziej od sztyletu zainteresował mnie masywny klucz wiszący na jego szyi; wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać klucz pasujący do potężnego zamka bramy.

Mały Eata drżał z niepokoju; właśnie wtedy dowódca dostrzegł nas i uniósł latarnię nad głową.

– Chcemy wejść do środka – odezwał się Drotte. Był wyższy od tamtego, ale udało mu się nadać swojej ciemnej twarzy wyraz szacunku i niepewności.

– Dopiero o świcie – odburknął dowódca halabardników. – Lepiej wracajcie do domu.

– Panie, strażnik obiecał nas wpuścić, ale gdzieś sobie poszedł.

– W nocy tu nie wejdziecie. – Mężczyzna położył dłoń na rękojeści sztyletu i postąpił krok w naszą stronę. Przez moment obawiałem się, że odgadł, kim jesteśmy.

– Co to za książka, sieur? To znaczy, ta o Urth i niebie? – zapytałem przede wszystkim po to, żeby zasygnalizować mu, że ciągle jestem obok niego, chociaż przypuszczam, że i tak musiał cały czas doskonale słyszeć moje kroki.

– Skierowałeś pytanie pod złym adresem, młody człowieku – odparł. – My bibliotekarze, zajmujemy się książkami, nie ich treścią.

Zdawało mi się, że wychwyciłem w jego głosie nutkę ironii.

– Przypuszczam, że znasz treść każdej z tych książek, sieur.

– To znaczna przesada. Ale „Cuda Urth i nieba" trzysta czy czterysta lat temu była wręcz klasyczną pozycją. Ta książka zawiera większość legend z dawnych czasów. Dla mnie najbardziej interesująca jest ta o Historykach, umieszczona w epoce, w której można było dotrzeć do leżącego u podłoża każdej legendy na pół zapomnianego faktu. Dostrzegasz chyba związany z tym paradoks, prawda? Czy ta legenda już wówczas istniała? A jeżeli nie, to w jaki sposób doszło do jej powstania?

– Czyż nie istnieją ogromne węże, sieur, lub latające kobiety?

– Och, z pewnością – odpowiedział mistrz Ultan, schylając się nisko. – Ale nie w legendzie o Historykach. – Wyprostował się triumfalnie, dzierżąc w dłoni małą, oprawną w łuszczącą się skórę książkę. – Spójrz na to, młodzieńcze i powiedz, czy znalazłem właściwą pozycję.

Musiałem postawić lichtarz na podłodze i przykucnąć obok niego. Książka, którą miałem w dłoniach bała tak stara, sztywna i zakurzona, że nie wydawało mi się możliwe, żeby ktokolwiek mógł ją otwierać przez ostatnich sto lat. Strona tytułowa potwierdziła, że wiekowy mistrz miał rację, zaś podtytuł głosił: „Zbiór drukowanych źródeł uniwersalnych tajemnic tak starych, że ich prawdziwe znaczenie skryło się już za zasłoną czasu."

– I co? – dopytywał się mistrz Ultan. – Miałem rację, czy nie?

Otworzyłem książkę na chybił trafił i przeczytałem, co następuje:

... dzięki czemu obraz mógł być wyryty z taką maestrią, że nawet gdyby uległ rozbiciu, dałoby się go odtworzyć z najmniejszego nawet fragmentu, niezależnie od tego, z której jego części ów fragment by pochodził.

Nie wiem dlaczego, ale słowo wyryty przywiodło mi na myśl wydarzenia, których byłem świadkiem owej nocy, kiedy otrzymałem złote chrisos.

– Mistrzu, jesteś fenomenalny – powiedziałem.

– Nie, ale rzadko się mylę.

– Chyba ty jeden ze wszystkich ludzi wybaczysz mi, kiedy ci powiem, że pozwoliłem sobie przeczytać kilkanaście słów z tej książki. Z całą pewnością słyszałeś mistrzu o pożeraczach ciał. Słyszałem, że spożywając ciała swych ofiar z domieszką jakiegoś leku są w stanie odrodzić w sobie życie tych zmarłych osób.

– Nierozsądnie jest wiedzieć zbyt dużo o tych praktykach – wymamrotał archiwista – chociaż kiedy pomyślę o tym, że mógłbym dzielić umysł z takimi historykami jak Loman albo Hermas... – Będąc od tylu lat ślepym zdążył już zapomnieć, jak bezlitośnie nasze twarze potrafią zdradzać nawet najskrytsze uczucia. W blasku świec dostrzegłem, że jego rysy kurczą się w tak potwornym grymasie pożądania, że zwykła skromność kazała mi odwrócić wzrok; jego głos pozostał jednak niewzruszony niczym spiżowy dzwon.

– Sądząc z tego, co pamiętam z moich lektur, masz rację, chociaż nie przypominam sobie, żeby książka, którą akurat trzymasz w dłoniach, mówiła właśnie o tych sprawach.

– Daję ci słowo, mistrzu, że nie podejrzewam cię nigdy i nie podejrzewam o takie uczynki, ale powiedz mi jedno: przypuśćmy, że dwie osoby dopuszczają się zbezczeszczenia grobu, a następnie dzielą się zdobyczą w ten sposób, że jedna z nich spożywa jedną, druga zaś drugą rękę. Czy oznacza to, że każda z nich dysponuje teraz połową życia zmarłego? Jeśli tak, to co się stanie, gdy zjawi się trzecia i spożyje, dajmy na to, stopę nieboszczyka?

– Wielka szkoda, że jesteś katem – powiedział Ultan. – Mógłbyś być filozofem. Nie, tak jak ja to rozumiem, każda z nich zyskuje całe życie.

– Zatem życie każdego człowieka mieści się zarówno w jego prawej dłoni, jak i w lewej, a także w każdym z palców?

– Przypuszczam, że każdy z uczestników tej uczty musiałby spożyć więcej niż jeden mały kęs, żeby osiągnąć zamierzone efekty. Sądzę jednak, że przynajmniej w teorii to, co mówisz, jest prawdą. Całe życie jest zawarte nawet w najmniejszym palcu.

– Prawie już nie pamiętam chwili, kiedy przyjęto mnie do naszego bractwa. Wiesz chyba, w jaki sposób pozyskujemy nowych członków?

Przyznałem, że nie mam na ten temat żadnego pojęcia.

– Zgodnie ze starodawnym przepisem w każdej bibliotece znajduje się pomieszczenie przeznaczone specjalnie dla dzieci. Przechowywane są w nim książki z obrazkami, za którymi przepadają wszystkie dzieci oraz bajki i awanturnicze opowieści. Dzieci przychodzą tam bardzo często i jak długo tam są, nie trzeba się nimi w ogóle zajmować.

Zawahał się na moment i chociaż nie mogłem nic wyczytać z jego twarzy, to byłem pewien, iż obawia się, że to, co za chwilę powie, może sprawić ból Cyby'emu.

– Od czasu do czasu zdarza się jednak, że uwagę bibliotekarza zwróci na siebie samotne dziecko, które coraz częściej opuszcza tę specjalną komnatę, by wreszcie w ogóle już do niej nie wracać. Takie dziecko prędzej czy później odkrywa na jednej z niższych półek „Złotą Księgę". Nigdy jej nie widziałeś i nigdy już nie zobaczysz, bowiem jesteś już starszy od tych, dla których jest przeznaczona i którzy mogą ją znaleźć.

– Musi być bardzo piękna – zauważyłem.

– W istocie, taka właśnie jest. O ile nie zawodzi mnie pamięć, to oprawa wykonana jest z czarnego, nieco zmarszczonego przy grzbiecie płótna. Część tekstu już się zatarła, a niektóre strony w ogóle zniknęły, ale to naprawdę piękna książka. Chciałbym ją jeszcze kiedyś zobaczyć, chociaż wiem, że to niemożliwe.

Jak już powiedziałem, dziecko to odkrywa w swoim czasie „Złotą Księgę". Zaraz potem zjawiają się bibliotekarze; niektórzy mówią, że jak wampiry, a inni, że niczym asystujący przy ceremonii rodzice chrzestni. Rozmawiają z dzieckiem, a ono nabiera do nich zaufania i po pewnym czasie przychodzi do biblioteki zawsze, kiedy tylko może, aż wreszcie znika z domu na dobre. Przypuszczam, że podobnie ma się rzecz wśród katów.

– Bierzemy bardzo małe dzieci, które wpadną w nasze ręce – wyjaśniłem.

– My też – pokiwał głową Ultan. – Nie mamy więc prawa wąs potępiać. Czytaj dalej, Cyby.

– Od mistrza Gurloesa ze Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy do Archiwisty Cytadeli: Pozdrowienia, Bracie.

Z woli sądu mamy wśród nas szlachetną osobę kasztelanki Thecli; wolą tegoż sądu jest również i to, żebyśmy dostarczyli jej w więzieniu wszystkich wygód, jakie tylko leżą w granicach rozsądku i roztropności. Aby uprzyjemnić jej chwile, które przyjdzie jej z nami spędzić – czy raczej, jak mi powiedziała, czas, jaki minie, zanim serce Autarchy, którego miłosierdzie nie zna granic, okaże się dla niej łaskawsze – proszę cię, abyś ty, zgodnie ze swym urzędem, zaopatrzył ją w pewne książki, które to są...

– Możesz opuścić tytuły – przerwał mu Ultan. – Ile ich jest?

– Cztery, sieur.

– W takim razie nie ma problemu. Czytaj dalej.

– Będziemy Ci za to, Archiwisto, bardzo zobowiązani. Podpisano: Gurloes, mistrz Szlachetnego Zgromadzenia zwanego powszechnie Bractwem Katów.

– Czy znasz tytuły z listy mistrza Gurloesa, Cyby?

– Trzy z nich, sieur.

– Bardzo dobrze. Znajdź je, proszę, jak brzmi czwarty tytuł?

– „Księga cudów Urth i nieba", sieur.

– Znakomicie. Znajduje się nie dalej niż dwa łańcuchy stąd. Kiedy odszukasz już te woluminy, spotkasz nas przy drzwiach, jakimi wszedł tutaj ten młodzieniec, którego, obawiam się, zatrzymujemy już nazbyt długo.

Chciałem oddać Cyby'emu lichtarz, ale on dał mi znak, żebym go zatrzymał i oddalił się wąskim przesmykiem między zwałami książek. Ultan ruszył w przeciwną stronę, poruszając się tak pewnie, jakby ciągle jeszcze mógł korzystać ze swoich oczu.

– Doskonale ją pamiętam – powiedział. – Oprawa z brązowego kurdybanu, złocone brzegi, ręczne tłoczenia. Trzecia półka od dołu, obok tomu w zielonym płótnie; zdaje się, że to „Żywoty siedmiu megaterian" Blaithmaica.

Drotte cofnął się, mając nas cały czas za plecami.

– Kim jesteś, panie? Nie macie mundurów...

– Jesteśmy ochotnikami – odparł jeden z nich. – Chronimy naszych zmarłych.

– Więc możecie nas wpuścić.

Dowódca zdążył już się od nas odwrócić.

– Nie może tu być nikogo oprócz nas – stwierdził tonem nie znoszącym sprzeciwu. Klucz zazgrzytał w dawno nie oliwionym zamku i brama z przeraźliwym skrzypieniem uchyliła się nieco. Nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Eata rzucił się w wąski otwór. Ktoś zaklął głośno, zaś dowódca z jeszcze dwoma ludźmi ruszyli w pogoń, ale był on dla nich zbyt szybki. Widzieliśmy jego jasną głowę i połataną koszulę przemykającą między pozapadanymi grobami pospólstwa. Po czym Eata zniknął wśród wysokich, marmurowych obelisków w zamożniejszej części cmentarza. Drotte chciał popędzić za nim, ale dwaj mężczyźni chwycili go mocno za ramiona.

– Musimy go znaleźć! Nie tkniemy waszych zmarłych.

– Więc czego tutaj szukacie? – zapytał jeden z ochotników.

– Ziół – odparł Drotte. – Jesteśmy pomocnikami medyków. Zbieramy zioła dla chorych.

Uzbrojony w halabardę mężczyzna przyjrzał mu się dokładniej. Kiedy człowiek, który otworzył bramę rzucił się w pogoń za Eatą, upuścił swoją latarnię i teraz jedyne oświetlenie stanowiły niemrawe płomienie pozostałych kaganków. W ich przytłumionym blasku twarz ochotnika wyglądała głupio i niewinnie. Przypuszczam, że zarabiał na życie wynajmując się do różnych, niezbyt skomplikowanych prac.

– Wiesz z pewnością, że niektóre gatunki leczniczych ziół mają największą moc tylko wtedy, gdy zbiera się je na cmentarzu przy świetle księżyca – ciągnął dalej Drotte. – Wkrótce nadejdą pierwsze przymrozki i zabiją wszystkie rośliny, ale przedtem nasi chlebodawcy muszą mieć gotowe zapasy na zimę. Właśnie dlatego kazali nam dzisiaj przyjść tuataj.

– Nie macie worków, do których moglibyście je zbierać.

Do dzisiaj podziwiam Drotte'a za to, co wtedy uczynił, wyjął mianowicie z kieszeni kawałek najzwyklejszego sznurka i powiedział:

– Mamy wiązać je od razu w pęczki, żeby prędzej wyschły.

– Rozumiem – mruknął ochotnik. Było oczywiste, że nic nie rozumie. Roche i ja przysunęliśmy się nieco bliżej uchylonej bramy.

Drotte natomiast odstąpił krok wstecz.

– Skoro nie chcesz nas wpuścić, żebyśmy nazbierali ziół, to będzie lepiej, jeśli stąd pójdziemy. Zresztą wątpię, czy udałoby nam się znaleźć teraz tego chłopca.

– Nie, nie odchodźcie. Musimy go odszukać!

– Niech będzie – zgodził się z ociąganiem Drotte i weszliśmy do środka, a ochotnicy za nami.

Niektórzy twierdzą, że cały rzeczywisty świat został stworzony przez nasz umysł, bowiem naszym postępowaniem rządzą jak najbardziej sztuczne kategorie, którym podporządkowujemy wszystkie, najmniej nawet istotne rzeczy i zjawiska, dużo mniej ważkie i znaczące niż słowa, którymi je nazywamy. Po raz pierwszy pojąłem intuicyjnie tę zasadę właśnie tamtej nocy, gdy usłyszałem za sobą zgrzyt zamykanej bramy.

– Będę stróżował przy mojej matce – powiedział jeden z tych, którzy do tej pory nie odezwali się ani słowem. – Zmarnowaliśmy masę czasu. Mogli ją już dawno przenieść nie wiadomo gdzie.

Kilku innych mruknęło potwierdzająco i grupa zaczęła się rozpraszać – jedna latarnia skręciła w lewo, a druga w prawo. My, wraz z pozostałymi ochotnikami ruszyliśmy główną aleją (tą samą, którą szliśmy zawsze wówczas, gdy chcieliśmy dotrzeć do zasypanego gruzami wyłomu w murach Cytadeli).

Moją naturą, radością i przekleństwem zarazem jest to, że nigdy niczego nie zapominam. Każde grzechoczące uderzenie łańcucha i każdy poświst wiatru, każdy widok, zapach i smak pozostają nie zmienione w mojej pamięci i chociaż wiem, że jest to cecha właściwa tylko mnie jednemu, to nie potrafię sobie wyobrazić, jak może być inaczej, jak można nie pamiętać czegoś, po co wystarczy tylko sięgnąć nieco głębiej i dalej niż po wydarzenia ostatniego dnia... Widzę teraz wyraźnie, jak idziemy przed siebie bielejącą w ciemności aleją: było zimno, a robiło się coraz zimniej, nie mieliśmy światła, zaś znad Gyoll zaczynały napływać coraz gęstsze zwały mgły. Ptaki, które przyleciały specjalnie po to, żeby spędzić noc w gęstych gałęziach pinii i

cyprysów przenosiły się niespokojnie z drzewa na drzewo. Pamiętam dotknięcie moich dłoni, gdy rozcierałem nimi zziębnięte ramiona, światło latarni migające od czasu do czasu między nagrobkami, zapachy – łagodny rzeki, osiadający wraz z mgłą na mojej koszuli i ostry, natarczywy świeżo wzruszonej ziemi. Tego dnia, zaplątawszy się w zdradzieckie pętle wodorostów niemal utonąłem w nurtach rzeki; tej nocy zacząłem stawać się mężczyzną.

Rozległ się strzał; jeszcze nigdy w życiu nic takiego nie słyszałem ani nie widziałem – fioletowa błyskawica rozdzierająca ciemność niczym potwornych rozmiarów klin, po którego usunięciu czarna kurtyna zasuwa się z głuchym łoskotem gromu. Gdzieś w oddali z potężnym trzaskiem runął obalony posąg, po czym zapadła cisza... Wszystko dokoła zdawało się rozpływać... Popędziliśmy przed siebie w kierunku, z którego zaczęły dobiegać pomieszane okrzyki. W pewnej chwili usłyszałem przeraźliwy zgrzyt stali, jakby ktoś trafił ostrzem halabardy w jeden z kamiennych pomników. Biegłem zupełnie nieznaną mi ścieżką (w każdym razie taką się wtedy wydawała) wijącą się zygzakiem między nagrobkami i szeroką ledwie na tyle, żeby dwaj ludzie mogli zejść nią ramię w ramię do czegoś w rodzaju małej dolinki. W gęstniejącej mgle widziałem tylko ciemne sylwety grobowców po jej obu stronach. I wtedy ścieżka umknęła spode mnie tak nagle, jakby ktoś wyszarpnął mi ją spod nóg – przypuszczam, że po prostu nie zauważyłem nagłego zakrętu. Rzuciłem się w bok, żeby uniknąć zderzenia z ogromnym obeliskiem, który wyrósł tuż przede mną i z całym impetem wpadłem na mężczyznę ubranego w czarny, sięgający do ziemi płaszcz.

Stał niczym drzewo, siła uderzenia zbiła mnie z nóg i pozbawiła tchu w piersi. Usłyszałem wymamrotane pod nosem przekleństwo, a potem krótki, świszczący odgłos, jaki wydaje wysuwana z pochwy broń.

– Co to było? – zapytał jakiś głos.

– Ktoś wpadł na mnie. Zniknął, ktokolwiek to był.

Leżałem bez ruchu.

– Odsłońcie lampę – polecił trzeci głos, należący bez wątpienia do kobiety. Przypominał łagodne gruchanie gołębicy, ale było w nim także ponaglenie i niepokój.

– Rzucą się na nas jak stado dzikich psów, madame – odparł ten, na którego wpadłem.

– I tak tego nie unikniemy. Słyszałeś przecież, że Vodalus wystrzelił.

– Powinno ich to raczej odstraszyć.

– Żałuję, że w ogóle to zabrałem – powiedział ten, który odezwał się jako pierwszy, z akcentem, po którym tylko dzięki memu małemu doświadczeniu i młodemu wiekowi nie rozpoznałem od razu arystokraty. – To źle, że musieliśmy tego użyć w starciu z takim przeciwnikiem.

Mówiąc to zbliżał się do mnie i po chwili mogłem go już dojrzeć – był wysoki, szczupły i nie miał żadnego nakrycia głowy. Stanął tuż przy potężnie zbudowanym mężczyźnie, z którym się zderzyłem. Trzecia postać, cała spowita w czerń, musiała być tą kobietą. Siła uderzenia pozbawiła mnie nie tylko tchu w piersi, ale i niemal wszystkich sił; zdołałem jednak przetoczyć się za pobliski pomnik i z bezpiecznego ukrycia obserwowałem to, co się działo przede mną.

Mój wzrok zdążył już przyzwyczaić się do ciemności, dzięki czemu mogłem dostrzec przypominającą kształtem serce twarz kobiety oraz zauważyć, że była niemal równie wysoka jak szczupły mężczyzna, którego nazwała imieniem Vodalus. Drugi z mężczyzn tymczasem gdzieś zniknął, ale wkrótce usłyszałem jego głos.

– Więcej liny – zażądał. Sądząc po tym, jak doskonale go słyszałem, znajdował się nie więcej niż krok lub dwa od mojej kryjówki, chociaż roztopił się w ciemności równie dokładnie, jak topi się wrzucona w szalejący ogień świeca. Dopiero po chwili dostrzegłem coś ciemnego, poruszającego się tuż przy stopach Vodalusa: był to kaptur jego towarzysza. Mężczyzna zeskoczył po prostu do wykopanej w ziemi dziury.

– Co z nią?

– Świeża jak kwiat, madame. Nie ma obawy, prawie nie cuchnie. – Wyskoczył na górę ze zręcznością, o jaką bym go nie posądzał. – Chwyć teraz za jeden koniec, panie, a ja za drugi i wyciągniemy ją jak marchew.

Kobieta powiedziała coś, czego nie dosłyszałem, a na co szczuplejszy mężczyzna odparł:

– Nie musiałaś tutaj przychodzić, Theo. Ale jak by to wyglądało, gdybym ja nie brał w tym udziału?

On i drugi mężczyzna zaparli się mocno nogami – pociągnęli i zobaczyłem, jak u ich stóp pojawia się coś białego. W chwili, kiedy schylili się, żeby to podnieść, niczym pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki

– Czytałem (a w każdym razie wydawało mi się, że czytam), siedząc przy tym zwieńczonym łukiem oknie na czterdziestym dziewiątym piętrze, które wychodzi na... zapomniałem, Cyby. Jak się nazywa to, na co ono wychodzi?

– Ogród tapicerów, sieur.

– Tak, teraz sobie przypominam: mały, zielono-brązowy kwadracik. Zdaje się, że suszą tam rozmaryny, które potem wkładają w poduszki. Siedziałem tam, jak już powiedziałem, od wielu wacht, kiedy w pewnej chwili zdałem sobie nagle sprawę z tego, że już wcale nie czytam. Przez jakiś czas starałem się odpowiedzieć na pytanie, co w takim razie robiłem do tej pory. Jedynym co przychodziło mi na myśl, były wspomnienia jakichś zapachów, materiałów i barw nie mających żadnego związku z treścią trzymanego przeze mnie w dłoniach tomu. Wreszcie uświadomiłem sobie, że zamiast czytać, obserwowałem go po prostu jako przedmiot. Czerwień, która utrwaliła się w mojej świadomości, pochodziła ze służącej za zakładkę tasiemki. Chropowatość, którą czułem wciąż jeszcze w czubkach palców, była wspomnieniem dotyku papieru, na którym wydrukowano książkę. Zapach w moich nozdrzach był zapachem starej skóry z wyraźnymi śladami woni brzozowego soku. Dopiero wtedy, kiedy dostrzegłem książki jako przedmioty, zrozumiałem, na czym polega opieka nad nimi.

Zacisnął mocniej dłoń na moim ramieniu.

– Mamy tutaj księgi oprawne w skóry kolczatek, krakenów i stworzeń wymarłych już tak dawno temu, że większość tych, którzy się nimi zajmują, twierdzi, iż nie pozostało z nich już nic oprócz skamieniałości. Mamy książki w oprawach z nieznanych metali i wysadzane drogimi kamieniami. Mamy tomy oprawne w deszczułki z aromatycznego drewna, stanowiące łącznik między istnieniami oddzielonymi od siebie niewyobrażalnymi otchłaniami, tomy podwójnie cenne, bowiem nikt na całej Urth nie potrafi już ich odczytać.

Są księgi o kartach nasączonych rozmaitymi olejkami, tak że przewracający strony czytelnik przenosi się niepostrzeżenie w krainę fantazji i najdziwniejszych snów. Są takie, których karty w ogóle nie są wykonane z papieru, tylko z cienkich płatków nefrytu, kości słoniowej lub muszli, a także takie o stronach z zasuszonych liści nieznanych roślin. Gdzieś tutaj (chociaż nie potrafię ci już wskazać, gdzie) znajduje się kryształowy sześcian nie większy od stawu twego kciuka, zawierający więcej książek, niż liczy sobie cała ta biblioteka. Chociaż byle ladacznica mogłaby zawiesić go sobie u ucha jako zwykłe świecidełko, to w całym świecie nie znalazłoby się dość woluminów, by zrównoważyć ciężar tej błyskotki. Poznałem wszystkie te księgi, o których ci mówiłem i postanowiłem poświęcić me życie strzeżeniu ich i pielęgnowaniu.

Po siedmiu latach, kiedy uporałem się już z najpilniejszymi zadaniami i miałem właśnie przystąpić do pierwszego od chwili jej założenia spisu zawartości biblioteki, moje oczy zaczęły mętnieć i tracić swój blask. Ten, który oddał wszystkie te księgi pod moją opiekę, uczynił mnie ślepym, tak abym nie poznał, kto opiekuje się opiekującymi.

– Jeżeli nie możesz przeczytać pisma, które ci przyniosłem, sieur, będę bardzo rad mogąc ci je odczytać – zaproponowałem.

– Masz rację – wymamrotał mistrz Ultan. – Zapomniałem o tym, Cyby to zrobi. Potrafi bardzo dobrze czytać. Do dzieła, Cyby.

Wziąłem od niego lichtarz, a on rozwinął szeleszczący pergamin i trzymając go przed sobą niczym jakąś odezwę zaczął czytać na głos. Staliśmy we trzech w małym kręgu światła, a dokoła nas piętrzyły się stosy książek.

– Od mistrza Gurloesa ze Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy...

– Co takiego? Czyżbyś był katem, młodzieńcze? – przerwał mu mistrz Ultan.

Kiedy powiedziałem mu, że tak jest w istocie, nastała cisza tak długa, że przerwał ją dopiero Cyby zaczynając czytać list od początku.

– Od mistrza Gurloesa ze Zgromadzenia Poszukiwaczy...

– Zaczekaj – polecił mu Ultan i Cyby umilkł. Stałem bez ruchu trzymając w dłoni lichtarz i czując, jak krew napływa mi do policzków. Wreszcie mistrz Ultan przemówił ponownie, głosem tak samo bezbarwnym jak wtedy, gdy poinformował mnie, że Cyby potrafi czytać.



Grzegorz Komorowski

amschaspanda mgła zawirowała i rozstąpiła się, przepuszczając zielonkawy promień księżyca. Na ziemi leżało ciało kobiety. Niegdyś ciemne włosy zakrywały w nieładzie część bladej twarzy; miała na sobie długą szatę z jakiegoś jasnego materiału.

– Tak jak ci mówiłem, panie – odezwał się mimowolny sprawca mojego upadku – dziewięć razy na dziesięć nie ma żadnych problemów. Teraz musimy ją już tylko przenieść przez mur.

W chwili, kiedy skończył, usłyszałem czyjś krzyk. Trzej ochotnicy pędzili co sił ścieżką, którą i ja zbiegłem do dolinki.

– Powstrzymaj ich, panie – stęknął potężnie zbudowany mężczyzna, zarzucając sobie zwłoki na ramię. – Ja się nią zajmę. I wyprowadzę stąd madame.

– Weź to – powiedział Vodalus. Światło księżyca padło na błyszczący metal pistoletu. Obarczony martwym ciężarem człowiek zagapił się na broń.

– Nigdy tego nie używałem, panie...

– Bierz, może ci się przydać. – Vodalus schylił się i podniósł z ziemi coś, co wyglądało na prosty, zwyczajny kij. Rozległ się krótki świst i błysnęła stal jasnego, wąskiego ostrza.

– Brońcie się! – krzyknął.

Kobieta wyjęła pistolet z dłoni mężczyzny i obydwoje zniknęli w ciemności.

Trzej ochotnicy zawahali się. Dopiero po chwili jeden z nich przesunął się na lewo, drugi zaś na prawo, by zaatakować jednocześnie z trzech stron. Ten, który pozostał na ścieżce, miał halabardę, zaś jeden z pozostałych ściskał oburącz stylisko topora.

Trzecim okazał się dowódca oddziału, ten, z którym Drotte rozmawiał przy bramie.

– Kim jesteś? Jakie moce Erebu dały ci prawo wejść tutaj i czynić to, co czynisz?

Vodalus nie odpowiedział i ostry koniec jego miecza poruszał się to w jedną, to w drugą stronę niczym obserwujące napastników oko.

– Teraz! – rzucił przez zaciśnięte zęby dowódca. Ruszyli, ale niezbyt pewnie i zanim zdołali go dopaść, Vodalus skoczył naprzód. Dostrzegłem błysk uniesionego ostrza i usłyszałem szczęk, gdy cięcie dosięgło metalowego okucia halabardy – zupełnie, jakby stalowy wąż prześlizgnął się po żelaznej gałęzi. Zaatakowany ochotnik krzyknął coś i odskoczył. Vodalus uczynił to samo, prawdopodobnie obawiając się, by dwaj pozostali nie znaleźli się za jego plecami, ale zachwiał się, stracił równowagę i upadł.

Wszystko działo się w ciemności i mgle. Widziałem to,o czym mówię, ale przez większość czasu walczący mężczyźni byli dla mnie tylko niewyraźnymi cieniami, podobnie jak kobieta o głosie gołębicy zanim odeszła z człowiekiem, który niósł na ramieniu wydobyte z grobu zwłoki. Kobieta nagle stała się dla mnie niezwykle cenna, chyba dlatego, że Vodalus bez wahania zdecydował się zaryzykować własnym życiem, żeby ją ocalić. A już na pewno to właśnie było przyczyną, dla której zacząłem go wtedy podziwiać. Później zdarzało się wielokrotnie, że gdy stałem na skrzypiącej platformie wzniesionej w środku rynku jakiegoś małego miasteczka, trzymając w dłoni rękojeść *Terminus Est*, zaś u kolan mając drżącego z przerażenia włóczęgę i słyszałem ciskaną we mnie szmerem przyciszonych poszeptywań nienawiść tłumu, albo, co było jeszcze gorsze, czułem podziw i zadowolenie tych, którzy znajdują upodobanie w cierpieniu i śmierci innych, przypominałem sobie leżącego na krawędzi świeżo rozkopanego grobu Vodalusa i unosząc w górę miecz mówiłem sobie, że robię to dla niego.

Jak powiedziałem, zachwiał się i upadł. Właśnie wtedy nastąpił moment, w którym moje życie splotło się nierozerwalnie z jego.

Trzej napastnicy ruszyli na niego, ale on nie wypuścił miecza z dłoni. Ostrze strzeliło w górę, a ja nie wiadomo dlaczego pomyślałem, że dobrze by było mieć taką broń tego dnia, kiedy Drotte zostawał kapitanem uczniów naszej konfraterni.

Człowiek z toporem, w którego było wymierzone pchnięcie, cofnął się pośpiesznie; jednocześnie drugi rzucił się naprzód z wyciągniętym zza pasa sztyletem. Zerwałem się na nogi i wyglądając zza ramienia chalcedonowego anioła zobaczyłem, jak nóż mija o szerokość kciuka gardło Vodalusa i wbija się aż po rękojeść w miękką ziemię. Vodalus usiłował pchnąć dowódcę ochotników, ale ten był zbyt blisko. Zamiast cofnąć się, zostawił nóż w ziemi i niczym zapaśnik chwycił leżącego w objęcia. Znajdowali się nad samą krawędzią rozkopanego grobu – przypuszczam, że Vodalus potknął się właśnie o wyrzuconą z niego ziemię.

Drugi ochotnik uniósł swój topór, ale nie mógł uderzyć, bowiem rozpłatałby głowę swemu dowódcy. Zaszedł walczących z drugiej strony, dzięki czemu znalazł się może dwa kroki ode mnie. Kątem oka dostrzegłem, jak Vodalus wyrywa sztylet z ziemi i wbija go w gardło przeciwnika. Topór uniósł się w górę; niemal odruchowo chwyciłem drzewce tuż poniżej ostrza i nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robię, szarpnąłem z całej siły, a potem uderzyłem.

Walka była skończona. Człowiek, którego zakrwawiony topór trzymałem w dłoniach, nie żył, dowódca ochotników dogorywał u naszych stóp, zaś uzbrojony w halabardę napastnik zniknął, pozostawiając swoją broń leżącą nieszkodliwie w poprzek ścieżki. Vodalus odszukał w trawie pochwę i schował do niej swój miecz.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Nazywam się Severian. Jestem katem. To znaczy, uczniem w konfraterni katów, panie. Uczniem Zgromadzenia Poszukiwaczy Prawdy i Skruchy. – Przerwałem, by nabrać w płuca powietrza. – Jestem Vodalarianinem. Jednym z tysięcy Vodalarian, o których istnieniu może nawet nie wiesz, panie. – Była to nazwa, która raz czy dwa obiła mi się o uszy.

– Masz. – Położył mi na dłoni małą monetę, tak gładką i śliską, że wydawała się czymś posmarowana. Ściskając ją z całej siły stałem bez ruchu przy rozkopanym grobie patrząc, jak Vodalus odchodzi szybkim krokiem. Mgła i ciemność pochłonęły go na długo przedtem, zanim dotarł do krawędzi dolinki; niebawem nad moją głową przemknął z rykiem przypominający strzałę srebrny ślizgacz.

Sztylet w jakiś sposób wypadł z rany na szyi martwego mężczyzny – prawdopodobnie sam wyszarpnął go w agonii. Kiedy schyliłem się, żeby go podnieść, zdałem sobie sprawę, że ciągle ściskam w dłoni małą monetę. Wrzuciłem ją do kieszeni.

Uważamy, że to my tworzymy symbole, natomiast prawda jest taka, że to one nas tworzą. Jesteśmy ich dziełem, ograniczonym ostrymi, definiującymi krawędziami. Każdy z żołnierzy po złożeniu przysięgi otrzymuje monetę, małe asimi z wybitym profilem autarchy. Przyjmując ją, przyjmuje jednocześnie na siebie ciężar obowiązków żołnierskiego życia, choć może nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie one rzeczywiście są i w związku z tym, czego będą od niego wymagać. Ja wówczas również nie zdawałem sobie z niczego sprawy, chociaż w błędzie są ci, którzy twierdzą, że musimy o wszystkim zawczasu wiedzieć, ulegając tym samym przemożnemu wpływowi takiej wiedzy. W gruncie rzeczy ci, którzy w to wierzą, stają się tym samym wyznawcami najpodlejszego i najbardziej przesądnego rodzaju magii. Niedoszły czarnoksiężnik wierzy głęboko w skuteczność i niezawodność czystej wiedzy; racjonalnie myślący ludzie wiedzą, że wszystko, co się dzieje, dzieje się samo przez się, albo nie dzieje się w ogóle.

W chwili, gdy mała moneta zniknęła w mojej kieszeni, nie wiedziałem nic o ruchu, na którego czele stał Vodalus, ale bardzo szybko nadrobiłem te zaległości. Wraz z nim nienawidziłem autarchii, chociaż nie miałem pojęcia, co by mogło ją zastąpić. Wraz z nim nienawidziłem arystokratów, którzy nie mieli dosyć odwagi, żeby wystąpić przeciwko autarsze i zamiast tego wiązali z nim w ceremonialnym konkubinacie najpiękniejsze ze swoich córek. Wraz z nim gardziłem ludźmi za ich brak dyscypliny i wspólnego celu działania. Spośród cnót, które próbowali mi wpoić mistrz Malburius (był mistrzem wtedy, gdy ja byłem jeszcze małym chłopcem) i mistrz Palaemon, uznawałem tylko jedną: lojalność wobec konfraterni. Miałem chyba słuszność; żywiłem głębokie przekonanie, iż możliwe jest, bym służył wiernie Vodalusowi będąc jednocześnie katem. Tak właśnie zaczęła się moja długa wędrówka, która miała zaprowadzić mnie aż na sam tron.

II. Severian

Moja pamięć przygniata mnie. Będąc wychowanym wśród katów, nigdy nie znałem ani swej matki ani ojca. Podobnie zresztą jak inni uczniowie naszej konfraterni. Od czasu do czasu, najczęściej jednak zimą, do Bramy Zwłok pukają nieszczęśni łajdacy, którzy mają nadzieję na przyjęcie do naszego starożytnego bractwa. Często raczą Brata Furtiana dokładnymi opisami męczarni, jakie z radością zadawaliby w zamian za miskę strawy i dach nad głową; czasem demonstrują niektóre z nich na zwierzętach.

Wszystkich odsyła się precz. Tradycja sięgająca dni naszej świetności, poprzedzających obecne zdegenerowane czasy, a także dawniejszych i jeszcze dawniejszych, o których nie pamiętają już nawet najznako-

mnie, ale i tak dawał dosyć światła, żebym mógł uniknąć zderzenia z ciemnymi, dębowymi regałami, które wyrastały na naszej drodze.

– Twoje oczy nie przestały ci jeszcze służyć – odezwał się po dłuższej chwili mistrz Ultan. – Czy nie budzi w tobie niechęci perspektywa pozostania tutaj jeszcze przez jakiś czas?

– Nie, sieur – odpowiedziałem najzupełniej zgodnie z prawdą. W zasięgu chybotliwego światła widziałem jedynie niekończące się, wznoszące od podłogi do wysokiego sufitu rzędy książek. Część półek załamała się pod ciężarem, część była jeszcze zupełnie prosta; na niektórych dostrzegłem wyraźne ślady bytności szczurów, które z opasłych tomów wybudowały sobie zaciszne, jedno i dwupiętrowe domy, z rozsmarowanego na okładkach łajna tworząc nieporadne znaki swojej mowy.

Przede wszystkim były jednak książki: nieprzerwane szeregi grzbietów oprawnych w cielęcą skórę, morokin, płótno, papier i setki innych substancji, których nie byłem nawet w stanie zidentyfikować. Część z nich błyszczała złoceniami, na innych tłoczenia były zabarwione na czarno, zaś papierowe etykietki pożółkły i zbrązowiały ze starości, tak że przypominały zeschłe liście.

– Ślad uczyniony atramentem nie ma końca – odezwał się mistrz Ultan. – Tak w każdym razie powiedział jakiś mądry człowiek. Żył bardzo dawno temu; co by powiedział, gdyby mógł nas teraz zobaczyć? Inny rzekł: „Człowiek potrafi strawić życie, by poznać do końca piękny księgozbiór", ale ja chciałbym zobaczyć tego, kto zdążyłby poznać ten, albo nawet jedną jego część.

– Przyglądałem się oprawom – powiedziałem, czując się trochę głupio.

– Jakże jesteś szczęśliwy. Ale i ja nie narzekam. Co prawda nie mogę już ich widzieć, lecz pamiętam doskonale przyjemność, jaką mi to sprawiało. Było to wkrótce po tym, jak zostałem mistrzem bibliotekarzy. Miałem wtedy chyba około pięćdziesięciu lat. Musisz wiedzieć, że przez wiele, wiele lat byłem tylko uczniem.

– Czy tak, sieur?

– Tak było. Moim mistrzem był Gerbold i przez dziesięciolecia wydawało się, że nigdy nie umrze. Lata mijały powoli jedno za drugim, a ja ciągle czytałem; przypuszczam, że niewielu czytało kiedykolwiek tyle, co ja. Zacząłem, jak to zwykle czynią młodzi ludzie, od tych książek, które mnie interesowały. Z czasem jednak przekonałem się, że to zawęża krąg moich przyjemności, bowiem coraz dłużej musiałem takich książek szukać. Ustaliłem wobec tego dla siebie pewien plan lektur idąc tropem zapomnianych nauk i umiejętności, śledząc je jedna po drugiej, od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej. Wreszcie wyczerpałem jednak nawet i tę możliwość, więc rozpocząwszy od wielkiej, hebanowej skrzyni stojącej pośrodku komnaty, nad którą my, bibliotekarze, sprawowaliśmy pieczę przez trzysta lat na wypadek powrotu Autarchy Sulpiciusa, dzięki czemu nikt do niej nigdy nie zaglądał, zacząłem czytać wszystko po kolei, nieraz pochłaniając dwie pełne książki w ciągu jednego dnia. Trwało to piętnaście lat.

– To wspaniałe, sieur – wymamrotał za naszymi plecami Cyby. Musiał słyszeć tę historię już wiele razy.

– I wtedy niespodziewanie zdarzyło się to, czego już nikt się nie spodziewał: umarł mistrz Gerbold. Trzydzieści lat wcześniej dzięki moim predylekcjom, wykształceniu, młodości, powiązaniom rodzinnym i ambicjom nadawałem się znakomicie na jego następcę. Kiedy to jednak w rzeczywistości nastąpiło, trudno było o mniej odpowiedniego kandydata. Czekałem tak długo, że samo czekanie stało się właściwie jedyną rzeczą, którą rozumiałem, zaś mój umysł dusił się pod nawałem nieużytecznych, do niczego nieprzydatnych faktów. Zmusiłem się jednak, żeby podjąć wyzwanie i spędziłem więcej godzin, niż teraz mógłbym od ciebie oczekiwać, żebyś uwierzył, na usiłowaniach zmierzających do przypomnienia sobie planów i zamierzeń, które poczyniłem wiele lat wcześniej z myślą o czekającej na mnie sukcesji.

Przerwał na chwilę, a ja wiedziałem, że właśnie zagłębia się w otchłanie umysłu rozleglejszego i mroczniejszego nawet od tej biblioteki.

– Jednak mój nawyk czytania wszystkiego nie chciał mnie opuścić. Traciłem na książki całe dnie i tygodnie, które powinienem był poświęcić sprawom, które wraz z zaszczytem spoczęły na moich barkach. I wtedy, niespodziewanie niczym uderzenie zegara, opanowała mnie nowa pasja, zastępując starą. Zapewne odgadłeś już, co to było.

Przyznałem, że jakoś nic nie przychodziło mi na myśl.

świecznik niesiony przez krępego, trzymającego się bardzo prosto mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, o płaskiej, bladej twarzy.

– Wreszcie jesteś, Cyby – powitał go stojący obok mnie brodacz. – Czy przyniosłeś światło?

– Tak, mistrzu. Kto to jest?

– Posłaniec z listem. A to mój uczeń, Cyby – powiedział zwracając się do mnie nieco bardziej uroczystym tonem mistrz Ultan. – My, kuratorzy, także mamy własną konfraternię, w której bibliotekarze mają swój oddział. Jestem tutaj jedynym mistrzem bibliotekarzy, a w zwyczaju naszego bractwa jest przydzielanie jego najstarszym członkom własnych uczniów. Cyby jest ze mną już od kilku lat.

Powiedziałem Cyby'emu, że czuję się zaszczycony mogąc go poznać i zapytałem nieśmiało, kiedy przypada święty dzień bractwa kuratorów. Pytanie to nasunęła mi myśl, że chyba minęło już bardzo wiele takich dni, podczas których Cyby nie dostąpił zaszczytu wyniesienia go do godności czeladnika.

– Ten dzień już minął – powiedział mistrz Ultan spoglądając w moją stronę. W migotliwym blasku świec dostrzegłem, że jego oczy mają kolor rozwodnionego mleka. – Przypada wczesną wiosną. To cudowny dzień. Najczęściej wszystkie drzewa pokrywają się wtedy nowymi liśćmi.

W obrębie Cytadeli nie rosły żadne drzewa, ale mimo to skinąłem głową; w chwilę potem, przypomniawszy sobie, że nie może mnie widzieć, dodałem:

– Tak, jest szczególnie przyjemnie, kiedy wieje delikatny wiatr.

– Otóż to. Jesteś bardzo do mnie podobny, młody człowieku. – Położył mi dłoń na ramieniu; nie mogłem nie zauważyć, że jego palce są ciemnoszare od kurzu. – Cyby także. Kiedy mnie zabraknie, zostanie tutaj głównym bibliotekarzem. My, kuratorzy, mamy własną procesję na ulicy Iubara. Obydwaj jesteśmy wtedy odziani w szare szaty: Cyby idzie tuż obok mnie. Jaką barwę nosi twoje bractwo?

– Fuligin. Kolor, który jest czarniejszy od czerni.

– Po obu stronach ulicy Iubara rosną drzewa: jawory, dęby, klony i jesiony, o których mówi się, że są najstarsze na Urth. Jeszcze więcej jest ich na prowadzących do centrum esplanadach. Kupcy stają w drzwiach swoich sklepów, by zobaczyć tajemniczych kuratorów, zaś księgarze i antykwariusze pozdrawiają nas serdecznie. Wydaje mi się, że w pewien sposób stajemy się jednym ze zwiastunów nadchodzącej wiosny.

– Musi to być wspaniały widok – zauważyłem.

– W samej istocie. Katedra, do której wreszcie docieramy, także robi wielkie wrażenie. Płoną tysiącem świec, sprawiając wrażenie, jakby promienie słońca padały na pogrążone w mroku fale morza. Na część z nich nałożono klosze z błękitnego szkła – te symbolizują Pazur. Skąpani w świetle odprawiamy przed głównym ołtarzem nasze ceremonie. Powiedz mi, czy członkowie twojej konfraterni również odwiedzają katedrę?

Wyjaśniłem mu, że korzystamy ze znajdującej się na terenie Cytadeli kaplicy oraz wyraziłem zdumienie, że bibliotekarze, a także inni kuratorzy opuszczają jej mury.

– Mamy do tego prawo. Tak przecież czyni sama biblioteka, czyż nie tak, Cyby?

– Tak właśnie jest, mistrzu. – Cyby miał wysokie, kwadratowe czoło, znad którego zniknęła już znaczna część jego włosów, przez co jego twarz sprawiała wrażenie małej i trochę dziecinnej. Zrozumiałem, dlaczego mistrz Ultan, który nieraz zapewne dotykał jej swoimi palcami, podobnie jak to czynił nasz mistrz Palaemon, uważał go ciągle za chłopca.

– Macie w takim razie bliskie kontakty z waszymi odpowiednikami w mieście – zauważyłem.

Starzec pogładził swoją brodę.

– Najbliższe z możliwych, ponieważ jesteśmy nimi. Ta biblioteka jest jednocześnie biblioteką miejską, podobnie jak biblioteka Domu Absolutu i wiele innych.

– Czy chcesz powiedzieć, że miejski motłoch ma prawo wstępu do Cytadeli, by móc korzystać z twojej biblioteki?

– Nie – odparł Ultan. – Chciałem przez to powiedzieć, że to sama biblioteka wykracza daleko poza mury Cytadeli. Sądzę zresztą, że nie jest ona wyjątkiem. To dzięki temu właśnie zawartość naszej fortecy jest tylekroć większa od niej samej.

Wziął mnie za ramię i rozpoczęliśmy wędrówkę jedną z długich, wąskich ścieżek prowadzących wzdłuż piętrzących się półek z książkami. Cyby szedł za nami ze świecznikiem, który służył bardziej jemu niż

mitsi z uczonych, nie pozwala nam na tego rodzaju rekrutację. Nawet teraz, gdy nasze szeregi stopniały do dwóch mistrzów i niespełna dwudziestu czeladników, nikt nie śmie jej złamać.

Od pewnego momentu pamiętam dokładnie wszystko. W najstarszym z moich wspomnień bawię się kamykami na Starym Dziedzińcu, leżącym na południowy zachód od Wiedźmińca, już właściwie na terenie Wielkiego Dworu. Odcinek muru, którego obrona należała niegdyś do obowiązków naszej konfraterni, już wówczas leżał częściowo w ruinie, otwierając szerokie przejście między Czerwoną i Niedźwiedzią Wieżą; chodziłem tam często, by wdrapać się na rumowisko nietopliwego metalu i spoglądać w dół na zajmującą całe zbocze Wzgórza Cytadeli nekropolię.

Kiedy podrosłem, cmentarz stał się moim ulubionym miejscem zabaw. Jego kręte alejki były co prawda patrolowane, ale tylko za dnia, strażnicy w dodatku zwracali baczną uwagę jedynie na świeże groby, znajdujące się w dolnej części cmentarza, zaś wiedząc, kim jesteśmy, nie bardzo mieli ochotę uganiać się za nami wśród wysadzanych cyprysami, nieuczęszczanych ścieżek, gdzie urządziliśmy sobie nasze kryjówki.

Mówi się, że nasza nekropolia jest najstarsza w całym Nessus. Jest to oczywiście nieprawda, ale już samo funkcjonowanie takiej opinii świadczy o jej starożytnym rodowodzie, chociaż autarchowie nie byli tutaj chowani nawet wtedy, gdy Cytadela stanowiła ich główną twierdzę, zaś wielkie rody także w przeszłości, podobnie jak obecnie, wolały powierzać swych arystokratycznych zmarłych grobowcom znajdującym się na terenie ich posiadłości. Najwyższą część cmentarza, graniczącą z murem Cytadeli, upodobała sobie szlachta i optymaci, w dolnej zaś, sięgającej aż do wyrosłych wzdłuż brzegu Gyoll domostw, grzebali swoich bliskich mniej zamożni mieszkańcy miasta, a także zwykła biedota. Jako chłopiec jednak nie zapuszczałem się w swych wędrówkach aż tak daleko.

*

Trzymaliśmy się zawsze we trójkę: Drotte, Roche i ja. Później dołączył do nas Eata, najstarszy spośród pozostałych uczniów. Nikt z nas nie urodził się katem, bo też nikt katem się nie rodzi. Powiada się, że dawniej w konfraterni byli zarówno mężczyźni jak i kobiety, i że córki i synowie dziedziczyli rzemiosło po swych rodzicach, jak to się dzieje wśród kowali, złotników i wielu innych, ale Ymar Niemal Nieomylny widząc, jak bardzo okrutne są kobiety i jak często zadają więcej cierpień niż zostało im polecone, rozkazał, by wśród katów już nigdy nie było kobiet.

Od tej pory uzupełniamy nasze szeregi tylko i wyłącznie dziećmi tych, którzy dostają się w nasze ręce. W jednym z korytarzy Wieży Matachina znajduje się ukryty w ścianie żelazny pręt, wystrzeliwujący z niej z ogromną siłą na wysokości lędźwi dorosłego mężczyzny. Dzieci płci męskiej, które tamtędy przejdą, przyjmujemy do bractwa i wychowujemy jak własne. Czasem trafiają do nas brzemienne kobiety; otwieramy im brzuchy i jeśli dziecko przeżyje, a jest chłopcem, dajemy mu mamkę i pozostawiamy wśród nas, zaś jeśli to dziewczynka, oddajemy ją na wychowanie wiedźmom. Tak dzieje się niezmiennie od czasów Ymara.

W ten oto sposób nikt z nas nie wie skąd, ani od kogo pochodzi. Każdy, gdyby go zapytać, twierdziłby, że jest potomkiem jakiegoś szlachetnego rodu – w rzeczy samej, nierzadko się zdarza, że trafiają do nas dzieci takiego właśnie pochodzenia. Jako chłopcy snuliśmy najróżniejsze domysły, próbując uzyskać jakieś informacje od naszych starszych braci, a nawet od czeladników, ale ci zbyt byli zgorzkniali i zajęci swoimi sprawami, by zwracać uwagę na nasze pytania. Eata, wierzący święcie, iż jego rodzice byli dystyngowanymi arystokratami, wyrysował nawet na suficie nad swoją pryczą drzewo genealogiczne rodu, z którego rzekomo pochodzi.

Jeżeli chodzi o mnie, to za swój wybrałem herb odlany w brązie nad wejściem do jednego z grobowców – widniała na nim strzelająca w górę fontanna, unoszący się na falach statek, a pod tym wszystkim kwiat róży. Same drzwi otwarto dawno temu, zaś na posadzce grobowca stały dwie puste trumny. Trzy kolejne, zbyt ciężkie dla mnie, bym mógł je podnieść lub przestawić, stały nienaruszone na znajdujących się przy ścianie półkach. Jednak nie trumny, wszystko jedno zamknięte czy otwarte, stanowiły o atrakcyjności tego miejsca, chociaż nieraz odpoczywałem na miękkich poduszkach, które wyciągnąłem z tych ostatnich. Na wyobraźnię oddziaływały przede wszystkim niewielkie wymiary pomieszczenia; grube, kamienne ściany,

wąskie okno przedzielone na pół żelaznym prętem i masywne drzwi, których od niepamiętnych już lat nikt nie zamykał.

Właśnie przez te drzwi i okno mogłem, pozostając niewidocznym, śledzić kipiące na drzewach, w krzakach i w trawie życie. Czujne makolągwy i króliki, uciekające zawsze w popłochu, gdy tylko pojawiłem się w pobliżu, nie mogły mnie tam ani wypatrzyć, ani zwęszyć. Mogłem obserwować z odległości dwóch łokci, jak wrona najpierw pracowicie buduje swoje gniazdo, a potem wysiaduje jaja i karmi młode. Widziałem lisa, maszerującego z dumnie podniesioną kitą, a raz też lisa, ale dużo większego, z gatunku, który ludzie nazywają „zwilczałym", idącego nieśpiesznie o zmroku w sobie tylko znanym kierunku i celu. Wielokrotnie podziwiałem polującą na żmije karakarę i jastrzębia, wzbijającego się do lotu z wierzchołka pinii.

Kilka chwil wystarczy, żeby opowiedzieć o tym, co zajęło mi wiele lat, ale na to, żeby dać wyobrażenie o znaczeniu, jakie wszystkie te zdarzenia miały dla małego, obdartego, przygarniętego przez katów chłopaczka, nie starczyłoby chyba życia. Moją obsesją stały się wówczas dwie myśli, a właściwie marzenia: pierwsze, że już niedługo, może lada dzień, czas stanie nagle w miejscu, że wszystkie te kolorowe dni, ciągnące się jeden za drugim niczym nanizane na nieskończonej długości nitkę paciorki prysną nagle w ostatnim rozbłysku słońca. Drugie, że istnieje gdzieś tajemnicze światło (czasem wyobrażałem je sobie jako świecę, czasem zaś jako pochodnię) ożywiające wszystkie przedmioty, jakie znajdą się w jego zasięgu, tak że na przykład opadły z drzewa liść odlatywał nagle, podkuliwszy cienkie nóżki i machając giętkimi czułkami, a gęsty, brązowy krzaczek rozglądał się w pewnej chwili dokoła czarnymi, błyszczącymi oczami i uciekał pośpiesznie na drzewo.

Czasem jednak, a szczególnie podczas sennych, ciągnących się niezmiernie wolno godzin około południa, niewiele było do oglądania. Wówczas mój wzrok spoczywał na wiszącym nad drzwiami herbie i zastanawiałem się, co też ja, Severian, mogę mieć wspólnego z fontanną, statkiem i różą, a potem przez długi czas wpatrywałem się w oczyszczoną przeze mnie do połysku pokrywę jednej z trumien, ozdobioną brązową płaskorzeźbą przedstawiającą postać zmarłego. Leżał na wznak z zamkniętymi metalowymi powiekami. W przyćmionym świetle wpadającym do wnętrza grobowca przez wąskie okienko przyglądałem się jego twarzy, porównując ją z własną, której odbicie widziałem w wypolerowanym metalu. Mój prosty nos, głęboko osadzone oczy i zapadnięte policzki bardzo przypominały jego; niezmiernie chciałem wiedzieć, czy on także miał czarne włosy.

Zimą rzadko odwiedzałem nekropolię, ale latem zarówno ten jak i inne grobowce stanowiły dla mnie miejsce obserwacji i wytchnienia. Drotte, Roche i Eata także tu przychodzili, ale nigdy nie zaprowadziłem ich do mego ulubionego miejsca, a i oni, jak o tym doskonale wiedziałem, mieli swoje tajemne kryjówki, o których nikt prócz nich nie wiedział. Kiedy byliśmy razem, z rzadka wchodziliśmy do wnętrza grobowców, raczej sporządzaliśmy sobie drewniane miecze i prowadziliśmy długotrwałe boje, albo rzucaliśmy szyszkami w żołnierzy lub też rysowaliśmy plansze na miękkiej ziemi świeżych grobów i graliśmy w warcaby, używając jako pionków kamieni lub muszelek.

Nieraz również bawiliśmy się w labiryncie Cytadeli i pływaliśmy w wielkim zbiorniku pod Wieżą Dzwonów. Pod wysokim sklepieniem było chłodno i wilgotno nawet latem, ale i zimą nie było tam wcale gorzej, a poza tym, co najważniejsze, Wieża Dzwonów należała do tych miejsc, do których wstęp był nam najsurowiej zakazany. Odczuwając więc rozkoszny dreszcz emocji biegliśmy tam po kryjomu zawsze, kiedy wszyscy przypuszczali, że jesteśmy dokładnie gdzie indziej i zapalaliśmy pochodnie dopiero wtedy, gdy za ostatnim z nas zatrzasnęła się ciężka, drewniana klapa. A kiedy zapłonęły już pochodnie, jakże tańczyły nasze cienie po tych ciemnych, pokrytych zaciekami ścianach!

Jak już wspomniałem, drugi cel naszych pływackich eskapad stanowiła Gyoll, wijąca się przez Nessus niczym ogromny, utrudzony wąż. Kiedy nachodziły ciepłe dni, wyruszaliśmy w jej kierunku, mijając najpierw stare, okazałe grobowce wzniesione tuż przy murach Cytadeli, następnie pyszniące się chełpliwym przepychem groby optymatów, proste, kamienne pomniki zwykłych ludzi (tam najczęściej trafialiśmy na strażników, więc staraliśmy się wyglądać możliwie godnie i poważnie, z pochylonymi głowami wędrując alejkami śmierci), aż wreszcie niewysokie, usypane pośpiesznie z gliniastej ziemi kopczyki – miejsca spoczynku pospólstwa, niknące bez śladu po pierwszej gwałtowniejszej ulewie.

Moje palce jednak nie trafiły na nie. Zamiast tego niemal upadłem usiłując zejść ze stopnia, którego już nie było i stanąłem bezradnie w kompletnej ciemności.

– Kto tam? – zapytał potężny głos, dźwięczący niczym uderzenie dzwonu w wysoko sklepionej grocie.

VI. Mistrz Kuratorów

– Kto tam? – powtórzyło w ciemności echo.

– Ktoś, kto przynosi wiadomość – odpowiedziałem najśmielej, jak tylko potrafiłem.

– Niechaj więc ją usłyszę.

Moje oczy wreszcie zaczęły się przyzwyczajać do ciemności, dzięki czemu mogłem dostrzec niewyraźne zarysy bardzo wysokiej postaci poruszającej się wśród ciemnych, nieforemnych, jeszcze od niej wyższych kształtów.

– To list, sieur. Czy ty jesteś mistrz Ultan, Kurator?

– Nikt inny.

Stał teraz tuż przede mną. To, co początkowo wziąłem za część jasnej szaty okazało się brodą, sięgającą mu niemal do pasa. Dorównywałem już wzrostem wielu, których nazywano mężczyznami, ale on był ode mnie wyższy jeszcze o półtorej głowy. Prawdziwy arystokrata.

– Oto pismo, sieur – powiedziałem podając mu list.

Nie wziął go.

– Czyim jesteś uczniem?

Ponownie odniosłem wrażenie, że dźwięczy potężny dzwon i nagle poczułem się tak, jakbyśmy obydwaj nie żyli, jakby otaczająca nas ciemność była napierającą na nasze oczy ziemią, w której rozchodziły się dźwięki dzwonu wzywającego do modlitwy w jakiejś podziemnej świątyni. Zobaczyłem nagle przed sobą posiniałą twarz martwej kobiety, którą przy mnie wyciągnięto z grobu i to tak wyraźnie i plastycznie, że wydawało mi się, iż dostrzegam jej emanujące delikatną poświatą zarysy na tle górującej nade mną postaci.

– Czyim jesteś uczniem? – powtórzył pytanie.

– Niczyim. To znaczy, jestem uczniem naszego bractwa. Przysłał mnie mistrz Gurloes, sieur. Uczy nas mistrz Palaemon, najczęściej, sieur.

– Ale chyba nie uczy was gramatyki. – Bardzo powoli dłoń wysokiego mężczyzny zaczęła wędrówkę w kierunku listu.

– O,tak, także gramatyki. – Czułem się jak dziecko rozmawiając z człowiekiem, który był stary już wówczas, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. – Mistrz Palaemon zawsze powtarza, że musimy umieć czytać, pisać i rachować, bo kiedy w swoim czasie zostaniemy mistrzami, będziemy musieli wysyłać listy, czytać polecenia, które otrzymujemy z pałaców, prowadzić księgi i rachunki.

– Listy takie jak ten.

– Tak, sieur. Właśnie takie.

– A co jest w tym liście?

– Nie wiem. Jest zapieczętowany, sieur.

– Jeżeli go otworzę... – usłyszałem, jak pod naciskiem jego palców pęka woskowa pieczęć. – Czy przeczytasz mi go?

– Tutaj jest ciemno, sieur – zauważyłem niepewnie.

– W takim razie będziemy potrzebować Cyby'ego. Przepraszam cię na chwilę. – W mroku dostrzegłem, jak odwraca się ode mnie i unosi do ust zwinięte w kształcie trąbki dłonie.

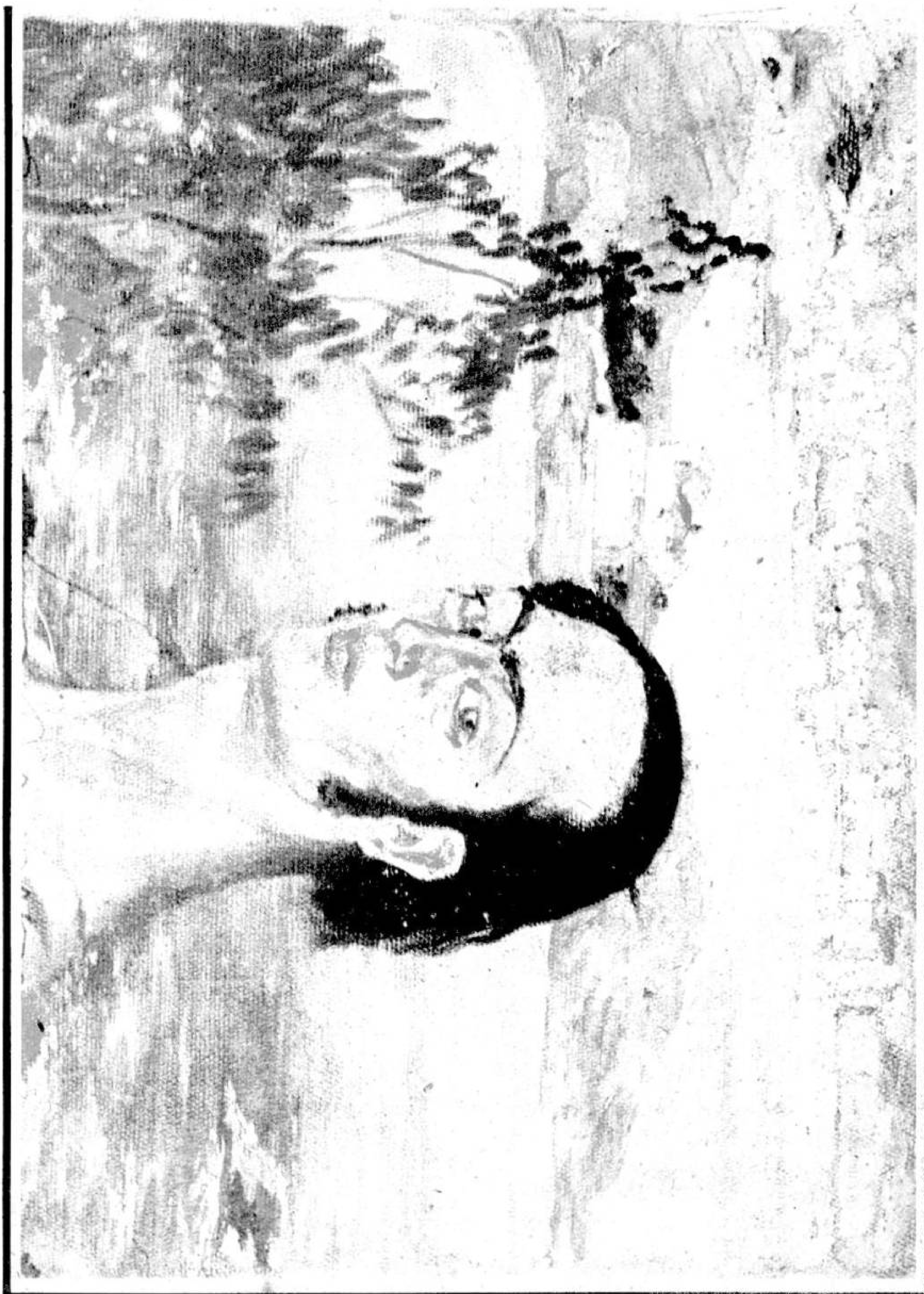
– Cy-by! Cy-by!

Imię rozbiegło się po rozchodzących się na wszystkie strony korytarzach, z których istnienia zdawałem sobie podświadomie sprawę, jakby w czaszę dzwonu uderzył najpierw z jednej, a potem z drugiej strony ostry, żelazny język.

Gdzieś z daleka dobiegła odpowiedź. Przez jakiś czas czekaliśmy w milczeniu.

Wreszcie w wąskim korytarzu ograniczonym (jak się wydawało) wznoszącymi się stromo ścianami z nierówno ciosanego kamienia, dostrzegłem światło. Kiedy przybliżyło się, okazało się, że to pięcioramienny

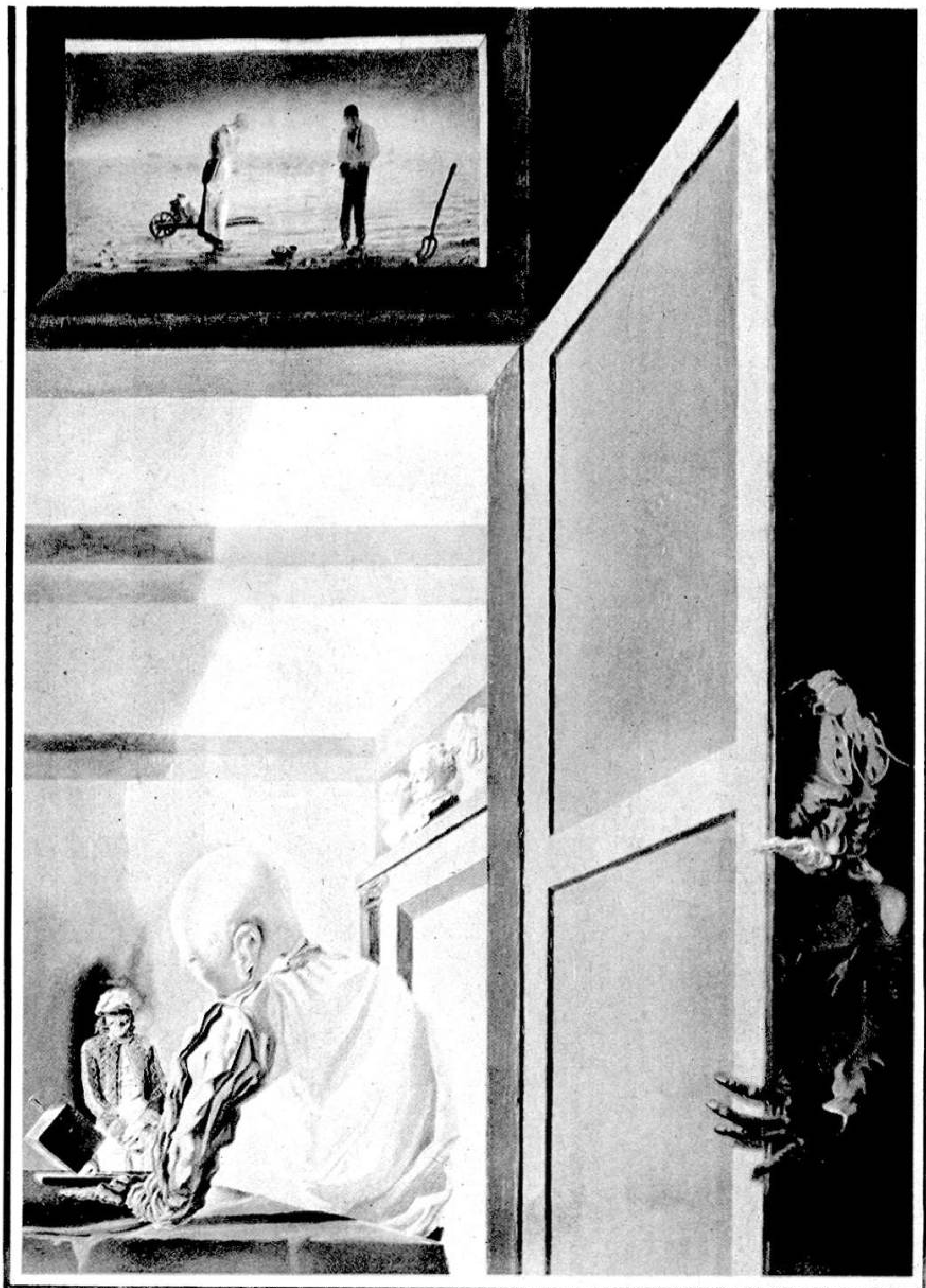
Dalí



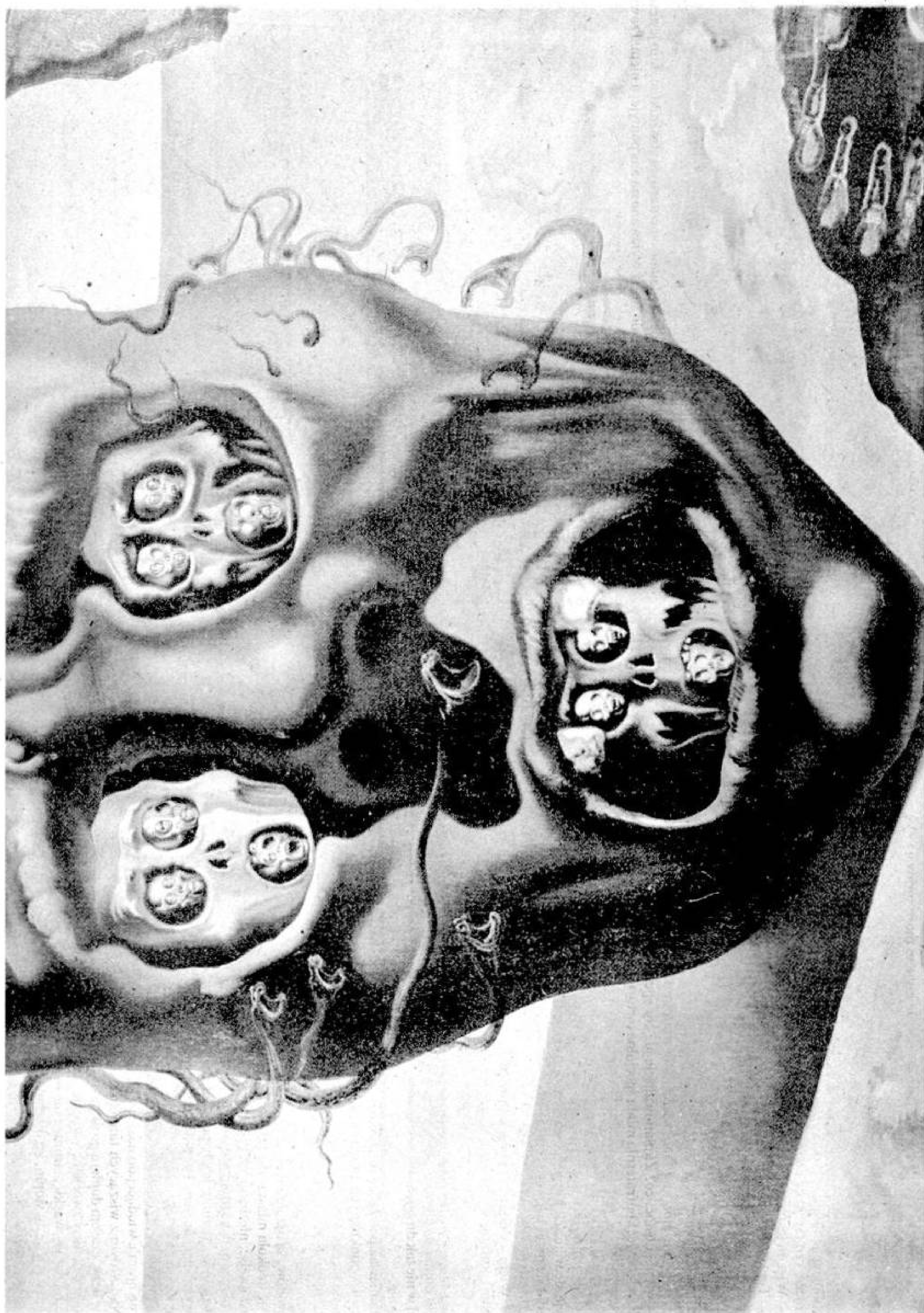
Dalí



Dalí



Dalí



giej córki. Nie był wcale tak bardzo brudny, ale miałem masę spraw na głowie i chciałem się czymś zająć. Dzisiaj zacząłem go czyścić po raz trzeci. Tym razem rzeczywiście tego potrzebuje – widzisz, jak ładnie pojaśniał? To błękitna Urth wschodzi za jego plecami, świeża niczym ryba Autarchy.

Przez cały czas, kiedy mówił, w uszach dźwięczało mi imię Vodalusa. Byłem pewien, że starzec zszedł z drabiny tylko dlatego, że ono padło i chciałem go o niego zapytać. Jednak chociaż bardzo się starałem, nie mogłem znaleźć sposobu, żeby skierować rozmowę na ten temat. Milczałem już zbyt długo i bałem się, że mężczyzna wejdzie na swoją drabinę, więc z najwyższym trudem wykrztusiłem:

– Więc to jest Księżyc? Słyszałem, że tam jest żyzna ziemia.

– Teraz owszem. Tak wyglądał przed nawodnieniem. Widzisz te szare i brązowe plamy? Taki właśnie wtedy był, nie zielony jak teraz. Nie wydawał się również taki duży, bo znajdował się znacznie dalej od nas – tak przynajmniej mawiał stary Branwallader. Teraz rośnie na nim dość drzew, by skrył się wśród nich nawet sam Nillamon.

– Albo Vodalus – skorzystałem z okazji.

– Słusznie, albo Vodalus – zachichotał Rudesind. – Pewnie twoi braciszkowie zacierają ręce na myśl, że mogliby go dostać, co? Zaplanowaliście już coś specjalnego?

Jeżeli nawet konfraternia miała specjalne tortury zarezerwowane dla szczególnych klientów, nie było mi nic o tym wiadomo, ale na wszelki wypadek zrobiłem mądrą minę i powiedziałem:

– Coś tam wymyślimy.

– Jestem tego pewien. Szczerze mówiąc sądziłem, że już go prawie macie. Jeżeli jednak rzeczywiście kryje się w lasach Luny, to będziecie musieli trochę poczekać. – Rudesind z widocznym zachwytem przyglądał się przez jakiś czas obrazowi. – Aha, zupełnie zapomniałem. Chcesz trafić do naszego mistrza Ultana. Musisz...

– Wiem – skinąłem głową. – Powiedział mi już ten człowiek.

Stary kurator wydął pogardliwie wargi.

– Gdybyś go posłuchał, dotarłbyś zaledwie do Czytelni, a stamtąd miałbyś jeszcze co najmniej wachtę drogi, o ile, rzecz jasna, w ogóle dotarłbyś do celu. Najlepiej będzie, jeśli wrócisz drogą, którą tutaj przyszedłeś, dojdziesz do końca korytarza i zejdziesz na dół schodami. Staniesz przed zamkniętymi drzwiami – wal w nie tak długo, aż ktoś ci otworzy. To najniższy poziom magazynów, tam właśnie Ultan ma swoją pracownię.

Ponieważ patrzył za mną, poszedłem w kierunku, który mi wskazał, chociaż nie podobało mi się to, co mówił o zamkniętych drzwiach, zaś schodząc w dół zbliżałbym się do starożytnych tuneli, w których błąkałem się kiedyś w poszukiwaniu Triskele.

Czułem się znacznie mniej pewnie niż w tych częściach Cytadeli, które zdążyłem już dobrze poznać. Od tego czasu wielokrotnie miałem już okazję się przekonać, że obcy, którzy trafiają do niej z takich czy innych powodów, są oszołomieni jej ogromem, a i tak stanowi ona przecież zaledwie drobną cząstkę rozciągającej się dookoła miasta, zaś my, którzy dorastamy w jej wnętrzu, poznając nazwy i wzajemne usytuowanie setek miejsc, niezbędnych dla tego, kto chciałby wśród nich znaleźć właściwą drogę, okazujemy się zupełnie bezradni w każdym obcym terenie.

Tak było i ze mną, kiedy podążałem drogą, którą wskazał mi stary kurator. Wielkie pomieszczenie, w którym się znalazłem, wybudowane było również z ciemnej, czerwonawej cegły, zaś jego sklepienie wspierało się na dwóch kolumnach o głowicach w kształcie ogromnych, pogrążonych we śnie twarzy. Milczące usta i wyblakłe, zamknięte oczy wydały mi się znacznie bardziej groźne od przerażających lic znajdujących się na bramie wiodącej do naszej wieży.

Na każdym z wiszących tam obrazów znajdowała się książka. Czasem było ich wiele i od razu rzucały się w oczy, czasem dopiero po dłuższej chwili dostrzegałem fragment okładki wystający z kieszeni spódnicy albo przedziwny zwój słów skręconych dookoła siebie niczym gruby drut.

Schody były wąskie, strome i nie miały poręczy. Prowadziły w dół ciasną spiralą, więc nie przeszedłem nawet trzydziestu stopni, kiedy znalazłem się niemal w zupełnym mroku. Niebawem musiałem wyciągnąć przed siebie ręce i iść po omacku w obawie, że rozbiję sobie głowę o niespodziewaną przeszkodę w postaci drzwi, które miałem podobno napotkać.

Wejścia na teren nekropolii strzegła od strony nadrzecznej niziny żelazna brama, którą opisałem na samym wstępie. Przez nią wnoszono ciała przeznaczone do pochówku w najuboższej części cmentarza. Dopiero po minięciu jej wyniosłej, przerdzewiałej konstrukcji czuliśmy, że jesteśmy rzeczywiście poza Cytadelą, łamiąc tym samym w niezaprzeczalny sposób reguły, które powinny rządzić naszym życiem w konfraterni. Wierzyliśmy (albo raczej udawaliśmy nawzajem przed sobą, że wierzymy), że zostaniemy poddani torturom, jeżeli nasi starsi bracia dowiedzą się o tej niesubordynacji; w rzeczywistości nic groziło nam nic poza solidnym trzepaniem skóry. Tak wielka była wyrozumiałość bractwa, które kiedyś miałem zdradzić.

Dużo większe i bynajmniej nie wyimaginowane niebezpieczeństwo groziło nam ze strony mieszkańców obskurnych, wielopiętrowych domów wznoszących się po obu stronach ulic, którymi szliśmy nad rzekę. Czasami nachodzi mnie myśl, że być może nasza konfraternia przetrwała tak długo właśnie dzięki temu, że ogniskowała na sobie ludzką nienawiść, odciągając ją od osoby Autarchy, arystokratów, wojska, a w pewnym stopniu także od jasnoskórych odmieńców, przybywających czasem na Urth z odległych gwiazd.

To samo wyczucie, które podpowiadało cmentarnym strażnikom, kim jesteśmy, demaskowało nas także przed ludźmi z miasta. Zdarzało się, iż wylewano na nas pomyje, a niemal zawsze towarzyszył nam niechętny, złowrogi pomruk. Ale strach, towarzyszący nieodmiennie tej nienawiści, okazywał się wystarczającą ochroną. Nigdy nie spotkaliśmy się z bezpośrednią przemocą, a raz czy dwa, kiedy akurat naszym starszym braciom dostarczono jakiegoś powszechnie znienawidzonego możnowładcę czy znaną z sadystycznego wyuzdania arystokratkę, otrzymywaliśmy nawet rady, co z nimi zrobić – niemal wszystkie były obscenicznc, a większość niemożliwa do zrealizowania.

W miejscu, w którym zawsze pływaliśmy, Gyoll wiele wieków temu utraciła swe naturalne brzegi. Wyglądała tam jak dwułańcuchowej szerokości pole błękitnych nenufarów ograniczone dwiema kamiennymi ścianami, w których w niewielkich odstępach znajdowały się schody, pomyślane jako miejsce do cumowania dla najróżniejszych łodzi i statków. Latem każde schody okupowane były przez dziesięcio- lub piętnastoosobową bandę wyrostków. Nasza czwórka nie miała szans na to, żeby którąkolwiek z nich usunąć, ale oni z kolei nie mogli (a może po prostu nie chcieli) odmówić nam miejsca do kąpieli, chociaż zasypywali nas pogróżkami, gdy się do nich zbliżaliśmy, a szydzili i wyśmiewali się, kiedy byliśmy już między nimi. Wkrótce zresztą sami przenosili się gdzie indziej, pozostawiając nas w spokoju aż do następnej wizyty.

Opisuję to wszystko akurat teraz, bowiem dzień, w którym ocaliłem Vodalusa był ostatnim, w którym się tam znalazłem. Drotte i Roche byli przekonani, że przestraszyłem się konsekwencji, jakie musielibyśmy ponieść, gdyby nas tam złapano. Tylko Eata domyślił się prawdy – chłopcy, zanim zbliżą się do tego wieku, w którym stają się mężczyznami, są często obdarzeni wręcz kobiecą intuicją. Chodziło o nenufary.

Nigdy nie myślałem o nekropolii jako o mieście śmierci. Wiedziałem, że rosnące na jej terenie krzaki fioletowych róż (które inni uważają wręcz za ohydne) dają schronienie i mieszkanie niezliczonym małym zwierzętom i ptakom. Egzekucje, którym się przyglądałem i które sam później tak często wykonywałem, nie są niczym innym jak po prostu wykonywanym z zawodową rutyną rzemiosłem, usuwaniem istot w znacznej części może i bardziej niewinnych, ale i z całą pewnością mniej wartościowych od rzeźnego bydła. Kiedy myślę o własnej śmierci albo o śmierci kogoś, kto okazał mi dobroć, czy nawet o śmierci słońca, przed oczyma pojawia mi się obraz nenufaru o lśniących, bladych liściach i lazurowym kwiecie. Pod tymi kwiatami i liśćmi znajdują się czarne korzenie, cienkie i mocne niczym włosy, sięgające daleko w głąb ciemnych wód.

Jak to chłopcy w naszym wieku – pływając, pluszcząc się i nurkując między błękitnymi kwiatami – nie poświęcaliśmy im nawet najmniejszej uwagi. Ich zapach niwelował do pewnego stopnia nieprzyjemny odór bijący z wody. Tego dnia, w którym miałem ocalić życie Vodalusa, zanurkowałem pod ich zbite gęsto liście tak, jak to już czyniłem tysiące razy.

Tym razem jednak nie wypłynąłem na powierzchnię. W jakiś sposób trafiłem w miejsce, gdzie korzenie były znacznie grubsze od tych, jakie widziałem do tej pory. Zostałem schwytany w plątaninę setek mocnych sieci. Oczy miałem otwarte, ale nie mogłem dostrzec nic oprócz kłębowiska czarnych, wijących się ko-



Grzegorz Komorowski

– Nie mogę, sieur. Mam dostarczyć ją osobiście.
– Chyba nie musisz traktować go tak ostro, Racho – wtrącił się drugi mężczyzna.
– Zapewne nie wiesz, kim on jest, prawda?
– A ty wiesz?
Człowiek o imieniu Racho skinął głową.
– Z której części Cytadeli przychodzisz, posłańcze?
– Z Wieży Matachina. Mistrz Gurloes polecił mi odszukać archiwistę.
Twarz drugiego mężczyzny ścięła się w nieprzeniknioną maskę.
– A więc jesteś katem.
– Zaledwie uczniem, sieur.
– Teraz rozumiem, dlaczego mój przyjaciel chce, żebyś jak najprędzej zniknął nam z oczu. Idź tym korytarzem aż do trzecich drzwi, skręć w nie, idź prosto jakieś sto kroków, wejdź na drugie piętro i idź południowym korytarzem aż do podwójnych drzwi na jego końcu.
– Dziękuję – powiedziałem i postąpiłem krok we wskazanym kierunku.
– Zaczekaj. Jeśli pójdziesz pierwszy, będziemy musieli na ciebie patrzeć.
– Wolałbym już mieć go przed niż za nami – mruknął Racho.
Zaczekałem jednak, aż znikną za zakrętem korytarza.
– Więc jednak jesteś katem, prawda? – odezwał się niespodziewanie człowiek z drabiny niczym dobiegający z wysokości, bezosobowy głos, z którym nieraz zdarza się rozmawiać we śnie. – Nigdy nie byłem w waszej wieży.
Miał wyblakłe oczy, bardzo przypominające oczy żółwi, które nieraz znajdowaliśmy na brzegach Gyoll, a także nos i brodę, które niemal się stykały.
– Mam nadzieję, że nigdy cię tam nie zobaczę – odparłem uprzejmie.
– Nie mam się czego bać. Co moglibyście mi zrobić? Serce zatrzymałoby mi się, o, tak! – Włożył gąbkę do wiaderka i pstryknął bezgłośnie mokrymi palcami. – Ale wiem, gdzie to jest. Zaraz za Wiedźmińcem, prawda?
Skinąłem głową nieco zdziwiony, że wiedźmy są bardziej znane od nas.
– Tak myślałem. Nikt o was nigdy nie mówi. Jesteś zły na tych ludzi i nie dziwię ci się. Ale powinieneś wiedzieć, jak to z nimi jest. Powinni być właściwie arystokratami, lecz nimi nie są. Boją się postępować jak oni, boją się śmierci, boją się ran. Nie jest im łatwo, mówię ci.
– Powinno się ich pozbyć – powiedziałem. – Vodalus na pewno by to zrobił. Są przeżytkiem dawnych wieków. Co oni mogą dać światu?
– A wiesz, co mu kiedyś dali? – zapytał starzec przekrzywiając głowę.
Kiedy przyznałem, że nie wiem, zsunął się na dół po drabinie niczym posiwiała małpa. Jego dłonie były długości moich stóp, o powyginanych palcach pokrytych siecią niebieskich żył.
– Jestem Rudesind, kurator. Znasz chyba starego Ultana? Nie, oczywiście, że nie znasz. Gdybyś znał, wiedziałbyś, jak trafić do biblioteki.
– Nigdy nie byłem w tej części Cytadeli.
– Nigdy? A to właśnie jej najlepsza część. Sztuka, muzyka i książki. Mamy tutaj obraz Fechina przedstawiający trzy dziewczęta przystrajające się kwiatami, tak realistyczny, że wydaje się, jakby z tych kwiatów lada moment miały wylecieć pszczoły. Jest tu też Quartillosa, teraz już nie tak popularny, ale właśnie dlatego tutaj trafił. Za życia był znacznie lepszym rysownikiem od tych wszystkich mazipiórków, którymi dzisiaj tak się zachwycają. Trafia do nas wszystko to, czego nie chcą w Domu Absolutu, a to oznacza, że dostajemy rzeczy stare, a tym samym najczęściej najlepsze. Przybywają do nas bardzo brudne, więc je czyszczę. Niektóre czyszczę później jeszcze raz, kiedy już u nas trochę powiszą. Tak, tak, naprawdę mamy autentycznego Fechina! Albo ten, na przykład, podoba ci się?
Wydawało mi się, iż najrozsądniej będzie powiedzieć, że tak.
– Trzeci raz już go czyszczę. Za młodu byłem uczniem Branwalladera, on mi pokazywał, jak należy to robić. Ćwiczyliśmy właśnie na tym obrazie, bo powiedział, że nie jest nic wart. Zaczął tu, w tym rogu, a kiedy oczyścił fragment, który bez trudu można by nakryć jedną dłonią, przerwał i kazał mi robić dalej. Drugi raz czyściłem to płótno wtedy, kiedy jeszcze żyła moja żona, zdaje się, że zaraz po narodzinach dru-

podarunek dla naszej konfraterni), zagoniłem wszystkich chłopców (albo mi się zdawało, albo już zaczynali na mnie niechętnie spoglądać) do naszej bursy, po czym starannie zamknąłem drzwi i spuściłem na nie grubą, tłumiącą wszelkie głosy zasłonę.

Pod względem wieku drugim po mnie był Eata; byliśmy na tyle zaprzyjaźnieni, że niczego się nie spodziewał, a potem było już za późno na to, żeby mógł stawić skuteczny opór. Chwyciłem go za gardło, przyparłem do ściany, a potem powaliłem na podłogę, ani na moment nie zwalniając uścisku.

– Będziesz moim zastępcą? Odpowiadaj!

Nie mógł wykrztusić ani słowa, więc tylko skinął głową.

– Dobrze. Ja biorę Timona, ty następnego.

Starczyło sto oddechów (i to bardzo szybkich, muszę dodać), żeby wszyscy chłopcy zostali zmuszeni do posłuszeństwa. Dopiero po trzech tygodniach zetknąłem się z pierwszymi oznakami niezadowolenia, a i to nie był żaden bunt, tylko indywidualne, odosobnione narzekania.

*

Jako kapitan uczniów miałem nowe obowiązki, ale i więcej swobody niż kiedykolwiek do tej pory. To moim zadaniem było troszczyć się o to, żeby odbywający służbę czeladnicy otrzymywali zawsze gorące posiłki i doglądać chłopców porcjujących żywność dla naszych klientów. W kuchni goniłem ich do pracy, w klasie zaś do nauki. Roznosiłem przesyłki nawet do najdalszych zakątków Cytadeli, a także, choć w niewielkim rzecz jasna stopniu, byłem dopuszczany do kierowania sprawami bractwa. Poznałem dokładnie wszystkie przejścia i wiele nieuczęszczanych zakątków: zamieszkane przez zdziczałe koty spichrze o strychach zawalonych tajemniczymi skrzyniami i kuframi, smagane wiatrem wały obronne wznoszące się nad przypominającymi gnijące wrzody slumsami, a wreszcie olbrzymie galerie o szerokich, przykrytych częściowo szklanymi dachami korytarzach i drzwiach do ciągnących się po obu stronach obszernych sal, których ściany, podobnie jak ściany korytarzy, zawieszone były niezliczonymi obrazami.

Znaczna ich część była tak stara i poczerniała, że za nic nie mogłem dostrzec, co przedstawiają; tego natomiast, co widziałem na innych, często nie byłem w stanie zrozumieć. Był tam tancerz o nogach przypominających pijawki i kobieta ściskająca w dłoni sztylet o dwóch ostrzach, siedząca pod pośmiertną maską. Pewnego dnia przeszedłem chyba ponad milę, przypatrując się tym zagadkowym płótnom, kiedy niespodziewanie dostrzegłem starego mężczyznę stojącego na wysokiej, sięgającej niemal sufitu drabinie. Chciałem zapytać go o drogę, ale wydawał się tak pochłonięty swoją pracą, że nie ośmieliłem się mu przeszkodzić.

Obraz, który właśnie czyścił, przedstawiał odzianą w zbroję postać stojącą na tle dzikiego krajobrazu. Postać nie miała żadnej broni, ale w dłoni trzymała drzewce dziwnego, zupełnie sztywnego sztandaru. Przyłbica hełmu wykonana była ze złota, bez otworów wentylacyjnych, ani szczeliny na oczy. Odbijał się w niej pusty, nieprzyjazny krajobraz i nic poza tym.

Ten wojownik z martwego świata od razu mnie zafascynował, chociaż nie byłbym w stanie powiedzieć, dlaczego, ani nawet, jakie właściwie wywołał we mnie uczucia. Zapragnąłem nagle, chyba nawet nie do końca świadomie, zdjąć go ze ściany i zanieść nie do naszej nekropolii, lecz do jednego z tych górskich lasów, których nekropolia ta (zrozumiałem to już wówczas) była wyidealizownym, wyciosanym z granitów i marmurów odbiciem. Powinien stać w młodej trawie, opierając się o jedno z sięgających niebotycznych wyżyn drzew.

– ... i wszyscy uciekli – dobiegł zza moich pleców jakiś głos. – Vodalus dopiął swego.

– Hej, ty! – To był inny głos. – Kim jesteś?

Odwróciłem się i ujrzałem dwóch mężczyzn odzianych w jaskrawe szaty, zbliżające się śmiałością barw i kroju do strojów mających powiązania z dworem arystokratów.

– Mam wiadomość dla archiwisty – odparłem, pokazując im kopertę.

– Znakomicie – powiedział ten, który mnie zagadnął. – Wiesz, gdzie są archiwa?

– Właśnie miałem zamiar o to zapytać, sieur.

– Więc nie jesteś chyba właściwym posłańcem, prawda? Daj mi tę przesyłkę, a ja przekażę ją gońcowi.

rzeni. Usiłowałem płynąć, ale czułem, że chociaż moje ręce i nogi poruszają się, odgarniając na boki miliony delikatnych bocznych odrostków, to moje ciało pozostaje w miejscu. Zacząłem chwytać je dłońmi i rozrywać, ale gdy wydawało mi się, że już skończyłem, byłem tak samo unieruchomiony, jak przedtem. Płuca niemal mi pękały, usiłując wyrwać się z piersi i napierając ze straszliwą siłą na zaciśnięte kurczowo gardło. Pragnienie zaczerpnięcia oddechu, nabrania otaczającej mnie zewsząd ciemnej, chłodnej wody było niemal nie do przezwyciężenia. Nie wiedziałem już, w którą stronę należy kierować się do powierzchni i nie zdawałem sobie sprawy z obecności wody jako wody. Zacząłem tracić władzę w kończynach, ale przestałem się bać, chociaż wiedziałem, że umieram, albo nawet już nie żyję. W uszach odezwało mi się nieprzyjemne, głośne dzwonienie, a przed oczyma pojawiły się halucynacje.

Mistrz Malrubius, nieżyjący już od kilku lat, zwykł nas budzić uderzając w ściany metalową łyżką – to właśnie było to dzwonienie, które słyszałem. Leżałem na pryczy nie mogąc się podnieść, chociaż Drotte, Roche i wszyscy młodzi chłopcy wstali już i ziewając rozdzierająco, niezgrabnie nakładali ubrania. Płaszcz mistrza Malrubiusa rozsunął się ukazując zwiotczałą skórę na jego piersi i brzuchu. Naprężające ją niegdyś mięśnie i tkankę tłuszczową zniszczył upływający nieubłaganie czas. Chciałem powiedzieć, że już się obudziłem, że nie śpię, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu. Po chwili ruszył dalej, cały czas uderzając w ścianę łyżką. Kiedy dotarł do okna, wychylił się i spojrzał w dół, wiedziałem, że szuka mnie na Starym Dziedzińcu.

Nie mógł mnie jednak dojrzeć, bowiem znajdowałem się w jednej z cel bezpośrednio pod pokojem przesłuchań. Leżałem na wznak, wpatrując się w szary sufit. Rozległ się krzyk kobiety, ale nie mogłem jej dostrzec, a poza tym moją uwagę zaprzątały nie jej jęki, tylko to bezustanne, nieprzerwane, nie kończące się dzwonienie. Niespodziewanie zamknęła się wokół mnie ciemność, z niej zaś wyłoniła się ogromna twarz kobiety wielkości zielonej tarczy księżyca. To nie ona krzyczała – jęki i zawodzenia nie ustały ani na moment, na tej natomiast twarzy nie znać było ani śladu cierpienia, wręcz przeciwnie – emanowało z niej nie dające się opisać piękno. Wyciągnęła ku mnie ręce, a ja w tym momencie zamieniłem się w pisklę, które przed rokiem wyjąłem z gniazda, mając nadzieję, że uda mi się je oswoić i przyuczyć, by na zawołanie przylatywało i siadało na moim palcu, bowiem jej ręce były długości trumien, w których czasem odpoczywałem w mojej sekretnej kryjówce. Chwyciły mnie, pociągnęły najpierw do góry, a potem w dół, coraz dalej od twarzy i od zawodzących jęków, w ciemną otchłań; dotknąłem czegoś stałego, co mogło być mulistym dnem i wystrzeliłem nagle w obramowany nieprzeniknioną czernią świat jasności.

Ciągle jednak nie mogłem oddychać, a właściwie nie chciałem, zaś moja pierś nie unosiła się już w samodzielnym, niezależnym od mojej woli rytmie. Płynąłem, chociaż nie miałem pojęcia, jak ani dlaczego tak się dzieje. (Później okazało się, że to Drotte chwycił mnie za włosy). Niebawem leżałem na zimnych, oślizgłych kamieniach, zaś Drotte i Roche na zmianę pompowali mi powietrze prosto w usta. Widziałem nachylające się nade mną oczy, same oczy, różne, niczym w kalejdoskopie i dziwiłem się, dlaczego Eata ma ich więcej niż powinien.

Wreszcie odepchnąłem Roche'a i zwymiotowałem wielką ilość czarnej wody. Od razu poczułem się lepiej – mogłem już usiąść i nawet oddychać, a także, chociaż nie miałem prawie zupełnie siły i trzęsły mi się ręce, poruszać ramionami. Oczy, które widziałem, należały do prawdziwych ludzi, mieszkańców pobliskich domów. Jakaś kobieta przyniosła miskę czegoś gorącego do picia; nie byłem pewien, czy to zupa, czy herbata, mogę tylko powiedzieć, że było to słonawe, parzyło i pachniało dymem. Udawałem tylko, że piję, ale później i tak okazało się, że poparzyłem sobie wargi i język.

– Specjalnie to zrobiłeś? – zapytał Drotte. – Jak wypłynąłeś na powierzchnię?

Potrząsnąłem tylko głową.

– Wystrzelił z wody, jakby go coś wypchnęło! – powiedział ktoś z tłumu.

Roche pomógł mi opanować drżenie dłoni.

– Myśleliśmy, że wypłyniesz w innym miejscu, że chcesz nas nastraszyć.

– Widziałem Malrubiusa – wykrztusiłem z trudem.

– Kto to jest? – stary człowiek, zapewne rybak, sądząc z poplamionego smołą stroju, zapytał Roche'a, biorąc go za ramię.

– Był mistrzem i opiekunem uczniów. Już nie żyje.
– To nie kobieta? – Stary mężczyzna cały czas trzymał Roche'a za ramię, ale nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.
– Nie. Wśród nas nie ma kobiet.
Pomimo gorącego napoju i ciepłego dnia trząsłem się z zimna. Jeden z chłopców, którzy nam zazwyczaj dokuczali, przyniósł jakiś brudny koc, w który się zawinąłem, ale minęło tak dużo czasu, zanim odzyskałem siły na tyle, żeby móc znowu samodzielnie się poruszać, że gdy dotarliśmy do cmentarnej bramy, statua Nocy na wzgórzu po drugiej stronie rzeki była już jedynie małą kreseczką na tle płonącego czerwienią zachodniego nieboskłonu, zaś sama brama była zamknięta na głucho.

III. Oblicze Autarchy

Dopiero późnym rankiem następnego dnia przypomniałem sobie o monecie, którą dał mi Vodalus. Po obsłużeniu spożywających posiłek w refektarzu czeladników sami, jak zwykle, zjedliśmy śniadanie, zebraliśmy się w klasie i po krótkim przygotowawczym wykładzie mistrza Palaemona zeszliśmy z nim na dół, żeby zapoznać się z przebiegiem i rezultatami wieczornej pracy naszych starszych braci.

Zanim jednak będę kontynuował moją relację, powinienem chyba powiedzieć kilka słów o Wieży Matachina. Wznosi się ona w głębi Cytadeli, po jej zachodniej stronie. Na parterze znajdują się gabinety naszych mistrzów, gdzie odbywają się spotkania z ważniejszymi urzędnikami wymiaru sprawiedliwości i mistrzami innych związków. Piętro wyżej usytuowano naszą świetlicę, sąsiadującą bezpośrednio z kuchnią, zaś jeszcze wyżej refektarz, służący zarówno jako miejsce zebrań, jak i jadalnia. Nad nim znajdują się prywatne apartamenty mistrzów, za dni świetności naszej konfraterni znacznie liczniejsze niż obecnie, na kolejnych zaś piętrach odpowiednio – pokoje czeladników, bursa dla uczniów sąsiadująca z klasą i wreszcie najróżniejsze puste, nie używane komórki i pomieszczenia. Na samym szczycie jest usytuowana zbrojownia – na wypadek, gdyby Cytadela została zaatakowana a my, nędzne pozostałości świetnej ongiś konfraterni, mielibyśmy wypełnić spoczywający na nas obowiązek jej obrony.

Gdyby ktoś chciał zobaczyć nas przy pracy, musiałby zejść na dół. Na pierwszej podziemnej kondygnacji znajduje się pokój przesłuchań. Pod nim, sięgając daleko poza Wieżę, rozciąga się labirynt lochów, z których wykorzystuje się obecnie trzy poziomy, połączone centralnie usytuowanymi schodami. Cele są proste, czyste i suche, wyposażone w stół, krzesło i ustawione na samym środku wąskie łóżko.

Rozjaśniające ciemności światła pochodzą z pradawnych czasów i mają podobno płonąć wiecznie, chociaż niektóre z nich już pogasły. Szliśmy pogrążonymi w półmroku korytarzami, ale mój nastrój daleki był od tego, jaki, wydawałoby się, to miejsce powinno wywoływać. Byłem szczęśliwy i radośnie podniecony – to tu właśnie będę pracował, kiedy zostanę czeladnikiem, doskonaląc się w starożytnej sztuce i zbliżając się z każdym dniem do chwili, kiedy na moich barkach spocznie godność mistrza; to tu położę fundamenty pod budowę świetności naszego bractwa. Panująca w lochach atmosfera wydawała się spowijać mnie niczym delikatny koc, ogrzany uprzednio nad oczyszczającym wszystko ogniem.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami jednej z cel i pełniący dzisiaj służbę czeladnik otworzył je potężnych rozmiarów kluczem. Leżąca wewnątrz na łóżku klientka uniosła głowę i gdy zobaczyła nas, jej czarne oczy zrobiły się okrągłe niczym dwie monety. Mistrz Palaemon miał na sobie obszyty sobolami płaszcz i aksamitną maskę, oznakę jego władzy. Przypuszczam, że właśnie to, a może niezwykłe urządzenie optyczne, dzięki któremu widział, stało się powodem jej przerażenia. Nic jednak nie powiedziała, a my, rzecz jasna, również się nie odzywaliśmy.

– Mamy tutaj przykład, dobrze ilustrujący stosowaną przez nas nowoczesną technikę wykraczającą daleko poza tradycyjne, znane od niepamiętnych czasów metody – rozpoczął mistrz Palaemon doskonale obojętnym, beznamiętnym głosem. – Klientka została wczoraj wieczorem poddana przesłuchaniu – być może niektórzy z was ją słyszeli. W celu zapobieżenia szokowi i utracie przytomności podano jej dwadzieścia minimów tinktury przed i dziesięć po zabiegu, ale dawka ta okazała się niewystarczająca, dlatego też poprzestano jedynie na obdarciu jej prawej nogi. – Skinął na Drotte'a, który zaczął odwijać bandaże.

– Niektóre wieże budowano solidniej niż inne – zauważyłem. – Wiedźminiec też zaczyna się już rozsypywać.
– Naprawdę istnieje takie miejsce? Kiedy byłam mała, opowiadała mi o tym niania, żeby mnie nastraszyć, ale ja myślałam, że to tylko bajka. Podobno istniała też Wieża Katuszy, z której nikt nigdy nie wyszedł żywy.
Uspokoiłem ją, że przynajmniej to rzeczywiście było bajką.
– W ogóle, dni chwały tych wież są dla mnie czymś nierzeczywistym – westchnęła. – Nikt już nie nosi miecza, by bronić nas przed wrogami Wspólnoty, ani też nie idzie jako zakładnik do Studni Orchidei.
– Może wezwą tam niebawem którąś z twoich sióstr – powiedziałem, nie chcąc z jakiegoś powodu dopuścić do siebie myśli, że mogłaby to być ona.
– Nie mam już żadnych sióstr. Ani braci.
Stary służący przyniósł nam herbatę i małe, twarde ciasteczka. Nie była to prawdziwa herbata, lecz przyrządzana na Północy mieszanka, którą i my podajemy czasem naszym klientom, bowiem jest bardzo tania.
Valeria uśmiechnęła się.
– Widzisz, zostałeś tutaj dobrze przyjęty. Martwisz się o swego psa, ponieważ nie ma łapy, ale może i on znalazł gdzieś gościnę. Kochasz go, więc ktoś inny też może go pokochać. Kochasz go, więc możesz także pokochać innego.
Skinąłem głową, ale w duszy postanowiłem, że już nigdy nie będę miał żadnego psa. Tak też się stało.

*

Nie widziałem go przez cały tydzień. Pewnego dnia, kiedy niosłem list do barbakanu, wypadł znienacka z jakiegoś zakamarka. Nauczył się biegać na trzech łapach niczym akrobata wyczyniający swe sztuki na pozłacanej piłce.

Potem jeszcze widywałem go raz czy dwa razy w miesiącu, ale tylko do czasu zniknięcia ostatniego śniegu. Nigdy nie dowiedziałem się, kogo sobie wybrał, kto się o niego troszczył i dawał mu jeść. Lubię jednak myśleć, że był to ktoś, kto wraz z nadejściem wiosny zabrał go na Północ, do jednego z wojskowych obozów, sposobiących się do kampanii w górach.

V. Konserwator obrazów i inni

Dzień Świętej Katarzyny to największe święto naszej konfraterni, podczas którego wspominamy nasze dziedzictwo, uczniowie często stają się czeladnikami, a czeladnicy czasem mistrzami. O ceremoniach związanych z tym świętem opowiem dokładniej wówczas, gdy będę relacjonował moje własne wyniesienie. W roku, którego wydarzenia tu przedstawiam, zaszczyt ów spotkał Drotte'a i Roche'a – tym samym ja zostałem kapitanem uczniów.

Ciężar tej funkcji uświadomiłem sobie w pełni dopiero wówczas, kiedy rytuał miał się już ku końcowi. Siedziałem w zrujnowanej kaplicy przyglądając się uroczystości, zdając sobie powoli sprawę z tego, że gdy dobiegnie ona końca, do mnie będzie należało przywództwo wśród uczniów.

Jednocześnie jednak zaczęło mnie stopniowo ogarniać uczucie pewnego niepokoju. Posmutniałem, zanim dotarło do mnie w pełni, że nie jestem szczęśliwy i ugiąłem się pod ciężarem odpowiedzialności, zanim jeszcze pojąłem, że wziąłem go na moje barki. Pamiętałem doskonale, ile kłopotów miał Drotte z utrzymaniem wśród nas porządku. Ja miałem teraz dokonać tego samego nie dysponując jego siłą i nie mając u boku nikogo takiego, kim dla niego był Roche. Kiedy przebrzmiały tony ostatniej pieśni, a obydwaj mistrzowie, których twarze skryte były za złotymi maskami, opuścili dostojnie miejsce uroczystości, zaś czeladnicy porwali na ramiona przyjętych w ich poczet Drotte'a i Roche'a, szykując się do hucznego świętowania tego wydarzenia, które miały uświetnić między innymi przygotowane przez nich już wcześniej sztuczne ognie, wiedziałem już, co muszę zrobić.

My, uczniowie, mieliśmy obsługiwać wszystkich podczas uczty, ale przedtem musieliśmy zdjąć stosunkowo nowe i czyste stroje, które dano nam na czas samej uroczystości. Kiedy zgasł ostatni fajerwerk i przebrzmiał huk wystrzału z największego działa, jakie znajdowało się w Wielkiej Baszcie (był to coroczny

W ścianach znajdowały się wysokie, wąskie okna. Były zupełnie martwe, nie mogłem w nich dostrzec ani żadnego światła, ani najmniejszego choćby ruchu. Nad nimi ze wszystkich stron wznosiły się wysmukłe wieże Cytadeli, wiedziałem więc, że jej nie opuściłem; mało tego, wydawało się, że znajduję się niemal w jej sercu, tam, gdzie nigdy do tej pory nie udało mi się dotrzeć. Drżąc z zimna podszedłem do najbliższych drzwi i zastukałem w nie. Miałem przeczucie, że gdybym znowu zagłębił się w mroczne korytarze, chodziłbym nimi bez końca, nie będąc w stanie znaleźć innego wyjścia na powierzchnię, więc byłem zdecydowany nawet wybić któreś z okien, gdyby zaszła taka potrzeba. Zastukałem ponownie, tym razem mocniej, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Uczucie, że jest się obserwowanym, wymyka się wszelkim próbom opisu. Słyszałem już, że nazywa się je mrowieniem karku albo wrażeniem, iż tuż za plecami unoszą się niewidzialne, śledzące każdy nasz ruch oczy, ale to nie jest to, a w każdym razie nie dla mnie. Uczucie to przypomina nieco zagadkowe zażenowanie, połączone z przeświadczeniem, że nie wolno mi się odwrócić, bo wyjdę na głupca poddającego się nakazom niczym nie uzasadnionego przeczucia. Prędzej czy później jednak każdy się odwraca. Ja również to uczyniłem, podejrzewając niejasno, że ktoś wyszedł za mną z otworu u podstaw zegara.

Zobaczyłem młodą, ubraną w futra kobietę stojącą przed drzwiami dokładnie po przeciwnej stronie dziedzińca. Pomachałem jej ręką i ruszyłem szybko w jej kierunku, bowiem zimno zaczęło już porządnie dawać mi się we znaki. Wyszła mi naprzeciw; spotkaliśmy się mniej więcej w trzech czwartych drogi, tuż za pochylonym zegarem. Zapytała mnie, kim jestem i co tutaj robię, a ja odpowiedziałem jej najlepiej, jak tylko potrafiłem. Okolona futrzanym kapturem twarz była ślicznie zaróżowiona, zaś sam kaptur, płaszcz i również futrzane buty sprawiały wrażenie miękkich, bardzo ciepłych i raczej kosztownych, więc poczułem się trochę nieswojo, stojąc przed nią w połatanej koszuli, dziurawych spodniach i z bosymi stopami umazanymi po kostki w błocie.

Nazywała się Valeria.

– Nie mamy tutaj twojego psa – powiedziała. – Możesz poszukać, jeżeli mi nie wierzysz.

– Wcale nie myślałem, że go tu znajdę. Chcę tylko wrócić do Wieży Matachina jakąś inną drogą niż przez te korytarze.

– Jesteś bardzo odważny. Pamiętam ten otwór od czasów, kiedy byłam małą dziewczynką, ale nigdy nie odważyłam się tam wejść.

– Chciałbym wejść do środka – powiedziałem. – To znaczy nie tam, tylko tu.

Otworzyła drzwi, przy których ją zobaczyłem i zaprowadziła mnie do pokoju o ścianach wybitych suknem, w których stare, dostojne krzesła stały sztywno na swoich miejscach niczym rzeźby z zasypanego śniegiem dziedzińca. W kominku płonął niewielki ogień. Kiedy podeszliśmy do niego, zdjęła swój płaszcz, a ja wyciągnąłem do ciepła zgrabiałe dłonie.

– W tunelach też było zimno?

– Nie tak, jak na zewnątrz. Poza tym prawie cały czas biegłem i nie było wiatru.

– Rozumiem. Jakie to dziwne, że te korytarze prowadzą właśnie do Ogrodu Czasu. – Wyglądała na młodszą ode mnie, ale starożytny krój jej sukni, a także jakiś nieuchwytny odcień jej czarnych włosów sprawiały, że chwilami wydawała się starsza od mistrza Palaemona.

– Tak nazywacie to miejsce? Ogród Czasu? Pewnie z powodu tych zegarów.

– Nie. Zegary postawiono tam właśnie dlatego, że tak się to miejsce nazywa. Czy lubisz martwe języki? Jest w nich wiele sentencji. *Lux dei vitae viam monstrat*, co znaczy: „Promień Nowego Słońca wskazuje drogę życia". *Felicibus brevis, miseris hora longa*. „Długo trzeba czekać na szczęście". *Aspice ut aspiciar*.

Musiałem powiedzieć jej z pewnym wstydem, że jedynym językiem, jaki znałem, a i to niezbyt dobrze, był ten, którym posługiwałem się na co dzień.

Rozmawialiśmy całą wachtę, a może i dłużej. Jej rodzina zamieszkiwała otaczające dziedziniec wieże. Początkowo czekali na to, żeby opuścić Urth wraz z panującym w ich czasach autarchą, a potem czekali już po prostu dlatego, że nie pozostało im nic prócz czekania. Wyszło spośród nich wielu kasztelanów, ale ostatni z nich umarł wiele pokoleń temu. Teraz byli biedni, a ich wieże chyliły się ku ruinie. Valeria nigdy nie była na wyższych piętrach żadnej z nich.

– Półbut? – zapytał Roche.

– Nie, cały. Była służącą, a te, jak twierdzi mistrz Gurloes, mają zawsze mocną skórę. W tym przypadku okazało się to prawdą. Tuż pod kolanem wykonano okólne nacięcie, chwytając następnie krawędź skóry w osiem par szczypiec. Staranna, wysoce fachowa praca mistrza Gurloesa, Odo, Mennasa i Eigila pozwoliła następnie na usunięcie bez użycia noża wszystkiego, co znajdowało się między kolanem a stopą.

Skupiliśmy się wokół Drotte'a popychani przez młodszych chłopców, udających, że wiedzą, na co patrzeć i na co zwracać uwagę. Tętnice i żyły pozostały nietknięte, ale miał miejsce ciągły, choć powolny upływ krwi. Pomogłem Drotte'owi założyć świeże bandaże.

Kiedy mieliśmy już wyjść, kobieta przemówiła:

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Dlaczego mi nie wierzycie? Ona odeszła z Vodalusem. Powiedziałabym wam dokąd, ale naprawdę tego nie wiem...

Na korytarzu, udając ignorancję, zapytałem mistrza Palaemona kim jest ów Vodalus.

– Ile razy wam powtarzam, że nic z tego, co mówi przesłuchiwany klient nie może dotrzeć do waszych uszu?

– Wiele razy, mistrzu.

– Ale bez żadnego rezultatu, jak widzę. Wkrótce nadejdzie Dzień Maski, Drotte i Roche zostaną czeladnikami, ty zaś kapitanem uczniów. Czy chcesz im dawać taki przykład?

– Nie, mistrzu.

Za plecami starego człowieka Drotte spojrzał na mnie w sposób, który oznaczał, że on wie wszystko o Vodalusie i powie mi to przy najbliższej okazji.

– Niegdyś wszyscy czeladnicy byli pozbawieni słuchu. Chcesz, żeby znowu tak było? A przede wszystkim wyjmij ręce z kieszeni, kiedy ze mną rozmawiasz!

Zrobiłem to celowo, wiedząc, że wywołam jego gniew. Kiedy wykonywałem jego polecenie, poczułem nagle, że ściskam w palcach monetę, którą poprzedniego wieczoru dał mi Vodalus. W podnieceniu i przerażeniu zupełnie o niej zapomniałem, teraz natomiast zawładnęło mną potworne pragnienie, żeby na nią chociaż raz spojrzeć, ale nie mogłem, bowiem mistrz Palaemon nie spuszczał ze mnie świdrującego spojrzenia swoich powiększonych soczewkami oczu.

– Kiedy klient mówi, Severianie, ty nic nie słyszysz. Zupełnie nic. Myśl o myszach, których piski nie mają dla nas żadnego znaczenia.

Skrzywiłem się, aby móc mu pokazać, że rzeczywiście pomyślałem o myszach.

Podczas długiej, nużącej wspinaczki po schodach do naszej klasy wszystko we mnie aż krzyczało, żeby spojrzeć na mały, metalowy krążek, który ściskałem w palcach, ale wiedziałem, że gdybym teraz to uczynił, chłopiec idący za mną (był to akurat jeden z młodszych uczniów imieniem Eusignius) z całą pewnością zobaczyłby, co robię. W klasie mistrz Palaemon rozwodził się nad dziesięciodniowym nieboszczykiem; moneta paliła mnie żywym ogniem, ale nie śmiałem na nią spojrzeć.

Dopiero po południu znalazłem chwilę spokoju i samotności, kryjąc się w ruinach murów obronnych wśród wysokich, świecących mchów. Wyciągnąłem zaciśniętą pięść z kieszeni, ale nie mogłem zdecydować się, żeby ją otworzyć, bojąc się, że ewentualne rozczarowanie może okazać się czymś ponad moje siły.

Nie chodziło mi bynajmniej o materialną wartość monety. Chociaż byłem już niemal dorosły, posiadałem w życiu tak niewiele pieniędzy, że każda suma, jakakolwiek by była, wydawałaby mi się fortuną. Ta moneta (jeszcze tajemnicza, ale już niedługo) stanowiła jedyną nić łączącą mnie z wydarzeniami wczorajszego wieczoru, była jedynym łącznikiem pomiędzy mną a Vodalusem, piękną, tajemniczą kobietą i potężnie zbudowanym mężczyzną, jedyną nagrodą za walkę stoczoną nad otwartą mogiłą. Do tej pory znałem jedynie życie w konfraterni, a teraz, w porównaniu z błyskiem miecza i grzmiącym echem strzału wydało mi się ono nagle szare i złachmanione jak moja stara koszula. Wszystko to mogło zniknąć z chwilą, kiedy otworzę moją dłoń.

Wreszcie, wyczerpawszy do cna zapasy rozkosznej niepewności i strachu, spojrzałem. Było to złote chrisos – zacisnąłem pośpiesznie dłoń obawiając się, że być może w blasku słońca pomyliłem je ze zwykłym,

brązowym orichalkiem. Musiałem poczekać dłuższą chwilę, żeby ponownie zebrać w sobie wystarczająco dużo odwagi.

Po raz pierwszy w życiu miałem w dłoni sztukę złota. Orichalki, owszem, widywałem bardzo często, a kiedyś nawet posiadałem kilka na własność. Raz czy dwa mignęły mi srebrne asimi, natomiast z istnienia złotych chrisos zdawałem sobie sprawę w ten sam mętny i chyba jednak nie do końca uświadomiony sposób, jak z istnienia świata poza granicami Nessus albo z istnienia innych kontynentów leżących na północ, wschód i zachód od naszego.

Na moim chrisos widniała twarz, którą z początku wziąłem za kobiecą – z koroną, w nieokreślonym wieku, milczącą i doskonałą w żółtym metalu. Kiedy spojrzałem na drugą stronę, niemal krzyknąłem ze zdumienia – na rewersie znajdował się taki sam wizerunek latającego statku, jak na herbie w moim sekretnym mauzoleum. Nie potrafiłem tego zrozumieć, mało tego, nawet się nie starałem, przekonany, że wszelkie spekulacje i tak okażą się bezowocne. Pośpiesznie schowałem mój skarb do kieszeni i pogrążony niemal w trans dołączyłem do kolegów.

Było absolutnie wykluczone, żebym nosił monetę cały czas przy sobie. Przy pierwszej okazji, jaka mi się nadarzyła, pobiegłem na cmentarz i zakradłem do mojej kryjówki. Właśnie tego dnia nastąpiła pierwsza poważniejsza zmiana pogody. Przedzierałem się przez ociekające deszczem zarośla i wysoką, kładącą się już do zimowego snu trawę. Kiedy dotarłem do grobowca, nie była to już cienista, dająca wytchnienie w upalne dni kryjówka, ale lodowata pułapka, w której wyczuwałem niedaleką obecność jakichś tajemniczych nieprzyjaciół, wrogów Vodalusa, wiedzących doskonale o tym, że jestem jego zaprzysięgłym poplecznikiem. W każdej chwili mogli nadejść i zatrzasnąć za mną ciężkie drzwi na specjalnie na tę okazję naoliwionych zawiasach. Zdawałem sobie sprawę, rzecz jasna, że to nonsens, ale wiedziałem również, że nie jest on tak zupełnie pozbawiony podstaw, że moje przeczucia mogą już w niedalekim czasie stać się rzeczywistością. Za kilka miesięcy czy kilka lat ci bezimienni jeszcze wrogowie mogli naprawdę na mnie czekać. Uderzając wczoraj toporem podjąłem walkę, czyli uczyniłem coś, czego każdy kat stara się za wszelką cenę uniknąć.

U stóp jednej z pustych trumien znajdował się w podłodze obluzowany kamień. Uniosłem go w górę i kładąc pod niego złote chrisos wymamrotałem pod nosem zaklęcie, którego przed kilku laty nauczył mnie Roche, a które miało pomóc w bezpiecznym przechowaniu ukrytych przedmiotów:

Gdy cię kładę, tam ty leżysz,
Oczu obcych nie ucieszysz,
Nikt cię nigdy nie zobaczy,
Tylko ja.

Trwaj bezpiecznie w tym ukryciu,
Kto cię znalazł już raz w życiu,
Przyjdzie znowu, a to będę
Tylko ja.

Żeby zaklęcie działało z całą mocą, należało jeszcze o północy obejść kryjówkę kilka razy dookoła z płonącą świecą w dłoni ale wydawało mi się to po prostu śmieszne, podobnie jak opowieści Drotte'a o wstających z grobów nieboszczykach, więc postanowiłem zaufać samym słowom. Stwierdziłem przy okazji z niejakim zdziwieniem, iż jestem już na tyle dorosły, że nie wstydzę się posługiwać czymś, co niektórzy uważają za godny pożałowania zabobon.

*

Mijały dni, ale pamięć o mojej ostatniej wizycie w grobowcu pozostawała wciąż wystarczająco świeża, żeby powstrzymać mnie przed złożeniem tam ponownej wizyty i sprawdzeniem, co dzieje się z moim skarbem, chociaż nie raz i nie dwa miałem wielką ochotę, żeby to uczynić. A potem spadł pierwszy śnieg, zamieniając ruiny murów w niemożliwą do przebycia lodową barierę, zaś tak dobrze znaną nekropolię w zupełnie obcy, groźny teren, pełen tajemniczych, śnieżnych zasp. Pomniki i grobowce wydawały się w swoich białych czapach znacznie większe niż były w istocie, zaś drzewa i krzewy, przygniecione zimnym ciężarem, zmalały w porównaniu z nimi do połowy swoich zwykłych rozmiarów.

czemu wyglądał tak, jakby się uśmiechał, ale nawet nie próbował wstać. Nakarmiłem go i miałem już zamiar odejść, kiedy nagle uświadomiłem sobie w pełni nędzę jego położenia. Był ode mnie całkowicie zależny. Ode mnie! Jeszcze niedawno miał przecież swoją cenę. Treserzy ćwiczyli go tak, jak trenuje się biegającego w wyścigach rumaka. Chodził dumnie, wypinając szeroką niczym u człowieka pierś wspartą na kolumnowych łapach, a teraz żył życiem zjawy, utraciwszy nawet swoje imię, które spłynęło wraz ze strumieniami krwi.

Kiedy miałem czas, chodziłem często do Niedźwiedziej Wieży i starałem się zaprzyjaźnić z poskramiaczami zwierząt. Mają swoją konfraternię i chociaż jest ona podlejsza od naszej, to ma własne zwyczaje i tradycje. Ku memu niemiłemu zdumieniu stwierdziłem, że te zwyczaje i obrzędy są bardzo podobne do naszych, chociaż, rzecz jasna, nie miałem nigdy okazji dogłębnie ich poznać i zrozumieć. Podczas pasowania na mistrza kandydat staje naprzeciw zranionego byka, od którego oddziela go jedynie cienka krata. W pewnym momencie życia każdy z braci pojmuje za żonę lwicę lub niedźwiedzicę, przestając zupełnie spotykać się z kobietami.

Wszystko to świadczy o tym, że między nimi a ich zwierzętami istnieje związek bardzo podobny do tego, jaki wykształca się między nami a naszymi klientami. Teraz, kiedy jestem mądrzejszy o wiele miast, wsi i tysiące ludzi, których widziałem, mogę z całą pewnością stwierdzić, iż schemat ten jest nieświadomie powielany (niczym odbicia w lustrach Ojca Inire w Domu Absolutu) we wszystkich bez wyjątku społecznościach – wszyscy są katami, dokładnie tak samo jak my. Związki między zwierzyną a myśliwym, kupującym i sprzedającym, mężczyznami i kobietami opierają się na tej samej zasadzie i niczym, ale to niczym się nie różnią od związku między katem i jego ofiarą. Wszyscy kochają tych, których niszczą i wykorzystują.

W tydzień później znalazłem jedynie odciśnięte w błocie ślady jego potężnych łap. Odszedł, ja jednak ruszyłem jego śladem, bowiem gdyby pojawił się na którymś z górnych poziomów lub nawet przy wiodących na nie schodach, pełniący straż czeladnik z pewnością by o nim wszystkim powiedział. Ślady zaprowadziły mnie do wąskich drzwi, za którymi rozciągała się plątanina pogrążonych w ciemności korytarzy, o których istnieniu nie miałem do tej pory pojęcia. W mroku nie mogłem już dostrzec odcisków łap, ale mimo to szedłem naprzód, mając nadzieję, że może zwietrzy mój zapach i przyjdzie do mnie. Wkrótce straciłem zupełnie orientację i posuwałem się dalej tylko dlatego, że nie wiedziałem, jak wrócić.

Nie sposób teraz ustalić, jak stare są te tunele, ale podejrzewam, że powstały zanim jeszcze wybudowano piętrzącą się obecnie nad nimi Cytadelę. Pochodzi ona ze schyłku okresu, kiedy w ludziach płonęła jeszcze wielka, nieodparta żądza ucieczki, żądza, która prowadziła ku odległym, obcym słońcom, chociaż możliwości jej zrealizowania niknęły w zastraszającym tempie niczym dogasające płomienie. Chociaż są to tak odległe czasy, że nie dotrwało do dziś nawet jedno związane z nimi imię, to jednak ciągle się o nich pamięta. Przed nimi musiał istnieć inny wiek, wiek drążenia podziemnych galerii, ale odszedł już on zupełnie w mrok zapomnienia.

Niezależnie od tego wszystkiego bardzo się tam bałem. Biegłem, upadając często na ściany, aż wreszcie dostrzegłem przed sobą plamę dziennego światła i po chwili wypełzłem na zewnątrz przez dziurę tak małą, że tylko z trudem udało mi się zmieścić w niej głowę i barki.

Wygramoliłem się na oblodzoną podstawę jednego z tych wielkich, wielotarczowych zegarów słonecznych pokazujących jednocześnie kilka różnych godzin. Mróz zakradający się co roku do wydrążonych pod nim tuneli musiał z pewnością osłabić jego fundamenty, bowiem zegar pochylił się, w słoneczne dni kreśląc upływ czasu na śnieżnobiałej, nieskalanej żadnymi oznaczeniami pokrywie śniegu.

Latem dokoła rozciągał się ogród, zupełnie jednak inny w charakterze od naszej nekropolii, w której królowały zdziczałe drzewa i falujące łąki, niegdyś będące trawnikami. Tutaj kwitły posadzone w starannie odmierzonych odstępach krzaki róż, wzdłuż czterech ścian obszernego dziedzińca stały rzeźby najróżniejszych zwierząt, obserwujące uważnie wskazania usytuowanego centralnie zegara. Były wśród nich olbrzymie barylambdary, mocarne arctothery, glyptodonty i zębiaste smilodony, wszystkie przykryte teraz śnieżnymi czapami. Rozglądałem się w poszukiwaniu śladów Triskele, ale on najprawdopodobniej tutaj nie dotarł.

choczą bezustannie łańcuchami, nie dostrzegł nic nadzwyczajnego w fakcie, że jeden z jego braci schodzi na czwarty poziom, tym bardziej że rozprzestrzeniły się już plotki mówiące o tym, że ma on zostać ponownie uruchomiony, ani w tym, że w chwilę po jego powrocie na górę zbiegł na dół jakiś chłopiec – zapewne czeladnik zapomniał tam czegoś i wysłał po to pierwszego napotkanego ucznia.

Nie było to zbyt sympatyczne miejsce. Co prawda działała jeszcze przynajmniej połowa starych świateł, ale gromadzące się, a nie uprzątane latami błoto pokryło podłogę korytarzy grubą na dłoń warstwą. Przy schodach stał drewniany stół nie ruszany zapewne od przynajmniej dwustu lat, tak zmurszały i stoczony przez robactwo, że rozpadł się w momencie, gdy dotknąłem go delikatnie ręką.

Jednak woda nigdy nie sięgała tutaj zbyt wysoko, zaś w odległym końcu korytarza, który wybrałem, nie było nawet śladu błota. Położyłem mojego psa na łóżku klienta i oczyściłem go najlepiej jak mogłem za pomocą gąbek, które zabrałem z pokoju przesłuchań.

Sierść, która wyłoniła się spod zakrzepłej krwi była brązowa, krótka i sztywna. Ogon miał ucięty tak krótko, że jego pozostałość była raczej szersza niż dłuższa. Z uszu pozostało jeszcze mniej – żałosne, nie dłuższe od połowy mego kciuka wyrostki. W ostatniej walce bezlitosny cios rozpłatał mu na całej długości klatkę piersiową, tak że bez trudu mogłem dostrzec bladoróżowe pasma mięśni. Prawą przednią łapę miał zmiażdżoną niemal do połowy. Po oczyszczeniu najpierw rany na piersi uciąłem kończynę, a następnie zawiązałem tętnice i zawinąłem starannie skórę, jak uczył nas mistrz Palaemon, żeby po zagojeniu pozostał ładny kikut.

Podczas tych zabiegów Triskele od czasu do czasu lizał mnie po dłoniach, a kiedy skończyłem zajmować się jego łapą, zaczął starannie lizać to, co z niej zostało, zupełnie jakby był niedźwiedziem i mógł w ten sposób ją wykurować. Kły miał równe długością memu wskazującemu palcowi, ale dziąsła zupełnie białe. W jego potwornych szczękach nie było więcej siły niż w dłoniach szkieletu. Oczy miał zupełnie żółte; tliło się w nich czyste szaleństwo.

*

Wieczorem zamieniłem się z chłopcem, który miał zanieść klientom kolację. Zawsze zostawało trochę porcji, ponieważ niektórzy nie chcieli, bądź też nie mogli jeść; dwie nich zaniosłem na dół, zastanawiając się po drodze, czy zastanę go jeszcze przy życiu.

Żył. Udało mu się jakoś zwlec z pryczy, na której go położyłem i podpełznąć – nie mógł się podnieść – do skraju błota, gdzie w małym zagłębieniu zebrało się nieco wody. Tam go znalazłem. Jedzenie, które mu przyniosłem składało się z zupy, ciemnego chleba i dwóch karafek wody. Wychłeptał miskę zupy, ale kiedy chciałem nakarmić go chlebem, okazało się, że nie jest w stanie go pogryźć. Odrywałem więc małe kawałki i podawałem mu je umoczone w drugiej misce zupy. Potem nalałem mu wody, którą łapczywie wypił, więc dolałem jeszcze z drugiej karafki.

Kiedy niemal na szczycie wieży kładłem się spać, wydawało mi się, że słyszę jego ciężki oddech. Kilka razy budziłem się, siadałem na łóżku i nasłuchiwałem; odgłos cichł, by powrócić znowu w chwili, kiedy się położyłem. Może to było tylko bicie mojego serca. Gdybym znalazł go rok czy dwa lata wcześniej, byłby dla mnie świętością. Podzieliłbym się sekretem z Drotte'em i resztą, i stałby się świętością dla nas wszystkich. Teraz jednak wiedziałem, że jest jedynie biednym zwierzęciem, a jednak nie mogłem pozwolić mu umrzeć, bo wtedy zdradziłbym część samego siebie. Byłem mężczyzną (o ile rzeczywiście nim byłem) od tak niedawna; nie mógłbym znieść świadomości, że tak bardzo się różnię od chłopca sprzed kilku miesięcy. Pamiętałem dokładnie każdą chwilę z mojej przeszłości, każdą, najbardziej nawet przelotną myśl, każdy obraz i każdy sen. Czy mogłem to wszystko zniszczyć? Wyciągnąłem przed siebie ręce, by na nie spojrzeć; wiedziałem, że na wierzchniej stronie dłoni mam teraz wyraźnie zaznaczone sterczące żyły. Po tym właśnie poznaje się mężczyznę.

We śnie jeszcze raz zszedłem na czwarty poziom i znalazłem wielkiego przyjaciela o mocarnych szczękach. Przemówił do mnie.

*

Rano ponownie obsługiwałem klientów. Ukradłem trochę żywności i zaniosłem na dół, dla psa, choć miałem nadzieję, że zastanę go martwego. Nic z tego. Uniósł na powitanie głowę i rozchylił pysk, dzięki

Początkowo uczniowie mają w naszej konfraterni bardzo łatwe życie, ale z upływem lat ich obowiązki coraz bardziej się zwiększają. Najmłodsi chłopcy w ogóle nie pracują. Kiedy mają sześć lat otrzymują pierwsze zadania, ale sprowadzają się one co najwyżej do biegania w górę i w dół po schodach Wieży Matachina z najróżniejszego rodzaju informacjami i przesyłkami, a poza tym dzieciak, dumny z okazanego mu zaufania, nie odczuwa tego jako pracy. Wraz z upływem czasu jednak jego zadania stają się coraz bardziej skomplikowane. Zaczyna odwiedzać inne części Cytadeli: barbakany, gdzie przy okazji dowiaduje się, że jego rówieśnicy uczący się wojennego fachu mają bębny, trąbki, wysokie buty, a czasem nawet ozdobne pancerze; Niedźwiedzią Wieżę, gdzie widzi chłopców w swoim wieku poskramiających wspaniałe, groźne zwierzęta – mastyfy o głowach jak lwy, wyższe od człowieka strusie o stalowych dziobach i wiele, wiele innych; odwiedza setki takich miejsc, przekonując się przy okazji, że bractwo, do którego należy jest otaczane pogardą i nienawidzone nawet (a raczej: przede wszystkim) przez tych, którzy korzystają z jego usług. Wkrótce potem zaczyna się praca w kuchni. Brat Kucharz przyrządza najróżniejsze potrawy, zaś uczeń skrobie warzywa, obsługuje czeladników i przemierza bezustannie drogę do lochów z piętrzącymi mu się w rękach tacami z pożywieniem dla klientów.

Wówczas jeszcze tego nie wiedziałem, ale zbliżał się już moment, kiedy to moje uczniowskie życie, coraz trudniejsze i coraz bardziej nużące, miało się odmienić, stając się znacznie mniej uciążliwym, a nawet wręcz przyjemnym. Przez rok poprzedzający przyjęcie w poczet czeladników jedynym właściwie zadaniem najstarszego ucznia jest sprawowanie nadzoru nad pracą młodszych od niego. Zaczyna lepiej jeść i otrzymuje nowe ubranie. Młodsi czeladnicy traktują go niemal jak równego sobie, ale najprzyjemniejsze jest chyba poczucie spoczywającej na nim odpowiedzialności, a także możliwość wydawania, i co ważniejsze, egzekwowania poleceń.

Kiedy nadchodzi moment wyniesienia, jest już dorosły. Wykonuje tylko tę pracę, której był uczony, zaś po spełnieniu wszystkich obowiązków może w celu zażycia rozrywki opuszczać mury Cytadeli, otrzymując nawet przeznaczone specjalnie na ten cel środki pieniężne. Gdyby kiedyś został mistrzem (wymagana jest jednomyślna zgoda wszystkich żyjących mistrzów), mógłby wybierać sobie jedynie te zajęcia, które go interesują lub bawią, zaś jego głównym zadaniem stałoby się sprawowanie pieczy nad działalnością samej konfraterni.

Musicie jednak wiedzieć, że w roku, którego wydarzenia tutaj opisuję, w tym roku, kiedy ocaliłem życie Vodalusa, jeszcze nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy. Zima (tak przynajmniej mi powiedziano) zakończyła kampanię na północy, a tym samym Autarcha wraz ze swymi oficerami i doradcami mogli na powrót zasiąść w swoich sędziowskich fotelach.

– Dlatego właśnie mamy tylu nowych klientów – wyjaśniał Roche. – A będzie ich jeszcze więcej, dziesiątki, może nawet setki. Niewykluczone, że trzeba będzie uruchomić czwarty poziom. – Wykonał swoją piegowatą ręką nieokreślony ruch mający oznaczać, że przynajmniej on, Roche, gotów jest zrobić wszystko, co tylko będzie trzeba.

– Czy Autarcha tu jest? – zapytałem. – Tu, w Cytadeli? W Wielkiej Baszcie?

– Oczywiście, że nie. Gdyby kiedykolwiek tutaj się zjawił, na pewno byśmy o tym wiedzieli. Byłyby ciągłe parady, inspekcje i w ogóle straszne zamieszanie. Czekają na niego specjalne komnaty, ale nikt do nich nie wchodził już od dobrych stu lat. Autarcha mieszka w swoim ukrytym pałacu, w Domu Absolutu, gdzieś na północ od miasta.

– Nie wiesz dokładnie, gdzie?

– Nikt nie wie, gdzie to dokładnie jest, bo nie ma tam nic oprócz właśnie Domu Absolutu. Wiadomo tylko, że na północy, na drugim brzegu.

– Za Murami?

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Daleko za nimi. Kilka tygodni marszu stąd, gdyby przyszło ci na myśl wybrać się tam na piechotę. Oczywiście Autarcha mógłby się tam dostać w mgnieniu oka swoim ślizgaczem. Tutaj lądowałby i startował z Wieży Sztandaru.

Nasi klienci nie przylatywali do nas ślizgaczami. Ci mniej ważni docierali w grupach od dziesięciu do dwudziestu, skuci razem długimi łańcuchami łączącymi założone im na szyje żelazne obroże. Strzegli ich dimarchowie, groźnie wyglądający żołnierze w zbrojach i z bronią, która sprawiała wrażenie wykonanej z

myślą o częstym używaniu i była często używana. Każdy klient niósł miedziany cylinder zawierający dotyczące go dokumenty, a tym samym swój los. Wszyscy, oczywiście, złamali pieczęcie, by przeczytać papiery i zniszczyć je lub zamienić z innymi. Tych, którzy docierali do nas bez żadnych dokumentów trzymaliśmy tak długo, dopóki nie przysłano nam nowych informacji w ich sprawie; najczęściej nie opuszczali nas już do końca życia. Ci, którzy wymienili z kimś dokumenty, zamienili się z nimi jednocześnie na losy; byli więzieni lub wypuszczani, torturowani lub zabijani zgodnie z zaleceniami, jakie znaleźliśmy w papierach, które nam dostarczyli.

Ci ważniejsi przybywali w opancerzonych powozach. Stalowe ściany i zakratowane okna tych pojazdów miały za zadanie nie tyle zapobiec ucieczce, co odstraszyć tych, którzy próbowaliby więźniów uwolnić. Jeszcze zanim koła pierwszego z tych powozów zaturkotały na bruku Starego Dziedzińca, konfraternia aż trzęsła się od plotek o zuchwałych napadach na konwoje, które planował lub też już przedsięwziął Vodalus. Wielu spośród uczniów, a także znaczna część czeladników wierzyła, iż wśród więźniów znajdują się jego przyjaciele, wspólnicy i zwolennicy. Myśl, żeby z tego powodu pomóc im w ucieczce nie przyszła mi nawet do głowy – czyn taki okryłby hańbą nasze bractwo, a do tego, mimo mego przywiązania do niego i kierowanego przez niego ruchu, nigdy nie zgodziłbym się dopuścić. Poza tym ucieczka i tak była niemożliwa. Miałem jednak nadzieję, że uda mi się pomóc tym, których uważałem za swoich duchowych braci, pomóc w inny sposób, dostarczając im takich drobnych przyjemności jak dodatkowe porcje pożywienia, ukradzionego z racji mniej ważnych klientów, czy od czasu do czasu kawałek mięsa, który udałoby mi się przemycić z kuchni.

Pewnego dnia nadarzyła się sposobność, by dowiedzieć się, kim są nowi więźniowie. Skrobałem właśnie podłogę w gabinecie mistrza Gurloesa, zostawiając na biurku stos dokumentów nowo przybyłych klientów. Rzuciłem się do nich jeszcze nim zdążył dobrze zamknąć drzwi i przejrzałem niemal wszystkie zanim na schodach rozległy się jego ciężkie, powolne kroki. Żaden, powtarzam, ż a d e n z więźniów nie był w najodleglejszy nawet sposób związany z Vodalusem. Znajdowali się wśród nich handlarze, którzy usiłowali prędko się wzbogacić na dostawach dla wojska; włóczędzy wędrujący wszędzie za armią i szpiegujący dla Ascian, zwykli przestępcy najróżniejszego autoramentu. Nikt poza tym.

Kiedy niosłem wiadro z brudną wodą, by opróżnić je do kanału, którego wlot znajdował się na Starym Dziedzińcu, zobaczyłem, jak podjeżdża jeden z pancernych powozów. Ze spoconej skóry i pysków zwierząt unosiły się kłęby pary, zaś zmarznięci strażnicy z wdzięcznością wyciągali ręce po czary gorącego wina. Usłyszałem imię Vodalusa, ale tak cicho i niewyraźnie, iż nie byłem pewien, czy przypadkiem nie uległem złudzeniu i w pewnym momemcie odniosłem wrażenie, że Vodalus istniał jedynie jako abstrakcyjne pojęcie zrodzone wewnątrz mego umysłu, zaś rzeczywisty był jedynie ów człowiek zabity przeze mnie jego własnym toporem. Dokumenty, które jeszcze przed chwilą przeglądałem, frunęły mi w twarz niczym targane podmuchami wiatru jesienne liście.

W tej właśnie chwili zrozumiałem po raz pierwszy w życiu, że jestem w pewnym sensie szalony. Pozostaje rzeczą dyskusyjną, czy właśnie to było największym przekleństwem mego życia. Często kłamałem – mistrzowi Gurloesowi, mistrzowi Palaemonowi, mistrzowi Malrubiusowi, kiedy jeszcze żył, Drotte'owi, ponieważ był naszym kapitanem, Roche'owi, ponieważ był starszy i silniejszy ode mnie, Eacie i innym chłopcom, ponieważ chciałem, żeby mnie poważali i słuchali. Teraz nie mogłem być pewien, czy przypadkiem nie okłamuje mnie mój własny umysł. Wszystkie moje łgarstwa powróciły nagle odbitą falą i ja, który wszystko pamiętam, nie byłem w stanie stwierdzić, czy to, co biorę za wspomnienia nie jest jedynie snami i marzeniami. Pamiętałem oświetloną blaskiem księżyca twarz Vodalusa, ale przecież chciałem ją zobaczyć. Pamiętałem jego słowa, gdy do mnie przemówił, ale przecież chciałem je usłyszeć. Tak samo było z towarzyszącą mu kobietą.

Pewnej mroźnej nocy zakradłem się do grobowca i wydobyłem z ukrycia złote chrisos. Wybita na nim twarz nie była twarzą Vodalusa.

IV. Triskele

Oczyszczając zamarznięty odpływ kanału ściekowego (była to kara za jakieś nieistotne przewinienie) znalazłem go tam, gdzie mieszkańcy Niedźwiedziej Wieży wyrzucają poszarpane ciała zwierząt zabitych podczas ćwiczeń. My grzebiemy naszych zmarłych tuż koło muru Cytadeli, zaś klientów w najniższej części nekropolii, natomiast konfraternia władająca Niedźwiedzią Wieżą pozostawia martwe pozostałości swej pracy trosce innych. Wśród piętrzących się trupów on był najmniejszy.

Są spotkania, które nic nie zmieniają. Urth zwraca swą wiekową twarz ku słońcu, którego blask rozświetla pokryty śniegiem krajobraz; zimna biel skrzy się i błyszczy tak, że każdy z lodowatych sopli zwieszających się z blanków wyniosłych wież wydaje się być Pazurem Łagodziciela, najcenniejszym z bezcennych klejnotów. Wszyscy, z wyjątkiem tych najmądrzejszych, są przekonani, że śniegi lada moment stopnieją, ustępując miejsca długiemu, wspaniałemu latu.

Nic takiego jednak się nie dzieje. Raj trwa przez wachtę lub dwie, a potem na wzbijającym się w podmuchach wschodniego wiatru śniegu zaczynają się kłaść błękitne niczym rozwodnione mleko cienie, nadciąga noc i wszystko pozostaje takie, jak było.

Z Triskele było dokładnie tak samo. Czułem, że spotkanie z nim może i powinno wszystko zmienić, ale okazało się ono zaledwie kilkumiesięcznym epizodem, zaś kiedy zniknął, było już po zimie, zbliżała się kolejna Święta Katarzyna i nic, ale to nic się nie zmieniło. Nie wiem, czy potraficie sobie wyobrazić, jak żałośnie wyglądał, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Leżał na boku, cały pokryty krwią, która stwardniała na mrozie niczym smoła, zachowując jednocześnie swoją jaskrawą, świeżą barwę. Nie wiem, dlaczego to uczyniłem, ale podszedłem i położyłem dłoń na jego głowie. Do tej pory wydawał się równie martwy jak reszta, ale wtedy otworzył jedno oko i zwrócił je z wysiłkiem w moją stronę – w jego spojrzeniu dostrzegłem przekonanie, że najgorsze już minęło. Ja już swoje zrobiłem, zdawał się mówić. Teraz twoja kolej.

Przypuszczam, że gdyby to było lato, chyba pozwoliłbym mu umrzeć. Tak się jednak złożyło, że od dłuższego czasu nie widziałem żadnego żywego zwierzęcia, jeśli nie liczyć odżywiającego się odpadkami thylacodona. Pogładziłem go po łbie, on zaś polizał moją dłoń. Nie mogłem już tak po prostu odwrócić się i odejść.

Podniosłem go (okazał się zadziwiająco ciężki) i rozejrzałem się dookoła, zastanawiając się, co z nim zrobić. Wiedziałem doskonale, że w naszej bursie odkryto by go, zanim świeca zdążyłaby się stopić o szerokość palca. Cytadela jest ogromna i ogromnie skomplikowana, w jej wieżach, wzniesionych między nimi budynkach i rozległych podziemiach znajduje się masa rzadko albo nawet w ogóle nie odwiedzanych pomieszczeń, ale nie mogłem w myśli znaleźć żadnego, do którego mógłbym dotrzeć nie będąc po drodze widzianym przynajmniej z tuzin razy, toteż wreszcie, nie wymyśliwszy nic mądrego, ruszyłem z niespodziewanym ciężarem w kierunku siedziby naszego bractwa.

Musiałem jakoś przejść koło czeladnika, który stał na straży przy prowadzących do lochów schodach. Pierwszym pomysłem, jaki przyszedł mi do głowy, było włożyć psa do kosza, w którym nosimy zwykle czystą bieliznę pościelową dla naszych klientów, tym bardziej że był to akurat dzień prania, zaś wykonanie nadprogramowego kursu z pewnością nie wzbudziłoby niczyich podejrzeń. Stojący na straży czeladnik nie powinien niczego zauważyć, ale musiałbym czekać prawie całą wachtę, aż wyschnie rzekomo uprana pościel oraz naraziłbym się na pytania brata pełniącego służbę na trzecim poziomie, który z pewnością chciałby wiedzieć, czego szukam na czwartym, zupełnie przecież pustym.

Zamiast tego położyłem więc psa w pokoju przesłuchań – był tak słaby, że nie mógł samodzielnie wykonać najmniejszego nawet ruchu – sam zaś zaproponowałem strażnikowi, że mogę przez jakiś czas go zastąpić. Zgodził się nadzwyczaj chętnie i wręczył mi swój katowski miecz (którego, przynajmniej teoretycznie, nie miałem jeszcze prawa dotykać) i fuliginowy płaszcz (którego również nie wolno mi było jeszcze nosić, chociaż byłem już wyższy od większości czeladników). Z pewnego oddalenia nie sposób było dostrzec różnicy. Nałożyłem płaszcz, kiedy zaś jego właściciel zniknął za pierwszym zakrętem korytarza, odstawiłem czym prędzej miecz do kąta i zająłem się moim psem. Charakterystyczne dla naszego bractwa płaszcze są niezwykle obszerne, zaś ten był taki w dwójnasób, jako że czeladnik należał do najtęższych w całej konfraterni. Co więcej: fuligin, z którego szyte są płaszcze, jest znacznie ciemniejszy od najgłębszej nawet czerni, dzięki czemu nikną w nim wszelkie fałdy, załamania i wybrzuszenia. Kiedy z postawionym kapturem schodziłem na niższy poziom, dla ewentualnych obserwatorów – jeśli tacy się trafili – musiałem po prostu być nieco bardziej korpulentnym, niż to się zwykle zdarza, czeladnikiem. Nawet strażnik na trzecim poziomie, gdzie ulokowani są klienci, którzy utraciwszy zmysły, bądź bojąc się je utracić – wyją, skamlą i grze-

Zmartwychwstanie na Wall Street

Andrzej Drzewiński

⇔ – Wyjmijcie mu protezę, szybko!
– Daję podwójną dawkę, puls zanika.
– Gdzie ten aparat? Uciskaj rytmicznie.
– Żebra... boję się połamać żebra.
Richard otworzył oczy, lecz zaraz je zamknął. Obraz był niewyraźny, nieostry, jak pod wodą. Ktoś rytmicznie uderzał w jego tors.
– Raz, dwa, raz, dwa...
Czuł na twarzy ciepły, zdyszany oddech. Chciał pomóc... Mógł się domyślić, Laderman już od tygodnia chodził jak struty, albo dla odmiany tryskał nieszczerym optymizmem. Boże, opasali żebra taśmą i teraz nie może oddychać.
– Tętno rwie się... szybciej... co za kretyn blokuje dojazd do szpitala?
Spróbował unieść powieki, lecz ból pochwycił serce i rzucił go w wir połyskliwych kształtów... Jack, najlepszy przyjaciel, oszukał, tak po prostu... To chyba sygnał klaksonu. Niech go ktoś wyłączy, bo zwariuję. Czyżby koniec? Koniec wszystkiego...
– Nosze! Wyciągaj... elektrody, cholerne przylepce.
Spadał, rozpaczliwie i bezapelacyjnie w studnię bez dna. Strzępy obrazów wirowały w obłędnej gonitwie. Chciał odetchnąć, lecz pojął, że nie ma już czym... Richard, usłyszał szept, te akcje są bezwartościowe... wartościowe... owe...
Otworzył oczy. Półmrok nie krył ani ścian, ani przedmiotów, ani niczego konkretnego. Jego „ja" unosiło się gdzieś w przestrzeni, wśród wielkich, nieokreślonych cieni. Rozejrzał się i dostrzegł niewyraźną, osłoniętą płaszczem postać.
– Witaj Richardzie Chadwick.
– Kim jesteś?
Nie czuł strachu, może pewne zaciekawienie.
– Ostatnio nazywano mnie Brandon Knight.
– Ostatnio?
– No... – wyczuł jakby rozbawienie – dzisiejszego ranka.
– Gdzie jesteśmy?
– Trudne pytanie... gdzieś między przedtem a potem.
– A jakie będzie potem?
– Myślę... – postać jakby nadsłuchiwała czyjegoś głosu. – Wrócisz na nowo.
– Teraz?
– Za parę dni – głos począł się oddalać. – Na razie coś jeszcze chcą od Richarda Chadwicka.
Na powrót zanurkował w wąski przełyk studni. Połyskliwe kręgi wirowały wokół głowy, żebra znowu zaczęły boleć.
– Jest! Jest... wyraźne skoki, wprowadź sondę.
– Uwaga, zaczynają się wymioty...
Coś dławiącego wstrząsnęło jego ciałem, głowę zalały fale gorąca. Bał się, że zaraz zemdleje. Potrzebował pomocy, lekarza. Z wysiłkiem otworzył oczy. Rozmazane postaci w spowolnionych ruchach przepływały na tle olbrzymich, jasnych lamp.
– Panie Chadwick, słyszy mnie pan?
Spróbował zogniskować spojrzenie, lecz okazało się to nadmiernym wysiłkiem. Zemdlał.

Pokoje szpitalne mają coś z domów dla lalek – gładkie, czyste i nienaturalnie uporządkowane. Chadwick z rezygnacją obserwował pagórkowate krzywe na monitorach aparatury. Wspomaganie odłączono z rana, zaraz po tym, jak objechał dyżurnego lekarza. Siedzący na taborecie Paul chrząknął nieznacznie. Jak każdy dobry adwokat potrafił być cierpliwy.
– Dobrze – Chadwick przesunął spojrzenie. – Mów tak jak zawsze, krótko i szczerze.
Adwokat uśmiechnął się z przymusem.
– Sytuacja faktycznie wygląda... – klepnął dłonią w kolano. – Laderman pozbawił pana ponad osiemdziesięciu procent aktywów. Kopalnie boksytów, do których kupna tak zachęcał, są teraz warte około pięciu procent wyjściowej ceny.
Umilkł, widząc, że chory otwiera usta.
– Powiedz Paul, jak on to zrobił?
– Jak? Wystarczyło, że zataił informację o klauzuli...
– Nie gadaj bzdur! Pytam, jak ten gnojek, którego sam wychowywałem, mógł mi to zrobić. Tak ordynarnie podpuścić... – linie na monitorach zaczęły pulsować. – Przecież nikt inny nawet nie byłby w stanie...
Paul stał już nad Chadwickiem, dając rozpaczliwe znaki siostrze za szybą.
– Co za łobuz! Oszust! Rozumiesz?! – potrącony stolik przewrócił się z brzękiem.
– Tak proszę pana, tylko proszę się uspokoić – linie wykresów zadygotały jak w gorączce.
Kiedy unieruchomili mu ramię i zaaplikowali zawartość niewielkiej strzykawki, krzyczał dalej.
– Nie można! Nie wolno puścić płazem!
Do separatki wpadł mężczyzna w kitlu, za nim, przez

uchylone drzwi zajrzał zaalarmowany krzykiem posługacz. Ale już pierwszy rzut oka przekonał lekarza, że atak minął. Z ponurą miną spojrzał na pielęgniarkę.

– Siostro Anno, prosiłem, aby pacjent dostał przed rozmową środki tonizujące.

Pod nogą pękła mu z trzaskiem taca od stolika.

– To ja nie pozwoliłem – dobiegł cichy głos Chadwicka. – Muszę mieć jasny umysł.

Zapadła chwila milczenia, w końcu Paul odciągnął lekarza w stronę okna.

– Jakie ma szanse?

– W tym wieku, jeszcze jeden stres... – wymownie spojrzał na monitory. – Niech jak najszybciej ureguluje swoje sprawy.

– Panie doktorze – siostra stanęła za ich plecami – pacjent pana prosi.

Gdy podeszli, Chadwick uśmiechnął się słabo.

– Mam jedno, nietypowe pytanie.

– Słucham.

– Podczas śmierci klinicznej – uniósł dłoń – proszę nie przerywać, podczas takiej śmierci, pacjenci mają omamy, widzą różne...

– Pan coś widział? – lekarz okazał się bardziej kategoryczny niż na to wyglądał.

– Mężczyznę. Twierdził, że niedługo umrę, ale co ciekawsze...

– Panie Chadwick – lekarz podszedł do samej krawędzi łóżka. – Jako człowiek wykształcony powinien pan wiedzieć, że podczas omdlenia, a co dopiero komy, niektóre partie mózgu pozostają niedotlenione. Prowadzi to zazwyczaj do uaktywnienia zdolności projekcyjnych, manifestujących się właśnie w taki sposób.

Siostra stanęła na palcach.

– Zasnął – szepnęła mu na ucho.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, potem lekarz przeniósł wzrok na odczyty.

– Dopiero zasypia – mruknął. – Chodźmy. Zdarzy się cud, to jutro będzie w lepszej formie.

W drzwiach obrócił sę jeszcze do salowego.

– Proszę doprowadzić pokój do porządku.

Człowiek podreptał po miotłę i szufelkę, lecz kiedy schylił się przy łóżku, poczuł na sobie badawczy wzrok chorego. Otrzepał ręce i uśmiechnął się. Chadwick nie zareagował. Posługacz zerknął przez ramię na szybę dyżurki, a potem nachylił się ku głowie leżącego.

– Pan naprawdę widział jakiegoś typa?

Chadwick zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Powiedzmy.

– Niech pan powie, to ważne.

– Czemu?

– No... wie pan. – Mężczyzna nachylił się nad kawałkiem tacy. – Lekarze w to nie wierzą, ale ja poznałem pewnego mądrego faceta...

Umilkł, zdeprymowany milczeniem Chadwicka, potem wzruszył ramionami i począł zamiatać. Dopiero, gdy skończył padło ciche pytanie.

– Słyszał pan kiedyś nazwisko Brandon Knight?

Dolna warga mężczyzny opuściła się o parę centymetrów. Widać było, że jeśli nie odłoży szufelki, wysypie wszystko na podłogę.

– Mówi pan: Brandon Knight...

– Tak, słyszał pan o nim?

Człowiek niemo przytaknął.

– Umarł dziś rano na tym oddziale.

Chadwick przymknął oczy i dłuższą chwilę leżał nieruchomo. W końcu przełknął ślinę.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Dom Chadwicka i cała posiadłość warte były sumę, która przeciętnemu człowiekowi wystarczyłaby do końca życia. A przecież stary giełdziarz posiadał jeszcze znaczną rezerwę akcji. Stracił wszystkiego nie więcej niż osiemdziesiąt procent, nie wspominając o kopalniach, które kiedyś, przy zmianie koniunktury, mogły być jeszcze sporo warte. Lecz Laderman wbił nóż gdzie indziej. To było prawie tak, jakby rodzony syn oszukał Chadwicka plując na wszystko, co wspólnie przeżyli. Stary człowiek wiedział, że jego dni są policzone, lecz tylko pozornie przystał na to. Tam, w szpitalu dojrzał nadzieję. Nie tyle nawet na przyszłe życie, co na sprawiedliwą zemstę. To go najbardziej ekscytowało.

Siedział teraz podparty poduszkami w swoim gabinecie i spoglądał na postać przy oknie. Człowiek obrócił się i raz jeszcze zadziwił Chadwicka. Mimo ciemnych oczu, brwi i rzęsy miał całkowicie białe.

– Nie ma wątpliwości – usłyszał miękki głos o dziwnym akcencie. – Umrze pan, ale zaraz po tym przedwieczne koło sprowadzi duszę na Ziemię.

– Rozumiem. – Drżącą dłonią przybliżył Chadwick napój do ust. – Kim będę?

– Tego nikt nie wie. Z wizji, którą pan opisał i na podstawie moich studiów – wskazał rozłożone na stole księgi – wynika, że zdarzy się to niedaleko, pewnie w Stanach.

Zły, że sok rozlał mu się po brodzie, dłużej formułował następne pytanie.

– Jeśli dobrze rozumiem, wejdę...

– Dusza wejdzie – poprawił go człowiek.

– Tak, moja dusza znajdzie się w ciele nowo narodzonego dziecka. Ale co z pamięcią, umiejętnościami?

– Oczywiście znikną. Nikt nie pamięta swojego poprzedniego wcielenia.

– Nie... – Poczuł, jak go ponosi starcza złość. – No to wszystko do niczego.

– Proszę się uspokoić. Powinienem powiedzieć: zazwyczaj.

Usiadł przed Chadwickiem, splatając palce dłoni. Były szczupłe i zadbane.

– Proszę posłuchać. Już od kilkunastu lat usiłowano z pomocą hipnozy leczyć przypadki ciężkiej amnezji. Czasami stanowiło to jedyną szansę – uśmiechnął się pogodnie. – Efekty były obiecujące, lecz nas interesuje co innego. Któryś z hipnotyzerów, przypominający pacjentowi zdarzenia sprzed kilku, czy kilkunastu lat, postanowił sprawdzić, co by się zdarzyło, gdyby go cofnąć do okresu sprzed narodzin. Wydawało się, że nie pojawią się żadne wspomnienia.

Chadwick, widząc jak trzęsą mu się ręce, podparł nimi głowę.

– Ku zaskoczeniu terapeuty hipnotyzowani zaczynali wspominać życiorysy zupełnie obcych ludzi, ludzi dawno zmarłych. Dziewczyny podejrzanej o czary, spalonej na stosie w XVII wieku, chłopaka przejechanego przez powóz w czasach Lincolna, robotnika z Chicago, ofiary postrzału z okresu prohibicji...

Stary giełdziarz dał znak, aby umilkł.

– Wszyscy zmarli śmiercią gwałtowną, tak? – odjął palce od skroni. – Co mi więc z tego? Mam oblać się benzyną?

Człowiek o jasnych brwiach uniósł ze stołu ciężki foliał.

– Chociaż umrze pan w łóżku, mogę sprawić, że w następnym wcieleniu odzyska pan obecną pamięć. – Dotknął wargami grzbietu książki. – Mało tego. Odzyska pan swoją pełną osobowość, ze wszystkimi wspomnieniami.

Chadwick przymknął oczy. Żyłki pod zniszczoną skórą pulsowały nieregularnie.

– Ile? – spytał.

– Trzy czwarte tego, co panu pozostało.

Spojrzenie starego człowieka stało się nad wyraz przytomne.

– Połowę – odsłonił zniszczone przez protezę zęby. – Muszę przecież zabezpieczyć swoją przyszłość.

Paul stał przy oknie, lecz tylko pozornie obserwował ogród. Przede wszystkim słuchał nieregularnego oddechu dobiegającego od strony łóżka. Wstydził się swojej myśli, lecz z utęsknieniem oczekiwał chwili, kiedy zapadnie cisza. Pan Chadwick ostatnio stał się strasznie męczący.

– Jesteś pewien Paul, że to dobry pomysł?

Ciężko odwrócił głowę.
– Najlepszy, jaki mogłem wymyślić. Ta książka z pewnością stanie się światowym bestsellerem. Pańskie nowe wcielenie nie będzie praktycznie miało szans, aby na nią nie trafić.
– Dobrze Paul, masz rację. Mistrz twierdzi, że wystarczy, abym chociaż raz przeczytał słowo-klucz a cała obecna pamięć powróci.
Adwokat już od dawna nauczył się nie komentować poczynań pryncypała, więc tylko pokiwał głową.
– Na pewno jest to lepsze niż ogłoszenia w prasie.
– Pamiętaj – stary człowiek ciężko oddychał – jak tylko przyjdę do twojej firmy, macie mi puścić film. Ten, który dzisiaj nakręciliśmy. Podałem tam najważniejsze rzeczy.
– Oczywiście – Paul przymknął oczy. – Ja, albo ten, kto będzie po mnie, zrobi to natychmiast. Umieściłem klauzulę w testamencie.
– A paragraf o dziedziczeniu?
– Także – cierpliwie znosił indagacje.
Rzężenie Chadwicka przeszło w nieprzyjemny śmiech.
– Boże, Paul, a co będzie gdy urodzę się ślepy? – chory z trudem machnął ręką. – Nie, żartuję.
Rozległo się pukanie. Paul nacisnął klamkę, wyjrzał na zewnątrz i wprowadził do środka wysokiego bruneta o aparycji gwiazdy filmowej. Trudno przypuszczać, że zrezygnował z kariery tylko dlatego, że wybrał pracę w wydawnictwie – musiało być coś jeszcze. Nie czekając na wstępy, od razu przystąpił do rzeczy.
– Pańska oferta stanowi dla nas spore zaskoczenie – usiadł bez zaproszenia. – Pięćdziesiąt tysięcy za zmianę tytułu książki. Pan wie, że autor pragnął, aby została opublikowana równe dwadzieścia lat po jego śmierci?
Chadwick, zgodnie ze swoim zwyczajem, zlekceważył pytanie.
– Czy on rzeczywiście był tak znany?
– Znany? Przecież to noblista, zdobywca wszystkich prestiżowych nagród, na jego pogrzebie ludzie mdleli – agent umilkł, chyba rozumiejąc niestosowność ostatniej uwagi.
Chadwick uśmiechnął się pod nosem.
– Bardzo mi zależy, aby w oznaczonym terminie wydano powieść pod moim tytułem – zerknął na adwokata, Paul położył na stole czek.
Mężczyzna wziął świstek do ręki i przyjrzał się podpisowi.
– Pan wie, że to niezupełnie legalne.
– Sądzi pan... Przecież jemu to obojętne.
– Może i racja. – Czek powędrował do portfela. – Zaręczam, że za dwadzieścia lat książka ujrzy światło dzienne pod tytułem „O, sancta simplicitas".
Wyszedł nie zamykając nawet drzwi. Paul spojrzał na uśmiechniętą twarz Chadwicka, potem ponownie stanął przy oknie.
– O, święta naiwności – powtórzył tłumacząc. – Ma pan skłonności do dramatycznych posunięć.
Nie słysząc odpowiedzi odwrócił się. Chadwick nadal uśmiechał się, lecz czegoś Paulowi brakowało. Dopiero po chwili zrozumiał: w pokoju panowała całkowita cisza.

Błysk, jak od tysiąca słońc i piekielny ucisk w skroniach. Prawie że się dusił. Rozpaczliwie poruszył rękoma i wtedy dopiero poczuł, że siedzi w fotelu.
– Dobra odpowiedź! – zahuczało mu w głowie.
Boże, co się dzieje? W wysiłkiem rozwarł powieki. Mimo kołujących plam dojrzał dużą salę z kilkunastoma rzędami foteli. Przed widownią kroczył mężczyzna z mikrofonem w ręku. Jakaś myśl próbowała przebić się do świadomości, lecz nie potrafił nadać jej kształtu. Mężczyzna z mikrofonem uniósł w górę kanciasty przedmiot.
– To pierwszy egzemplarz wydanego pośmiertnie dzieła. Nasz gość odgadł bezbłędnie autora po samym tytule. Brawo! To było piekielnie trudne pytanie.
Kaskada oklasków znów zahuczała pod czaszką. Co to za maskarada, pomyślał, dostrzegając zawieszoną pod sufitem metalową kratownicę z rzędami reflektorów. Opuścił wzrok, rzeczywiście z boku stały telewizyjne kamery. Studio?! Skąd wziął się w studio? Pan Schneid go zabije, jak się dowie. Chryste, jaki pan Schneid?
– Czekamy na ostatnie pytanie. – Konferansjer obrócił się w stronę kulis. – Możecie państwo telefonować jeszcze przez minutę.
Na salę wkroczyło kilka kuso ubranych dziewcząt z wysoko uniesionymi planszami. Na każdej tablicy widniał numer telefonu. Gdzie jestem? Wbił palce w skronie. Boże, ja nawet nie wiem, kim jestem.
– Widzę, że nasz gość już w pełni skoncentrowany. Nic dziwnego, gra o główną nagrodę. Nie jest nią bynajmniej torebka prażonej kukurydzy.
Widownia wybuchnęła śmiechem. Przymknął oczy i z całych sił spróbował przypomnieć swoje nazwisko. Mocno, tak aż do bólu... Critchfield, wypłynęło i już miał odetchnąć z ulgą, kiedy pojawiło się następne: Chadwick. Nic nie rozumiał. Rozbrzmiał gong.
– Wylosowaliśmy numer 71 – konferansjer wskazał na świetlną tablicę. – Jak widzimy, zadzwoniła z nim do nas Kristin Coll, to już drugi raz dzisiaj.
Sala zaklaskała, lecz nawet tego nie zauważył.
– Brawo Kristin – powoli ukazywały się słowa – to bardzo dobre pytanie. Ciekawe, czy nasz bohater, pan Critchfield, poradzi sobie.
Critchfield, nazywa się Critchfield, ale co z Chadwickiem?
– Ma pan pół minuty na odpowiedź – Uniósł palec. – Oto pytanie: jakie było ulubione hasło Richarda Nixona w czasie kampanii i prezydentury? Powtarzam: ulubiony slogan Richarda Nixona. Ma pan trzydzieści skund.
Nie zastanawiał się. Po prostu znał odpowiedź. Jak sądził, każdy ją znał.
– Prawo i porządek.
Ogłuszający ryk fanfar wdusił go w fotel. Z boku wybiegła dziewczyna z laurowym wieńcem z plastyku w dłoni. Ruszyli w stronę konferansjera. Ten wraz z jakimś grubasem wręczył mu kolorowy czek. Ogłuszony burzą oklasków dojrzał okrągłą sumę tysiąca dolarów. Operacje giełdowe, pomyślał i przestraszył się nie wiadomo skąd zjawiającego się skojarzenia. Jeszcze coś do niego mówiono, czegoś gratulowano, wreszcie światła pogasły i wszystko się skończyło.
Po kilku minutach ciężko oddychając stał w korytarzu przy wnęce z automatami. Dziewczyna ze studia podała mu puszkę coli. Stukając zębami w cienki metal, wypił zawartość do dna. Potem, wymacawszy w kieszeni garść bilonu, podał jej pięć centów.
– Co to? – zdziwiła się.
– No... za colę.
– Wygłupia się pan.
– Dlaczego... – Próbował zebrać myśli. – Przecież cola tyle kosztuje.
Zerknęła wesoło, wyraźnie był w jej guście.
– Chyba za dużo uczyłeś się do teleturnieju. Pięć centów kosztowała z dwadzieścia lat temu.
Jakieś klapki odmykały się w jego głowie.
– Który mamy rok?
Sądząc z miny, teraz była pewna, że to niekonwencjonalny podryw.
– Rok? 1990, a dlaczego?
Zrozumiał wszystko. Ujął zdumioną dziewczynę za rękę i mocno uścisnął. Potem opadł na najbliższego pulmana.
– Richardzie Chadwick vel Critchfield – powiedział półgłosem. – Teraz wiesz, jak się czuje pierwszy podróżnik w czasie.

Monitor pokryła śnieżna kaszka i Critchfield obrócił się w sam raz, aby dojrzeć jak adwokat wyjmuje kasetę.
– Sukinsyn – syknął.

– Proszę...

Machnął ręką i spojrzał na magnetowid.

– To teraz popularny środek zapisu?

Paul niemo przytaknął. Nadal nie wiedział, jak rozmawiać ze swoim zmartwychwstałym chlebodawcą.

– Film był niepotrzebny – Critchfield zaczął chodzić po pokoju. – Pamiętam wszystko, a tego drania, Bóg mi świadkiem, załatwię.

Adwokat z uwagą obserwował młodzieńczą postać. W gestach i mimice wyczuwał jakiś fałsz, coś obcego.

– Jeśli bym nawet wątpił – powiedział w zamyśleniu – czy jest pan nowym wcieleniem Chadwicka, to teraz...

– Co? – Critchfield zerknął na niego z satysfakcją. – Wkurzam się, prawda? Szlag mnie trafia, gdy myślę o Ladermanie.

Opadł gwałtownie na fotel.

– Jutro, najdalej pojutrze mój kochany wspólnik dostanie kopa – uśmiechnął się szeroko – prosto w tyłek.

– Jutro? – Adwokat obrócił się gwałtownie. – Ma pan na niego haka?

– Od chwili kiedy zapomniał o paru kartkach podpisanych in blanco.

Cierpiąca mina Paula świadczyła, że pragnie dalszych wyjaśnień.

– Wymyśliłem to jeszcze w poprzednim wcieleniu – Critchfield rozparł się w fotelu. – Jak wiesz Laderman od lat podpada pod ustawę antytrustową, ale federalni nic mu nie mogą udowodnić. Większość udziałów kontroluje bardzo sprytnie przez firmy w Kanadzie.

Oczy adwokata błysnęły inteligentniej.

– Chodzi panu o ten układ z Kaluzą i Susmanem?

– Naturalnie. Cała trójka pozamieniała się aktami własności i oficjalnie, nawet gdyby ktoś szperał, dowie się co najwyżej, że Laderman ma w garści duży pakiet akcji koncernów chemicznych.

– Które akurat kooperują z Susmanem.

– Dokładnie, za to Kaluza trzyma łapę na kopalniach niezbędnych Ladermanowi. – Critchfield sięgnął po leżące na biurku papierosy. – Ale to się skończy...

– Jak pan to zrobi? – Adwokat podsunął zapalniczkę.

Critchfield mrugnął szelmowsko i z wyraźną przyjemnością zaciągnął się Camelem.

– Zobaczysz – wypuścił parę kółek dymu, a potem uniósł dłoń. – Powiedz mi dlaczego właściwie wynająłeś dla mnie mieszkanie tak wysoko?

Paul zamrugał. Wyraźnie nie mógł nadążyć za zmianą tematu.

– Wysoko... nie rozumiem.

– No, na drugim piętrze, a tam nie ma windy.

Adwokat ze zdumieniem spojrzał na ostro zarysowane pod koszulą bicepsy Critchfielda.

– Ale po schodach...

– Męczę się... – Sięgnął do kieszeni. – Nieważne, i tak zamierzam odkupić moją posiadłość.

Rzucił na biurko wyrwaną z notatnika kartkę papieru.

– Potrzebuję jak najszybciej tych informacji – ponownie się zaciągnął. – Możesz już też aranżować pierwsze spotkanie z Ladermanem.

Paul przyjrzał się liście i pokręcił głową.

– Dla Ladermana będzie pan nowicjuszem. Ciężko się rozmawia z takiej pozycji.

Critchfield machnął lekceważąco dłonią, a potem w jego wzroku pojawiło się rozbawienie.

– Wiesz... szkoda, że nie jestem kobietą – strzepnął popiół. – Byłoby nawet zabawne na nowo tracić dziewictwo.

W czasie golenia nie zaciął się ani razu, lecz mimo tego, nadal nie mógł się przekonać do jednorazowych ostrzy. Gdy zerkał z niechęcią na ich opakowanie, nie wiadomo skąd wypłynęła myśl, że pan Schneid byłby z niego bardzo niezadowolony. Nie miał pojęcia, kim jest ten człowiek – ostatnio znowu wyłonił mu się z podświadomości. Po pierwszym szoku w studio pamięć Chadwicka praktycznie zdominowała Critchfielda. Jedynie w odruchach, pewnych reakcjach emocjonalnych odnajdywał w sobie obcego człowieka. Nie przeczył, miał pewne wyrzuty sumienia. Ale po pierwsze, nie było innego wyjścia. Po drugie, jak tłumaczył mistrz, dawny Chadwick i nowy Critchfield, to różne strony tego samego jestestwa.

Z przyjemnością włożył nowy płaszcz i zszedł do stojącego na parkingu mustanga. Zdecydowanie nie mógł polubić japońskich modeli. Na najbliższym skrzyżowaniu głośny dźwięk klaksonu zmusił go do obrócenia głowy. Obok stał na światłach poobijany ford z uśmiechniętym blondynem w środku.

– Człowieku, ale masz gablotę...

Critchfield, na wszelki wypadek, zrobił porozumiewawczą minę.

– Tyle szmalu wygrałeś w tym quizie?! – chłopak pokręcił głową. – Nadawałeś jak komputer. Schneid każdemu o tym opowiada.

Światła zmieniły barwę, lecz nie mógł przegapić takiej okazji.

– Który Schneid?

– Jak to, który? Nasz kochany szef z marketu.

Głośne dźwięki klaksonów uniemożliwiły na szczęście dalszą rozmowę. Pomachał ręką i przyspieszył. Wreszcie dowiedział się, kogo oznacza to nazwisko. Facet musiał być niezły choleryk, jeśli tak wbił mu się do głowy.

Hotel, w którym miał się spotkać z człowiekiem z australijskiego ministerstwa handlu, nie zaliczał się do zbyt wyszukanych. Ale z drugiej strony gwarantował brak niedyskretnych oczu i późniejszych plotek. Zerknąwszy na zegar w recepcji Critchfield upewnił się, że ma jeszcze pół godziny. Rezygnując z wątpliwych uroków pustego baru na parterze, wjechał rozklekotaną windą na swoje piętro. Jak się spodziewał klimatyzacja w pokoju pracowała ledwo, ledwo. Nie zrażony wyjął z teczki materiały, przykleił taśmą do tapety dwie plansze, a na stole ułożył starannie biuletyny giełdowe. Kiedy już zdążył wrzucić do lodówki napoje i odwiedzić toaletę, nie pozostało mu nic innego, jak usiąść przed telewizorem. Chwilę przeszukiwał kanały, gdy jego uwagę przykuła twarz na ekranie. Nie pomylił się. Laderman przez dwadzieścia lat zmienił się znacznie. Wyłysiał i dorobił się paskudnych worków pod oczami. Z dużą przyjemnością odnotował te zmiany, a potem podkręcił głos.

– ...stanął przed komisją senacką. Pewne zaskoczenie budzi fakt, że pan Landerman bez żadnych nacisków wysłał do nas i prasy listy, w których oskarżył siebie i dwóch innych przemysłowców o świadomie omijanie ustawy antymonopolistycznej.

Critchfield sięgnął do tyłu i wymacał puszkę piwa. Wpatrzony w ekran zapomniał jednak ją otworzyć. Laderman siedział nieruchomo, tępo wpatrzony w mikrofon. Jego adwokat miał równie nieszczęśliwą minę. Critfchield dobrze ich rozumiał. Nie mogli zaprzeczyć autentyczności listów, gdyż część informacji dziennikarze zdołali już potwierdzić. Nie mogli zaatakować, czy przekupić przeciwnika, gdyż go nie znali. W ogólnym rozrachunku podrobione przez Critchfielda listy okazały się znacznie bardziej perfidne niż zwykły donos. Laderman został spalony na giełdzie i nikt nigdy nie wejdzie z nim w żaden układ. Również Kaluza i Susman nie darują mu tego, niezależnie od wyjaśnień jakie potem wymyśli. Tłumaczyć się, że ktoś podrobił listy nawet nie będzie próbował. Przecież ujawniono tam fakty, o których wiedziała jedynie ich trójka. Oczywiście, był jeszcze czwarty, ale ten nie żył od dwudziestu lat. Critchfield jednym ruchem otworzył puszkę piwa, upił głęboki łyk, a potem wycelował palec w telewizor.

– To dopiero początek, wspólniku.

Jesień tego roku przyszła wcześniej niż zwykle, zmuszając Critchfielda do porzucenia marzeń o wrześniowych wakacjach. Lecz w ten dzień nawet gradobicie, czy wiadomość o lodowcu za East River nie zrobiłyby na nim większego wrażenia. Pół godziny wcześniej, po

miesiącach starań i przygotowań, podpisał wreszcie umowę z Ladermanem. Sprzedał mu te same kopalnie boksytów, które kupił przed laty. Teraz wystarczyło tylko czekać. Wystawiając twarz do chłodnego wiatru, uzmysłowił sobie jak ciężko znosił wizyty u eks-wspólnika. Parę razy miał nawet wrażenie, że Laderman przygląda mu się podejrzliwie, jakby dostrzegając pod cielesną powłoką prawdziwego Chadwicka. Na szczęście dzisiaj zakończył sprawę definitywnie. Wyjął z kieszeni kluczyki i mijając przechodzącą dziewczynę, ruszył do wozu.

– Hej, nie poznajesz mnie?

Obrócił się zaskoczony i dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć skąd zna jej uśmiechniętą buzię.

– Studio – pstryknął palcami. – To pa... to ty dałaś mi colę.

– Pamiętasz – ucieszyła się. – Jesteś mi winien pół dolara.

– Słusznie – rozejrzał się po ulicy. – Może pojedziemy do mnie.

Wyglądało, że wóz nie sprawia na niej większego wrażenia. Dopiero, gdy zajechali do jego dawnej rezydencji, zrobiła wielkie oczy. Mimo że ostatni właściciele sprzedali pół parku i zniszczyli oranżerię, było na co popatrzeć.

– Myślałam... – wydukała. – Sądziłam, że jesteś sprzedawcą w supermarkecie.

– Byłem. Bliski krewny zostawił mi sporą sumę.

Krewny... Właściwie nie ma żadnej rodziny. Przypomniał sobie zapłakaną twarz nowej matki. Kiedy się wyprowadzał, stała w oknie i długo patrzyła za taksówką. Czując na sobie uważny wzrok dziewczyny powrócił do otwierania zamków.

Dom stał jeszcze nie zamieszkały, nie zdążył nawet zatrudnić służby. Idąc teraz głównym holem, dostrzegł gdzieniegdzie drobne zmiany poczynione podczas jego dwudziestoletniej nieobecności. Nowe obicia mebli w salonie postanowił zostawić, a resztę doprowadzić do poprzedniego stanu. Jak każdy stary człowiek, przywiązywał się do przedmiotów.

– Wytrawne – powiedziała, kiedy siedli.

Zadowolony z siebie uśmiechnął się do dziewczyny. Dobrze, że rozpoczął przeprowadzkę od zapełnienia zawartości barku i lodówki. Ostrożnie, nieledwie z lubością upił z kieliszka. Tak, potrzebował tego. Spojrzał na gościa. Dziewczyna czuła się swobodnie, może nawet za bardzo. Przeglądała compacty pozostawione przez poprzednich właścicieli. Jeszcze nie zdążył odsprzedać tych śmieci.

– O... bomba. – Wsunęła krążek w odtwarzacz. – Zatańczymy?

Zaskoczony dał się wyciągnąć na środek pokoju, lecz na tym poprzestał. Melodia płynęła spokojnie, bez krzyków i dysonansów, lecz nie musiał przypominać sobie kroku tanga, czy samby. Dziewczyna wirowała i podrygiwała jakimś nieskoordynowanym pląsem, mającym jednak wewnętrzną logikę. Nie miał pojęcia jak z nią tańczyć.

– Co? – zatrzymała się w pół kroku. – Nie lubisz „Moody Blues"?

Rozogniona tańcem i zadyszana nie przypominała już dziewczyny ze studia. Była piękna. Czuł, że jeszcze moment, a palnie coś głupiego.

– Siądę – mruknął. – Tańcz sama, dobrze ci idzie.

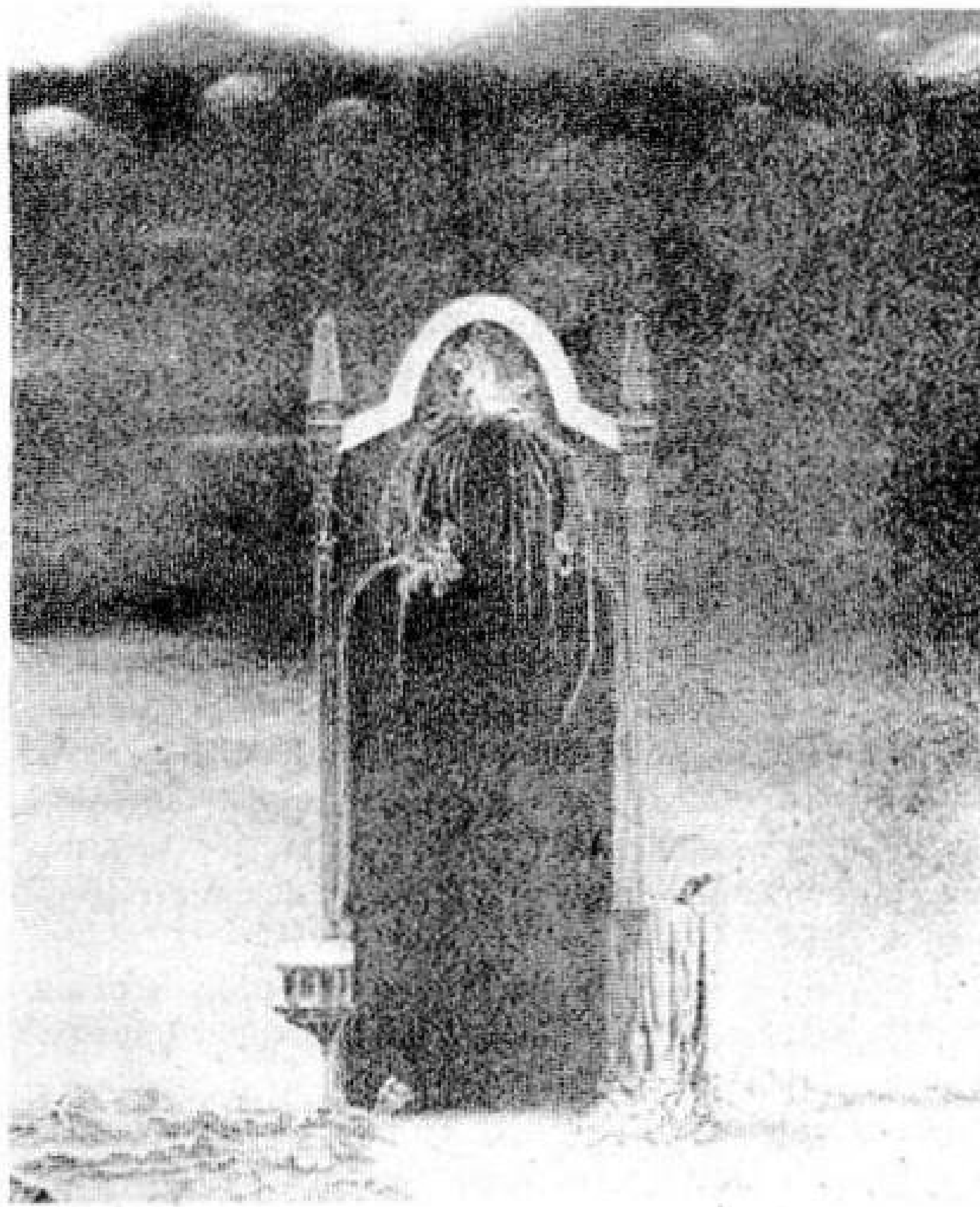
Okręciła się parę razy, lecz już bez przekonania. W końcu ściszywszy muzykę, opadła na fotel. Udając, że nie zauważył wyrazu jej twarzy, przechylił się z butelką w dłoni. Zakryła kieliszek dłonią.

– Chcesz sam mieszkać w tym domu? – wskazała oczami ściany i sufit.

– Może... – próbował się uśmiechnąć. – Dlaczego pytasz?

– Samotność źle działa na nerwy.

– Czy to propozycja?



Janusz Kuśmierczyk

Kończąc zdanie, zrozumiał że popełnił błąd. Dziewczyna odsunęła nie dopity kieliszek i wstała.

– Późno – rozejrzała się za torebką. – Nie lubię po nocy jeździć metrem.

Wiedział, że nie zdoła jej zatrzymać i dawno zapomniane uczucie ścisnęło serce. Nie sądził, że jeszcze kiedyś będzie mu na kimś zależeć. Dziewczyna obudziła dawno zatarte wspomnienia, dzięki niej zrozumiał, że nie jest ani Chadwickiem, ani Critchfieldem; jest kimś nowym. Nawet teraz, idąc holem, odkrywał w sobie inne, świeże spojrzenie. Patrzył na meble, wydeptane chodniki i wiecznie te same boazerie. Jako Chadwick nigdy nie zastanawiał się nad ich wyglądem. Przyjmował zawsze, że są dobre, pasujące do niego i jego życia. Teraz odkrywał w sobie jakieś niedopowiedziane wątpliwości.

Kiedy wyszli na dwór, z pobliskiego ogrodu doleciał ciężki zapach kwiatów. Stanęli przy furtce.

– Może jednak cię odwieźć? – spytał.

Niemo pokręciła głową, a w jej oczach odczytał jakiś smutek.

– Pocałuj mnie – szepnęła niespodziewanie.

Schylił się i musnął wargami jej czoło. Uśmiechnęła się smutno.

– Wolałam... – uniosła wzrok. – Szkoda, że już nie jesteś sprzedawcą.

Odeszła. Patrzył chwilę w głąb ulicy, a potem z hukiem zatrzasnął furtkę.

– Najważniejszy jest Laderman – powiedział cicho przez zęby.

Czy na pewno? Oparł czoło o zimny metal framugi i westchnąwszy spojrzał na ciemniejące niebo. Musiał uważać. Ostatnio wieczory były bardzo chłodne.

Pod pochmurnym niebem park wyglądał szczególnie nieszczęśliwie. Tylko na jednej ławce tuliła się do siebie zabłąkana para. Opuściwszy szybę Critchfield poczuł na twarzy podmuch wilgotnego wiatru. Już z samego rana dzień przywitał go deszczem. Ciężkie, oleiste krople tłukły o okno, zachęcając do ponownego zapadnięcia w sen. Nie poddał się im i włączył dziennik. Drobna, niby mimochodem rzucona uwaga sprawiła, że podskoczył na łóżku. Chwilę smakował informację, a potem uśmiechnął się szeroko. Wyprzedaż strategicznych zapasów boksytów przez najsilniejsze mocarstwa świata wywoła natychmiast łańcuchową reakcję spadku cen. Chciał widzieć minę Ladermana. Poufne rozmowy dały Critchfieldowi dwa miesiące przewagi. Dobrze, że cały kapitał wsadził

w wykup dodatkowych kopalni perfidnie podsuniętych później Ladermanowi. Mógł inwestować gdzie indziej, otwierały się różne możliwości, lecz zemsta jest słodka. Najpierw się odpłacić, a potem wrócić do normalnych interesów.

Uświadomił sobie, że od dłuższej chwili przygląda się dziewczynie na ławce. Gdy chłopak ją całował, przymykała oczy a dłonie błądziły po jego kapturze. Namacalnie jak nigdy poczuł coś na kształt rozdwojenia jaźni. Co go naprawdę interesuje Laderman i porachunki sprzed lat. Po co rozdrapuje stare rany? Kurczowo zacisnął palce na kierownicy. To zdrada! Reanimacja, szpital, śmierć, czy już zapomniał?! Po jaką cholerę zatrzymał się tutaj?! Z wściekłością wdepnął pedał akceleratora i wyrzucając fontannę błota, pomknął w stronę city. Nie mógł się jednak powstrzymać od spojrzenia w lusterko. Chłopak z dziewczyną całowali się dalej.

Z piskiem opon zahamował przed biurem Ladermana. Według wstępnych szacunków, ten hochsztapler powinien dzisiaj stracić grubo ponad połowę forsy. Postanowił sprawdzić aktualne notowania bezpośrednio z jego biura, a potem samemu zobaczyć jak się poci ze strachu i wściekłości. W sekretariacie, dużej sali, gdzie z kilkunasu przepierzeń zerkały monitory, ustawiono również stanowiska dla interesantów. Wybrał to koło donic z geranium. Aby uciec od typowego dla biura gwaru, nachylił głowę nad konsolą i wystukał polecenie. Zajęty przeżywaniem własnego triumfu, dopiero po chwili pojął sens tego, co wypłynęło na ekran. Z niezrozumiałych przyczyn tylko część kopalni spadła na łeb i szyję. Inne, wśród których znalazł ostatnie nabytki Ladermana, wyraźnie zwyżkowały. Wariactwo, absurd! Skasował odczyt i raz jeszcze spróbował wybrać potrzebne opcje. Z przejęcia mylił klawisze.

– Pan Critchfield, prawda? – Poczuł czyjś dotyk.

Szklanym wzrokiem dojrzał kolorowo ubraną dziewczynę. Jej zwisające z głowy warkoczyki nieprzyjemnie łaskotały twarz.

– Szef prosi.

Dlaczego się pomylił? Gdzie popełnił błąd? Szedł za przewodniczką jak oczadziały; z dwa razy potrącił kogoś. Przecież wszystko przeanalizował. Dziewczyna otworzyła drzwi.

– Proszę wejść – Laderman z lubością ubijał tytoń w fajce. – Myślę, że chciał się pan ze mną zobaczyć.

Namacał poręcz i opadł na krzesło. Dobrze, że klimatyzacja silnie dmuchała. Laderman ciągnął swoje.

– Być może udałby się panu ten brzydki numer, ale na szczęście uprzedzono mnie – poprawił ustnik. – A tak w ogóle w jakim świecie pan żyje? Każdy interesuje się nowymi technologiami, wygląda, że pan nawet magazynów nie czyta.

Ze złośliwym grymasem uniósł z biurka egzemplarz „Scientific American" z wytłuszczonym tytułem „Nowe ogniwa słoneczne".

– Gal, zapotrzebowanie na niego niedługo wzrośnie dziesięciokrotnie – przechylił się w fotelu. – Często występuje razem z boksytami.

Critchfield zrozumiał wszystko. Jeszcze się wiele będzie musiał z tego świata nauczyć.

– Wiem – ciężko westchnął. – Moje kopalnie miały wysoki procent galu.

Laderman uśmiechnął się uprzejmie, a on z nagłym przerażeniem uświadomił sobie, że znowu przegrał. Wszystko przepadło; pozostało już tylko wyjść. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

– Kto pana uprzedził? – spytał raptownie. – Ten cholerny Australijczyk?

– Australijczyk?... – Laderman wzruszył ramionami. – Przecież to bez znaczenia.

Skrzypnęły drzwi i do pokoju wszedł z niepewnym uśmiechem Paul. Spojrzawszy uspokajająco w stronę Ladermana, oparł dłonie na poręczy krzesła.

– Masz prawo wiedzieć, to ja.

– Paul! Dlaczego?!

– Nie wiesz? – adwokat wydął wargi. – Zdobyłeś młodość, masz znowu dwadzieścia lat, czego jeszcze chcesz? Odwetu? Forsy? Mnie też coś się należy.

– Boże, ty jesteś zazdrosny!

– Nie bądź dziecko. Nigdy nie wierzyłem w wędrówkę dusz, ale gdy wróciłeś... – pokręcił głową. – To było za dużo.

– O czym wy mówicie? – Laderman próbował się wtrącić.

– O nim Jack – Paul z gorzkim uśmiechem wskazał Critchfielda. – Pamiętasz Richarda Chadwicka, którego z moją pomocą wykończyłeś dwadzieścia lat temu? Siedzi przed tobą.

– Zwariowałeś?

– Jasne – adwokat rozłożył ręce. – Nigdy w to nie uwierzysz.

Critchfield milczał dłuższą chwilę. Rozumiał, że jego obecność tutaj jest zbyteczna i groteskowa. Wstał i ostrożnie zamknął drzwi za sobą.

Zamyślony przeszedł sekretariat i stanął przy windzie. Oczekując porażki Ladermana, poczynił pewne posunięcia, które będą go teraz słono kosztować. Trudno, najwyżej sprzeda posiadłość, i tak miał jej dość. Z pewnym zdumieniem zauważył jednak, że oddycha mu się lżej. Wreszcie rozliczył się z Chadwickiem i teraz może działać na własne konto. A Laderman? Pies go trącał... Nabrał powietrza i skacząc po dwa stopnie, zbiegł na ulicę. Ani razu się nie potknął.

– No... znowu się spotykamy.

Zaskoczony spojrzał w znajome oczy dziewczyny, a później w przypływie wewnętrznego impulsu, zaczął się uśmiechać. Powoli, wraz z tym jak dawno skrywane myśli, przebijały się do świadomości.

– Podobam ci się?

– Proszę... – parsknęła krótkim śmiechem.

Czuł jak coś w nim rośnie i nabiera kształtów.

– To był żart, rozumiesz. Ten dom nie należy do mnie – w podnieceniu połykał słowa. – Wuj dał pod opiekę, wyjechał na wyspy... Przepraszam za wszystko.

Spojrzała odrobinę cieplej.

– No i co?

– Jesteś cudowna! – krzyknął, gdyż właśnie wariacki pomysł zalęgał się w jego głowie. – Pomożesz mi?

– Kiedy? Teraz?

– To potrwa tylko moment – śmiał się jak sztubak. – Mam z moim wujem na pieńku,

Pociągnął ją za sobą. W rekordowym tempie przebiegli schody i wyminęli wstającą od biurka sekretarkę.

– Jak... jak masz na imię? – wydyszał przed gabinetem Ladermana.

– Ewa – odparła na wpół rozbawiona. – Czy ty dobrze się czujesz?

– Jak nigdy – zagarnął ją ramieniem i wpadli do środka.

Paul i Laderman, pogrążeni w ożywionej rozmowie, unieśli zaskoczone twarze. Wyglądali staro, cholernie staro. Chciał im to powiedzieć, wykrzyczeć, ale wiedział, że nie potrafi. Uśmiechnął się więc szyderczo, a potem mocno, z całych sił pocałował usta Ewy. Były wilgotne i chętne.

Gdy zamknęły się drzwi za nimi, obydwaj mężczyźni spojrzeli po sobie. Critchfield miał rację. Byli przegrani, zgorzkniali i starzy. Dlatego triumfował. Paul roztarł dłonie i uważniej spojrzał na swego wspólnika. Laderman pokiwał głową.

– A tak właściwie – uniósł fajkę do ust. – Masz jeszcze dojście do typa, który mu nadał ten pomysł z reinkarnacją?

Andrzej Drzewiński

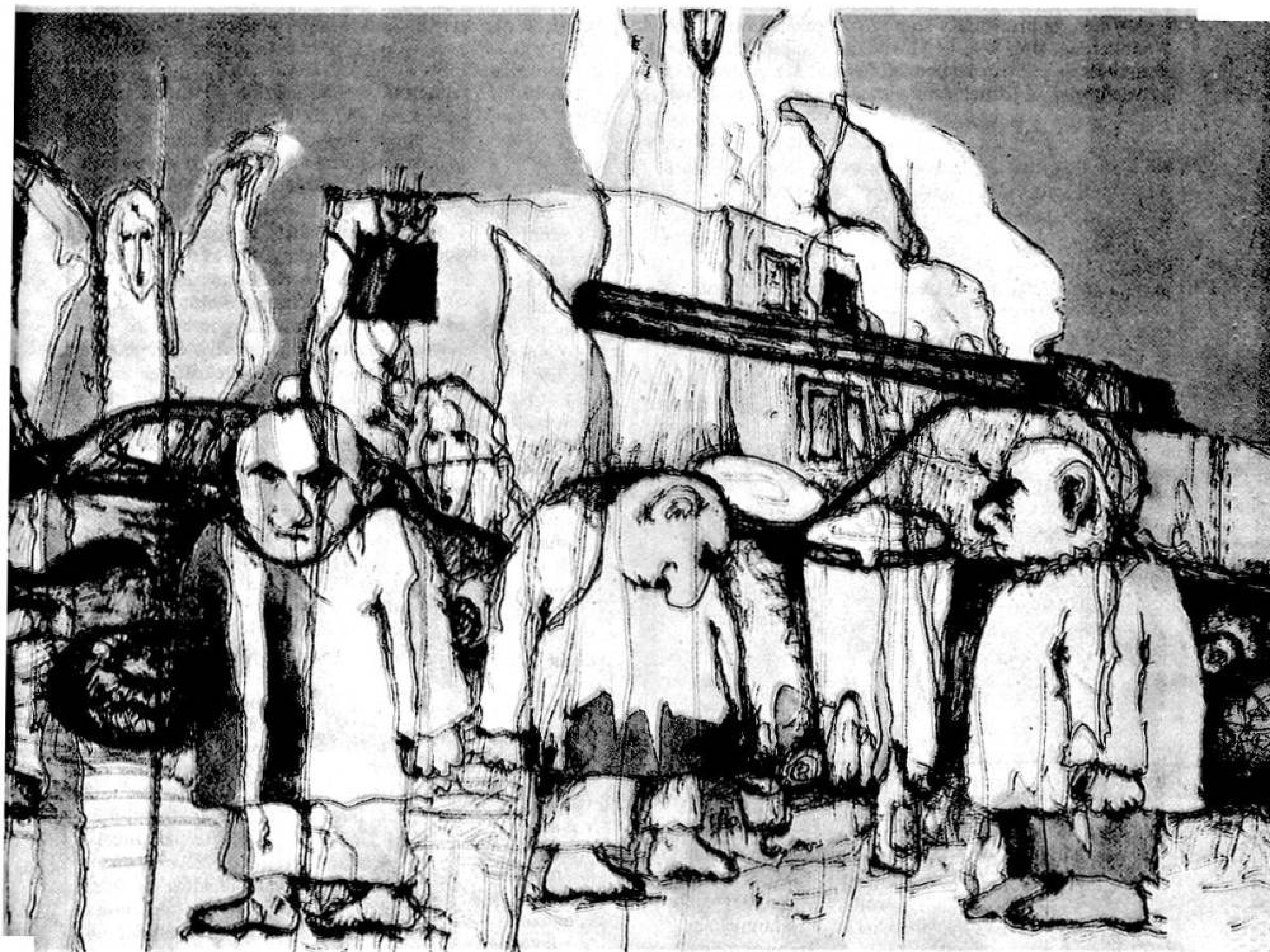
NAJNOWSZA powieść Cyrila Boggisa, „Zagłada aniołów", jest książką szczególną. Nie daje się wtłoczyć w ramy konkretnego gatunku – można ją nazwać powieścią fantastyczną, beletryzowanym traktatem teologicznym, albo imaginacyjną powieścią historyczną. Niektórzy zaliczyli ją już do antyutopii postorwellowskich, ale gorliwość metafizyczna Boggisa niweczy sensowność takiej klasyfikacji. Sądzę, że obszerne dzieło Boggisa jest jego pierwszą udaną powieścią, bo pierwszy raz wykroczył nim poza dosłowność. Nad gęstą, zmysłową tkanką słów unosi się tym razem opar znaczeń dających się wyrazić nietrywialnie i jedynie nie wprost.

Akcja powieści toczy się w XXIII wieku na Ziemi opanowanej przez imperium Duro. Jednak bardzo szybko ta pierwsza podstawowa konstatacja czytelnicza zostaje podana w wątpliwość – w kilku naraz momentach.

Po pierwsze, czas akcji nie jest tak pewny, jakby początkowo można było sądzić.

W powieści Philipa K. Dicka „Ubik" czas ulega regresowi, bohater powieści odnajduje się w kolejnych odsłonach otoczony coraz starszymi rekwizytami, jakich dostarcza techniczna cywilizacja amerykańska – samochodami, telefonami, samolotami – a tempo zmian jest oszałamiające.

Zmiany w imperium Duro są niezmiernie powolne, tak że bohater powieści, kapitan Dawid Bohl, zdaje się nie być ich w ogóle świadomy. Techniczny regres rozciągnięty jest na całe dziesięciolecia. Stopniowe, nieubłagane obniżanie się zdolności technicznych cywilizacji najpierw objawia się powolnym pogarszaniem się jakości wszystkich produktów, a potem równie powolnym ześlizgiwaniem się na niższy poziom równowagi technologicznej. Odpowiada mu regres świadomości społecznej. W czasach kiedy kapitan Bohl przemierza ulice miasta-molocha, Eternitas, telewizja przestaje praktycznie istnieć. Jeszcze gdzieniegdzie w szarych domach z odpadającym tynkiem stoją zakurzone, zepsute aparaty telewizyjne, których jednak nikt nie potrafi



Janusz Cyran

Czyściec

Ewa Suchacka

naprawić, bo przemysł nie produkuje potrzebnych części zamiennych. Samochody tak samo wychodzą z użycia, zastępowane przez riksze i dorożki, z których korzystają bogatsi. W świecie, który podlega tak pomyślanej przemianie trudno o znaczącą chronologię, toteż uwaga Boggisa, że jest dwudziesty trzeci wiek po narodzeniu Chrystusa – a wyraźne przywołanie w tym miejscu imienia Chrystusa nie jest oczywiście przypadkowe – trzeba potraktować z dużą ostrożnością.

Napisałem poprzednio, że akcja powieści toczy się na Ziemi opanowanej przez imperium Duro. Jakoż na początku powieści prezentuje się nam – w licznych hasłach propagandowych natrętnie atakujących świadomość i podświadomość Bohla – agresywne, pewne swego totalitarne imperium, któremu poddana jest cała Ziemia. Oficjalna historiografia Duro podaje, że w połowie dwudziestego pierwszego wieku państwo Duro pokonało ostatecznie swych wrogów i zaprowadziło na całej Ziemi szczęśliwy pokój, sprzyjający postępowi i rozwojowi całej ludzkości. Istnieje jednakże historiografia nieoficjalna, zakazana i tępiona, i głosi ona, iż prawdziwy stan rzeczy przedstawia się zgoła odmiennie. Otóż w końcu dwudziestego pierwszego wieku utrwalił się ostatecznie podział świata na, z grubsza biorąc, dwie części. Z jednej strony istniało Duro, z totalitarnym systemem rządów, tendencją do niszczenia niezależnej myśli, co musiało doprowadzić do zaniku twórczej ciekawości, a więc i nauki, a więc i do regresu techniki – choć ideologia Duro nieustannie powoływała się na swoją naukowość i stymulowany przez siebie rozwój cywilizacji technicznej. Z drugiej reszta świata, w której rzeczywisty, nieskrępowany ideologicznymi przesłankami rozwój cywilizacyjny wytwarzał coraz większy dystans między obu częściami. Dochodzi do tego, że ludzie pochodzący z dwóch różnych stref nie potrafią się ze sobą porozumieć. Światy ich pojęć i nawet uczuć są coraz bardziej różne, na jednej planecie powstają dwa całkowicie odrębne, nieporównywalne cywilizacje. Władcy Duro starają się utrwalić i pogłębić ten stan rzeczy. Przepaść otwierająca się pomiędzy obu cywilizacjami jest gwarantką ich władzy.

Pewnego dnia z części planety nie podlegającej władzy Duro znikają ludzie. Wojskowe zwiady Duro ostrożnie posuwają się w głąb terytorium zabudowanego dziwacznymi konstrukcjami niewiadomego przeznaczenia. Załogi czołgów powoli przejeżdżających ulicami opustoszałych miast nie dostrzegają ani jednego żywego człowieka. Nie znajdują też żadnych zwłok.

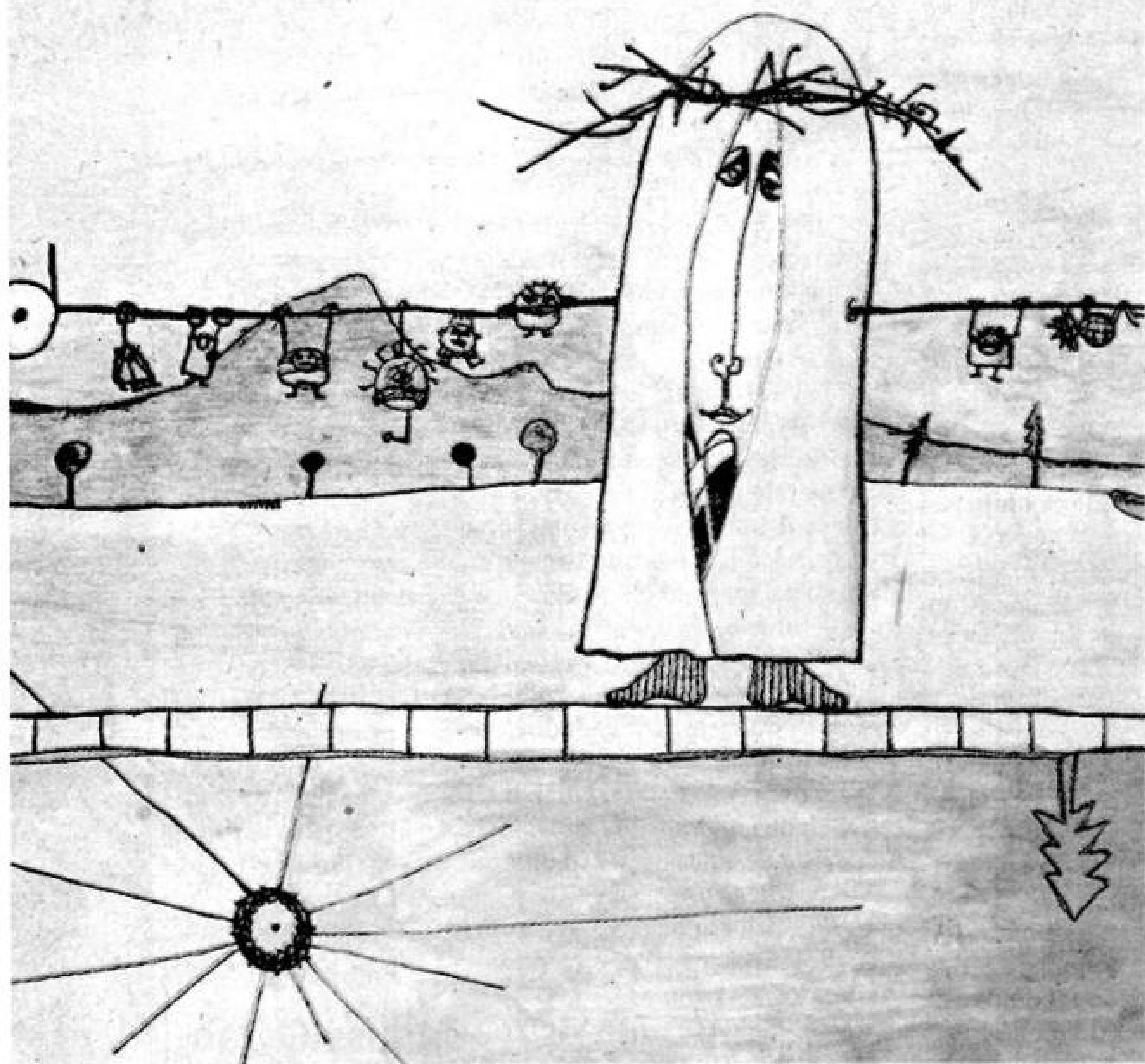
Nagłe zniknięcie potencjalnego przeciwnika, którego obarczano dotąd wszelkimi złymi intencjami i którego istnienie uzasadniało nieustający stan wyjątkowy panujący w Duro, wywołało pewne zamieszanie w kręgach rządzących.

Szybko jednak ustalono sposób postępowania. Ogłoszono, że system społeczny strony przeciwnej uległ rozprzężeniu i zwycięskie wojska Duro, napotykając tylko słaby opór, niosą wolność ludom całej Ziemi. Jakoż na opustoszałe tereny wkroczyły jednostki specjalne. Skrupulatnie i zawzięcie niszczyły wszystkie materialne pozostałości wrogiej cywilizacji z zaciekłością przewyższającą zacietrzewienie konkwistadorów niszczących dorobek cywilizacji amerykańskich. Wyznaczono osobne oddziały do walki z książkami. Większość z nich była niezrozumiała dla ludzi Duro, niemniej książki tropiono na opuszczonych terytoriach ze szczególną pasją. Pomimo tego część książek ocalała. Gromadziły się wokół nich sekty czcicieli cywilizacji, która zniknęła w tak tajemniczy sposób – w ich oczach nabrało owo zniknięcie mistycznego wymiaru. Ludzie ci zwani w dwudziestym trzecim wieku Badaczami Pism, wierzyli, że wśród ocalałych książek istnieje jedna lub kilka takich, które, gorliwie przestudiowane, odsłonią tajemnicę bytu. Część książek dostała się w ręce ludzi, którzy nie zrezygnowali z krytycznego myślenia. Ci starali się dociec prawdziwego sensu niezrozumiałych dzieł.

Niszczycielskie prace trwały całe dziesięciolecia. Ludy Duro dowiadywały się o kolejnych zwycięskich podbojach, i kolejne zdewastowane tereny planety były poddawane kolonizacji.

Obie kategorie – Badacze Pism i ludzie, którzy kultywowali myślenie naukowe – były prześladowane przez władców Duro. Otóż kapitan Bohl pracował w wydziale tajnej policji zajmującym się zwalczaniem obu tych grup. Nie kończące się wędrówki Bohla labiryntem brudnych, przygnębiających ulic Eternitas, ze skorupami rdzewiejących samochodów na chodnikach, ze snującymi się wieczorami stadami wyniszczonych alkoholików – to zasadnicza część „Zagłady aniołów". Jednak zanim przyjrzymy się bliżej prawdziwym motywom wędrówek Bohla (odbywa je po godzinach normalnej pracy, która ma, w pewnym sensie, charakter biurowy), trzeba jeszcze na chwilę powrócić do naszych ogólnych rozważań.

Dysydenci wysunęli różne hipotezy wyjaśniające zniknięcie antagonistów Duro. Nieliczni twierdzili, że katastrofa o nieznanym charakterze spowodowała śmierć wszystkich ludzi poza granicami Duro. Była ona, być może, wynikiem rywalizacji między różnymi organizacjami państwowymi. Hipoteza ta była wspierana aluzyjnie przez propagandę Duro – odbierała ona bowiem nadzieję na ewentual-



Ewa Suchacka

ną zmianę stanu rzeczy, jaka mogłaby dokonać się dzięki wpływowi wywieranemu przez przemienione społeczeństwa reszty świata.

Hipoteza optymistyczna – ale i szydercza – głosiła, że mieszkańcy Felicitas (tak nazywali ościenne kraje Badacze Pism, a i dysydenci od dawna już używali tej nazwy) postawili przed sobą cele, których ludzie Duro nie są w stanie pojąć, i że dla zrealizowania owych celów konieczne było przeprowadzanie transformacji czasoprzestrzennej. Transformacja ta przeniosła Felicytian w inny wymiar, niedostrzegalny dla ludzi Duro. Trwały spory o rodzaj relacji między Duro i Felicitas – przeobrażonym po owej transformacji. Niektórzy byli skłonni przypuszczać, że Felicytianie mogą obserwować, a nawet odwiedzać Duro, sami niewidzialni i niedotykalni. Duro byłoby dla nich czymś w rodzaju gigantycznego skansenu albo rezerwatu. Dlaczego nam nie pomogą? – zapytywali z rozgoryczeniem niektórzy. Inni spieszyli zaraz z odpowiedzią, że subtelny moralny zmysł Felicytian nie pozwala im na brutalną interwencję w wewnętrzne sprawy Duro.

Badacze Pism przejęli od dysydentów część ich poglądów i przetworzyli je po swojemu. Zaczęli wierzyć, że Felicytianie przenieśli się do miejsca, które odpowiadają Edenowi, gdzie nikną wszelkie nieszczęścia i cierpienia, a śmierć nie ma już władzy nad człowiekiem. Wierzyli też, że wysłannicy Edenu odwiedzają co pewien czas Ziemię i nadejdzie chwila, kiedy przyniosą zbawienie reszcie ludzkości. W pierwszym rzędzie tym, co będą umieli porozumieć się z wysłannikami Edenu – dzięki przestudiowaniu ksiąg, jakie pozostawili po sobie na Ziemi Felicytianie.

Tak więc, kiedy dysydenci widzieli Felicytian jako niematerialnych, obojętnych turystów zwiedzających egzotyczne, dzikie Duro, to Badacze Pism wyobrażali ich sobie jako aniołów czyniących cuda.

Widać też, że pomiędzy Badaczami Pism a dysydentami istniała specyficzna zależność. Dysydenci podświadomie, a czasem zupełnie otwarcie, podzielali nadzieje Badaczy Pism – znajdowało to swój wyraz na przykład w przejmowaniu ich obrazowego nazewnictwa (Felicitas), a Badacze Pism poszukiwali w rozważaniach dysydentów podniety do snucia własnych mistycznych wizji.

Agenci tajnej policji Duro sprzyjali zbliżaniu się obu grup do siebie. Ich stopienie w jedno oznaczałoby przecież ostateczny zanik myślenia scjentystycznego. Jednak i mistyka Badaczy stanowiła zagrożenie dla stabilności Duro.

Ideologia Duro głosiła, że właśnie tu, na terenie imperium, zrealizowano marzenie ludzkości o Tysiącletnim Królestwie, należy zatem użyć wszelkich sposobów, by zachować i utrwalić istniejący stan rzeczy. Władcy Duro zdawali sobie sprawę, że rzeczywistości społecznej nie udaje się zamrozić w absolutnym bezruchu, tak samo jak nie można wyeliminować atomowego ruchu molekuł, nawet w temperaturze zera absolutnego. Podobnie w życiu społecznym – nieruchomość może być zagwarantowana jedynie poprzez kontrolowane ruchy odbywające się wokół położenia równowagi. Wyczuwając instynktownie tę prawidłowość władcy Duro inscenizowali co jakiś czas wielkie kampanie pozorujące zmiany. Miały one kanalizować energię wstępujących w dorosłe życie kolejnych pokoleń tak, by nie objawiła się w postaci destrukcyjnej siły destabilizującej porządek społeczny. Po olbrzymiej mobilizacji propagandowej, połączonej zazwyczaj z gwałtownymi prześladowaniami wybranej mniejszości – zwykle (chodziło o mniejszość, która mogłaby, chociażby teoretycznie, dać oparcie ruchom niezależnym od państwa, lub była względnie obojętna wobec zabiegów propagandowych ideologów Duro) – następował stopniowo zanik sztucznie rozhuśtanych emocji, aż do zwykłej apatii konserwowanej beznadziejną rzeczywistością, otępiającą propagandą i terroryzmem, który w okresach względnego spokoju krył się pod maską zwykłych działań policyjnych. Zaś najgorliwsi z prześladowców, bo donosiciele i aktywiści ruchu, przejmowali często mienie prześladowanych wysyłanych do obozów koncentracyjnych. W ten właśnie sposób historia Duro przechodziła powtarzające się, bliźniaczo podobne cykle. Po każdym takim cyklu społeczeństwo Duro znajdowało się na niższym szczeblu cywilizacyjnym. Zmiany te były bardzo powolne i niewielu ludzi zdawało sobie z nich sprawę. Oficjalnie panował Złoty Wiek powszechnego szczęścia, a historia, to odbicie nieskończoności i wieczności, odmierzana była jedynie monotonnym cyklem pór roku.

Porucznik Dawid Bohl awansował do stopnia kapitana, kiedy opadła fala represji skierowana przeciwko aniołom.

Tym razem ideologowie Duro postanowili uderzyć w samo jądro wierzeń Badaczy Pism, wywrócić je na nice i wykorzystać dla własnych celów. Badacze Pism wierzyli, że Felicytianie opuszczają co jakiś czas Eden i odwiedzają Ziemię, by w anielskiej postaci wspomagać mieszkańców Duro, przygotowując ich jednocześnie na nadejście prawdziwego Królestwa Bożego. Krążyły wśród nich świadectwa cudownych kontaktów z aniołami, które opisywane były jako istoty niezwykle dobre, piękne i delikatne. Ponieważ dawni oficjalni wrogowie Duro zniknęli, bo według wierzeń Badaczy, przenieśli się w szczęśliwe zaświaty, więc propagandyści Duro postanowili tak samo przenieść obraz wroga w rejony pozaziemskie.

Tak więc anielskie istoty Badaczy zmieniły się w złośliwe, krwiożercze demony nieustannie usiłujące sprowadzić nieszczęścia na Duro, a Badacze Pism przekształcili się tym samym w wyznawców Diabła.

Posunięcie władców Duro nie było zimne i wyrachowane. Wielu zaczęło ulegać wpływom wierzeń Badaczy, a potencjalne zagrożenie, jakie stanowiła dla ich kasty nowa religia, spowodowało tę szczególną inwersję.

Rozpoczęło się wielkie globalne polowanie na Badaczy i anioły.

O ile można było znaleźć dowody na to, że ktoś jest Badaczem (czasem wystarczył w zupełności donos), to udowodnienie komuś, iż jest aniołem, mogłoby się wydawać zadaniem znacznie trudniejszym. Jest to jednak przekonanie błędne. Opublikowano szczegółowe zestawienie cech, które wskazywały na anielskie pochodzenie. Należy do nich: długi prosty nos, duże oczy, staranny i uprzejmy sposób wysławiania się, unikanie alkoholu i słowa „kurwa", opanowanie, czyste ubranie, okulary, czytanie książek, nieczytanie gazet; u kobiet – wyróżniająca się uroda, u mężczyzn – grzeczność i brak agresywności, skłonność do zamyślania się i wpatrywanie się w niebo i w ogóle wyróżnianie się w czymkolwiek.

Autor opracowania zastrzegł się, że nie wszystkie wymienione cechy są złe same w sobie – na przykład skłonność do popatrywania w niebo. Jednak jest bardzo prawdopodobne, że ludzie, którzy wykazują się powyższymi cechami mogą być wysłannikami diabła, dlatego też należy niezwłocznie powiadamiać o nich władze. Za każde potwierdzone doniesienie obiecywano według życzenia: żelazko, litr wódki albo kilogram cukru.

W takich oto dekoracjach odbywa się wędrówka kapitana Bohla po czyśćcu Eternitas, jednego z największych miast imperium Duro.

Wielka fala aresztowań przygasła już, a kapitan Dawid Bohl ciągle tropił odmieńców. W kalekim, szarym i brzydkim tłumie ludzi o kartoflanych nosach i kaprawym, zasnutym mgłą wzroku, Bohl wypatruje człowieka, w którego oku dostrzeże tę niezwykłą, ekscytującą iskrę człowieczeństwa i boskości.

Wiele lat temu Bohl przeżył olśnienie, które określiło w dużym stopniu dalszy bieg jego życia. W owym czasie Bohl był oficerem śledczym jednego z departamentów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Brał udział w przesłuchiwaniach i chociaż tortury nie były jego specjalnością – absolwenci szkół policyjnych przechodzili odpowiednie podyplomowe kursy w tym zakresie – stykał się z nimi na co

dzień. Z przykrością stwierdził u siebie brak odpowiednich predyspozycji psychicznych. Ukrywał starannie swoją rzadką i wstydliwą słabość, ale po pracy sięgał coraz częściej po alkohol i narkotyki, by wytłumić w sobie niepokój i jakoś zapełnić pustkę. Alkoholizm był plagą gnębiącą społeczeństwo Duro, a pracownicy policji i wojskowi, ze względu na odpowiedzialność, jaka na nich spoczywała i towarzyszące ich pracy napięcie, byli szczególnie podatni na pijaństwo. Coraz bardziej były też wśród nich popularne narkotyki, chociaż kierownictwo, przymykające oczy na pijaństwo („człowiek musi się jakoś odprężyć"), z całą surowością walczyło z narkomanią w szeregach policji i wojska, bezwzględnie eliminując narkomanów. Mimo tego narkotyki nie były obce Bohlowi.

Pewnego późnego wieczoru odwiedził go dobrze zbudowany wysoki mężczyzna.

Bohl leżał w ubraniu na tapczanie i chrapał, kiedy czyjaś niezwykła i odświeżająca obecność wyrwała go z głębokiego snu bez marzeń. Przebudzenie było przyjemne i ekscytujące, chociaż Bohl odnalazł się w swoim zagraconym, zaśmieconym mieszkaniu. Przez brudne szyby wpadało do pokoju sine światło księżyca, ale nie było to jedyne światło w pokoju.

Człowiek, który znalazł się w pokoju Bohla – przecież drzwi były z całą pewnością zamknięte, pomyślał Bohl – otóż człowiek ten otoczony był świetlistą aureolą.

Miał szlachetną smutną twarz z dużymi oczyma i prostym długim nosem, długie włosy spadały mu na ramiona. Ubrany był w długą białą szatę, i to właśnie ona zdawała się wydzielać z siebie świetlistą aureolę.

Bohl oniemiał i patrzył z zachwytem i przerażeniem na przybysza, z otwartymi szeroko ustami. Przybysz uśmiechnął się do niego. Uśmiech był bardzo szczególny, bowiem nie było w nim ani krzty ironii czy złośliwości. Bohl nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego. Gdyby dane mu było widzieć uśmiech kochającej matki, która obejmuje ze spokojem i miłością swoje łkające dziecko, to być może uśmiech przybysza przypomniałby mu ów uśmiech macierzyński.

– Nie bój się – powiedział przybysz głosem, który był jak smutna i zatykająca oddech w piersi muzyka. – Wiem, że nadejdzie chwila, kiedy będziesz mnie bardzo potrzebował. Będziesz cierpiał, ale ja będę cierpiał razem z tobą. Wtedy wezwiesz mnie i spotkamy się znowu. Ale wprzód musi dopełnić się twoje przeznaczenie.

Bohl krzyknął. Zrozumiał, że oto stoi przed nim jedna z istot, które opisywała instrukcja wydana przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Wprawdzie setki razy miał do czynienia z ludźmi, którzy w toku śledztwa przyznawali się do tego, że są aniołami, jednak dotąd ani razu nie spotkał się z tak ewidentnym przypadkiem.

„Tego to nie trzeba będzie nawet przesłuchiwać", pomyślał Bohl i chciał wstać z tapczanu, by wylegitymować nieznajomego. W tym momencie zjawa zniknęła i Bohl został sam z obrzydliwym smakiem w ustach, bólem głowy i światłem księżyca padającym na smętnie puste butelki.

Poczuł też dojmujący, duszący smutek i żal, obce mu w takim natężeniu i jakości. Był samotny i opuszczony, zniknięcie gościa odczuł w tej chwili jako nieznośną stratę niweczącą sens jego życiá – i zaczął szlochać.

Od tego dnia nigdy już nie odzyskał spokoju ducha.

Bohl stara się nie wygadać przed nikim ze swego przeżycia. Wprawdzie władze dopuszczały możliwość istnienia aniołów – w przeciwnym razie jak można by je ścigać, aresztować, przeprowadzać śledztwo i wykonywać na nich wyroki śmierci? – to przecież Bohl niejasno czuł, że jego opowieść musiałaby wzbudzić wiele zastrzeżeń u ewentualnego słuchacza. Dlaczego on, oficer tajnej policji, nie zatrzymał podejrzanego? Jak to się stało, że cechy wskazujące na niezwykłość przybysza były tak wyraziste, aż szokujące? Wszak wiadomo, że demony, usiłujące zdobyć zaufanie swoich ofiar, starały się raczej ukryć swoje pochodzenie. Czyżby Bohl wzbudził w przybyszu z jakichś względów zaufanie? Właściwie fakt, że Bohl nie aresztował go, potwierdzałoby tę hipotezę. Widać więc, że Bohl nie mógł nikomu wyjawić tego, co się stało, bez narażenia osobistego bezpieczeństwa. Usiłuje też zachować w tajemnicy swoje nocne wyprawy.

Żyje już tylko jedną nadzieją – że uda mu się odnaleźć niezwykłego człowieka. Czego się po nim spodziewa? Czy to spotkanie może zmienić jego życie? Bohl nie kieruje się przesłankami racjonalnymi, powoduje nim nieodparte uczucie tęsknoty i utraty czegoś niezmiernie cennego i jedynego. W czasie swoich wędrówek przeistacza się stopniowo. Traci panowanie nad swoimi emocjami, staje się miękki i wybucha czasem płaczem bez żadnego powodu. Koledzy uważają, że popadł w chorobę psychiczną. Najpierw przeniesiony na podrzędne stanowisko, potem, po awanturze z przełożonym (świetna scena ilustrująca zdolności Boggisa do wyrażania znaczeń tragicznych poprzez groteskowe przerysowanie i psychologiczny detal – oto Bohl przekonuje swego przełożonego, że jest aniołem i składa sam na siebie donos), zostaje wyrzucony z policji i otrzymuje skromną rentę inwalidzką. Nie powstrzymuje go to od dalszych poszukiwań. Tylko dobra opinia, jaką zdobył sobie wieloletnią nienaganną służbą chroni go przed skutkami jego ekscentrycznego zachowania.

Wreszcie odnajduje nieznajomego. Napadnięty przez bandę młodocianych opryszków, dla zabawy pobity i pokłuty nożami, leży nieprzytomny w ciemnej bramie cuchnącej moczem. Wyczołguje się na ulicę i woła o pomoc. Przed jego stygnącymi oczyma przesuwa się widmowy orszak. Na jego czole widzi nieznajomego z trudem dźwigającego krzyż, z cierniową koroną na głowie. Wokół korowodu tańczą dziwaczne maszkary – ludzie z głowami świni, zająca, lisa i barana. Maszkary szydzą z człowieka zgiętego pod ciężarem krzyża, jednak nie śmią go tknąć. Na jego twarzy Bohl widzi straszne cierpienie. Mimo tego nieznajomy spostrzega leżącego na bruku człowieka i uśmiecha się doń, tym samym dziwnym i kojącym uśmiechem.

Boggis nie odsłania się ani na chwilę – nie wiemy do końca, czy traktuje poważnie fantazje Badaczy o aniołach i Edenie, nie wiemy też na ile są prawdopodobne, w świecie wykreowanym w „Zagładzie aniołów", hipotezy dysydentów dotyczące wizyt gości z innych wymiarów. To, co widzi umierający Bohl, może być przez nas potraktowane jako majaczenie stygnącego mózgu, albo jako objawienie i zapowiedź raju. Może być też i jednym i drugim, i pewnie w taką wieloznaczność mierzył Boggis kończąc swą opowieść o Bohlu-Judaszu poszukującym swego Chrystusa.

Janusz Cyran

Janusz CYRAN

Urodził się 20 stycznia 1959 roku w Rybniku. Studiował fizykę na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Pracuje jako programista w Ośrodku Informatycznym. W „Fantastyce" 11/88 publikowaliśmy jego ciekawą fikcję teologiczną „Jeruzalem". W liście do redakcji dotyczącym kolejnego tekstu, który trzymam w teczce, tak pisze Cyran o wybranej przez siebie konwencji, podjętej wcześniej przez Lema w „Doskonałej próżni": *Gdybym nawet nie znał pewnych rzeczy Lema ani nigdy nie czytał Borgesa, to i tak temat zmusiłby mnie do szukania podobnego formalizmu. Ani w „Czyśćcu", ani w tym opowiadaniu („Młyny Boże") nie myślałem o naśladownictwie, ale wyłącznie o tym, by wyrazić to, co chodziło mi po głowie.*

*

Wybrana przez Cyrana konwencja omawiania nie istniejącej książki (można sobie wyobrazić – także filmu, spektaklu, happeningu, opracowania naukowego) wydaje się poręczna i pojemna dla wyrażenia w skondensowanej formie poglądów autorów. Gdyby paru jeszcze przedstawicieli trzeciej i czwartej generacji zechciało się zabawić podobnie, można by skonstruować zgrabną antologię prezentującą w mniejszym stopniu możliwości artystyczne nowej polskiej SF, w większym stopniu jej zainteresowania i pasje intelektualne oraz jej nie spełnione marzenia. Pomysł takiej antologii chodzi za mną od pewnego czasu i gdyby sprawa doszła do skutku, gotów jestem dorzucić do takiego tomiku parę swoich kawałków. Rzecz wydaje się kusząca, ponieważ umożliwia powiedzenie wielu ważnych rzeczy bez konieczności mnożenia stron, na których pisanie (i czytanie) nie mamy dziś czasu. Zainteresowanych autorów proszę o szybki odzew. (mp)

Jacek Sawaszkiewicz

Lot

o

Trzmiela



Rysunki Jacek Górski

Obywatel Trzmiel posuwał się wraz z kolejką w stronę trapu, który łączył płytę kosmodromu z wejściem do planetobusu. Miał bilet, plecak i był szczęśliwy.

Wszyscy w kolejce byli szczęśliwi. Szczęście przecinało kosmodrom długą kolejką wycieczkowiczów.

Obywatel Trzmiel pokonał trap i znalazł się w śluzie, gdzie w czterech kątach stały zbiorniki, a po ścianach biegły przewody pokryte smarem. Zbiorniki ociekały olejem, od przewodów biła woń przegrzanej izolacji.

Obywatel Trzmiel podał swój bilet mężczyźnie w uniformie, który wrzasnął:

– Kondygnacja dziewiąta! – i wypchnął go na korytarz.

Na korytarzu znajdował się szyb windy i biegły wokół niego kręte metalowe schodki. Winda była nieczynna, więc obywatel Trzmiel skorzystał ze schodków. Dotarł nimi na wskazaną kondygnację.

Miejsce obywatela Trzmiela było już zajęte, ale jacyś mężczyźni o spoconych twarzach ścisnęli się na ławce i zrobili mu inne miejsce, obok siebie.

Potem przy suficie zaskrzeczał głośnik:

– Wit... ...decznie państwa na ...kładzie ...busu – i padły nazwy planet.

Obywatel Trzmiel domyślił się, że to kapitan zapowiada początek podróży. Serce zabiło mu żywiej.

Ponieważ pas przy ławce był zerwany, obywatel Trzmiel chwycił się z sąsiadami pod ramiona i czekał na start. Ryknęło, posadzka podskoczyła, zadygotała agonalnie i opadła z powrotem.

Ciekawy głos z przodu spytał, czy już lecą. Z odpowiedzią pośpieszył głośnik:

– Odblokuj... tam... mulec ręczny, do ...snej .. .olery! – i po chwili planetobus opuścił jonosferę.

Wycieczkowicze wydobyli z toreb kanapki, jaja, pomidory i termosy. Pili, żeby się rozgrzać przed spacerem po zimnym Księżycu.

Obywatel Trzmiel wypił także i w ten sposób zawarł bliższą znajomość ze swoimi sąsiadami. Po godzinie, zarówno on, jak i jego sąsiedzi, zgodnie postanowili darować sobie spacer po powierzchni Księżyca, zwłaszcza że postój miał tam potrwać tylko tyle, ile potrzeba na zrobienie zdjęć pamiątkowych.

Kiedy opuścili tego satelitę Ziemi, obywatel Trzmiel zatarł ręce na myśl o spotkaniu z Wenus. Okazało się jednak, że jest to:

– ...aneta zbyt gorą..., a pancerz ...tobusu jest nad... – ężony tarciem o atmosferę... ężyca i może się roz...cieć – w związku z czym załoga zmieniła trasę lotu.

Wszystkich naturalnie ogarnęło oburzenie.

Obywatel Trzmiel tymczasem otworzył folder, żeby sprawdzić, gdzie wypadnie im następny postój. Z rozkładu w folderze wynikało, że wypadnie on kolejno na Jowiszu i na Marsie. Obywatel Trzmiel poinformował o tym sąsiadów. Jeden z nich, najlepiej zorientowany, zaproponował, żeby spacer po powierzchni Jowisza także sobie darować, ponieważ jest to planeta o nieprzyjemnie dużej grawitacji. Propozycja została przyjęta.

Kiedy Mars zajmował połowę ekranów, wycieczkowicze zaczęli się szykować do wyjścia na zewnątrz. Kapitan wszakże ani myślał lądować, ponieważ:

– Mars ...nęliśmy już ...wno temu, a to, co wi..cie jest, do jasnej ...lery, Jo...szem – i podwoił prędkość podróżną.

Obywatel Trzmiel zajrzał ponownie do folderu, przewertował go uważnie i stwierdził, że folder został źle sklejony i Mars, zamiast na szesnastej stronie, znalazł się na osiemnastej, zaraz po Jowiszu.

Wszystkich naturalnie ogarnęło rozgoryczenie.

Obywatel Trzmiel wyjął z plecaka dwa termosy i poczęstował sąsiadów. Wspólnie z nimi gruntownie zapoznał się z treścią folderu. Uwzględniwszy poprzestawiane strony doszli do wniosku, że następny postój wypadnie na Merkurym, planecie małej i

na, w dodatku żeńska, ponieważ w pozostałych dziesięciu zapchały się piony kanalizacyjne. Obywatel Trzmiel stanął więc na końcu koedukacyjnego ogonka i zaczął liczyć. Wyszło mu, że będzie musiał czekać ponad godzinę, nawet jeżeli każda z osób ograniczy czas załatwiania swojej potrzeby do jednej minuty.

Obywatel Trzmiel po namyśle zszedł na najniższą kondygnację i kucnął pod pancernymi drzwiami, na których widniał groźny napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO! PROMIENIOWANIE PRZENIKLIWE! Obywatel Trzmiel nie był tu pierwszy.

Kiedy wrócił, zastał tylko jednego ze swoich sąsiadów, dwaj pozostali zniknęli. Część wycieczkowiczów spała, część rozeszła się po zakamarkach planetobusu w poszukiwaniu świeżego powietrza. W odległym kącie jakieś dziecko domagało się nocniczka.

– Kto wam ...zwolił ...rać pod drzwiami maszy.,.wni, do ...snej cholery?! – zapytał kapitan.

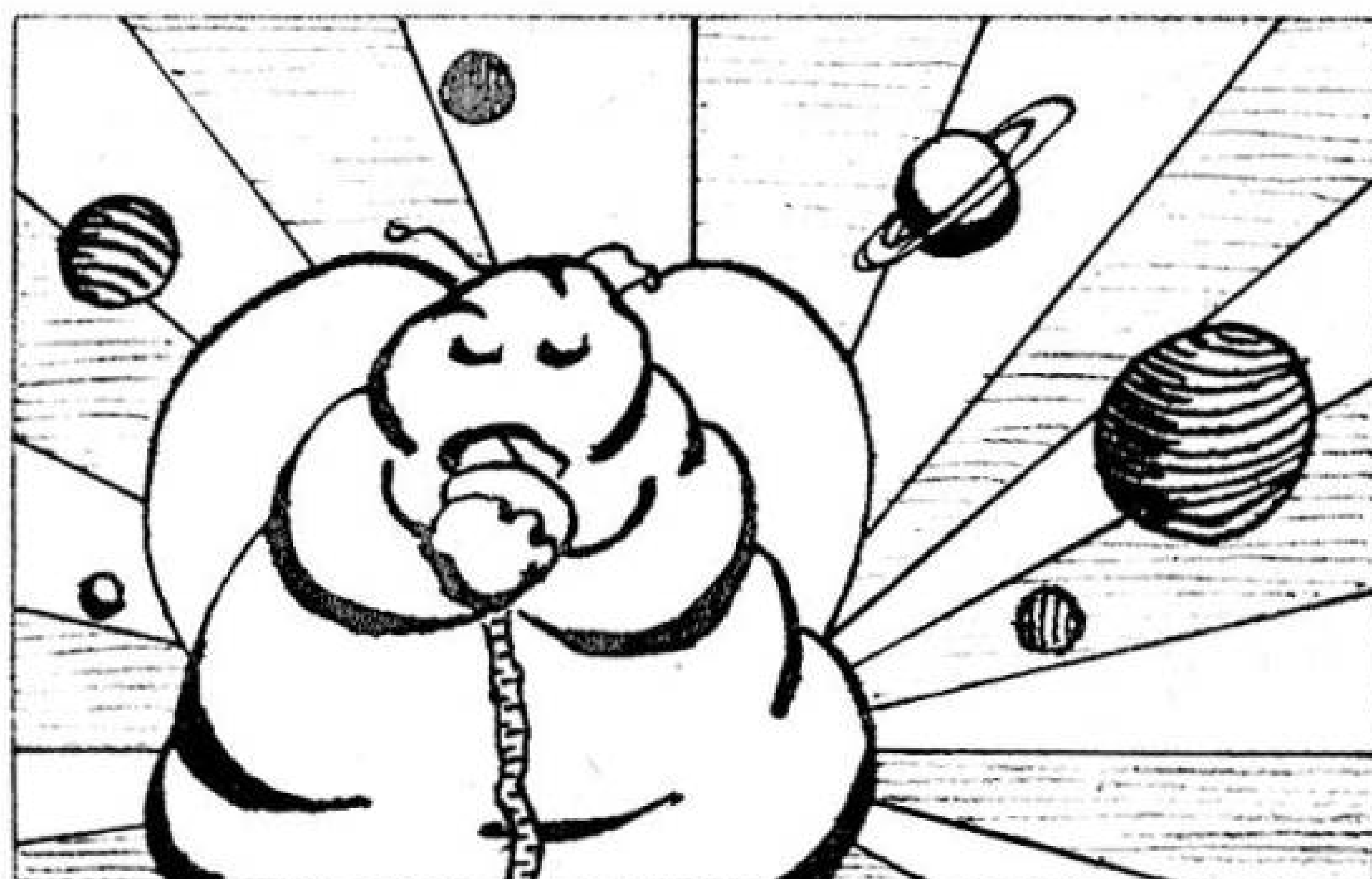
– Ja! – odpowiedział mu radiotelegrafista.

Podtrzymywany z obu stron przez brakujących sąsiadów obywatela Trzmiela szedł lekkim skosem, niosąc dwulitrowy kanister. Jakoś dotarli oni do swoich miejsc i obywatel Trzmiel dowiedział się, że przed kwadransem planetobus minął Saturna.

– Nigdy się tam nie zatrzymujemy – wyjaśnił radiotelegrafista. – O tej porze pasażerowie mają już po dziurki w nosie całej podróży – i zdjął nakrętkę z kanistra.

Wszyscy naturalnie wyrazili swoją dezaprobatę.

Kanister wypełniony był paliwem jednego z awaryjnych silników. Radiotelegrafi-



wyjątkowo ciepłej. Wiadomość ta uradowała siedzące opodal panienki.

Około północy przyszedł radiotelegrafista, budząc chrapiących pasażerów.

– Zdaje się – powiedział – że są jakieś zakłócenia w łączności wewnętrznej. Będę za przewodnika. Na razie życzę wszystkim dobrej nocy – i sam wyciągnął się w przejściu między fotelami, na dmuchanym materacu.

Jedna z panienek zapytała, czy na Merkurym można się będzie trochę poopalać, na co radiotelegrafista odparł, że teraz lecą w kierunku Saturna, gdzie słońca prawie nie ma.

Wszyscy naturalnie poczuli się zawiedzeni.

Obywatel Trzmiel ze zdenerwowania wyszedł do toalety. Czynna była tylko jed-

sta twierdził, jakoby ubytek w zbiornikach żadną miarą nie miał wpływu na przebieg lotu. Twierdził to z autopsji. Po jakimś czasie, dla poparcia tej tezy, poszedł powtórnie napełnić kanister.

Kiedy obywatel Trzmiel ocknął się ze snu, czuł każdą komórkę organizmu. Wokół niego panowało radosne podniecenie, wycieczkowicze przepychali się do wyjścia, więc razem z innymi podążył ku śluzie. Wspomagany przez swoich sąsiadów zszedł po trapie i rozejrzał się.

Przed nim obarczeni bagażem szli pasażerowie, wszyscy szczęśliwi, kierując się w stronę portu Linii Międzyplanetarnych. Obywatel Trzmiel stał nieruchomo na pustoszejącej płycie kosmodromu i przecierał oczy.

Obywatel Trzmiel ukończył swój lot.

Szkodniki



Leżeliśmy na plaży. Nieodległy szum Wielkiej Wody usypiał wyobraźnię.

– Spójrz – powiedział kolega w pewnej chwili. – Człowiek.

Pół kroku przed nami coś ubranego w niebieski kombinezon i przezroczysty hełm gramoliło się między grudkami piasku.

– Coraz więcej tego – zauważyłem. – Niektórzy mówią, że człowieki przylatują do nas z kosmosu.

– Ludzie – sprostował kolega siadając na kocu. – Liczba mnoga od człowieka to ludzie.

– Mniejsza – powiedziałem. – Podobno kiedyś tego nie było.

– Mój dziadek twierdzi, że to się bierze z nadużywania herbicydów – oświadczył przyjaciel. – Któraś generacja owadów zdołała się uodpornić i uległa mutacji.

Umilkliśmy na chwilę. Człowiek ciekawie popatrywał dokoła. Poruszanie się na dolnych odnóżkach wyraźnie sprawiało mu trudność. Od czasu do czasu pomagał sobie górnymi.

– Jeden mój znajomy – podjął kolega – kolekcjonuje ludzi. Nadziewa ich na szpilki i umieszcza w gablotach. Po wyschnięciu i zmumifikowaniu wyglądają bardzo efektownie.

– Może powyrywamy mu nóżki – zaproponowałem dla zabawy. – Albo ukręcimy łebek. Zobaczymy, jak będzie sobie dawać radę.

– Nie lubię znęcać się nad stworzeniami, nawet jeśli są to szkodniki – powiedział kolega.

Patyczkiem obrócił człowieka na wznak i oddał się obserwacji. Człowiek śmiesznie zamachał kończynami, a potem ostrożnie wdrapał się na patyczek.

– Jaki zmyślny – zauważyłem. – Wie, że po tym będzie mu się lazło wygodniej.

Dalszą rozmowę przerwało nam nadejście dezynsektora.

– Co tam macie? – spytał.

– Człowieka – odparł przyjaciel.

Dezynsektor ukląkł przy nas. Delikatnie uniósł patyczek i strzepnął człowieka do przezroczystego woreczka, w którym znajdowało się już kilka sztuk.

– Kolekcjonuje pan? – spytałem.

Dezynsektor zaprzeczył.

– Robię na nich nalewkę – wyjaśnił.

Kolega poruszył się niespokojnie.

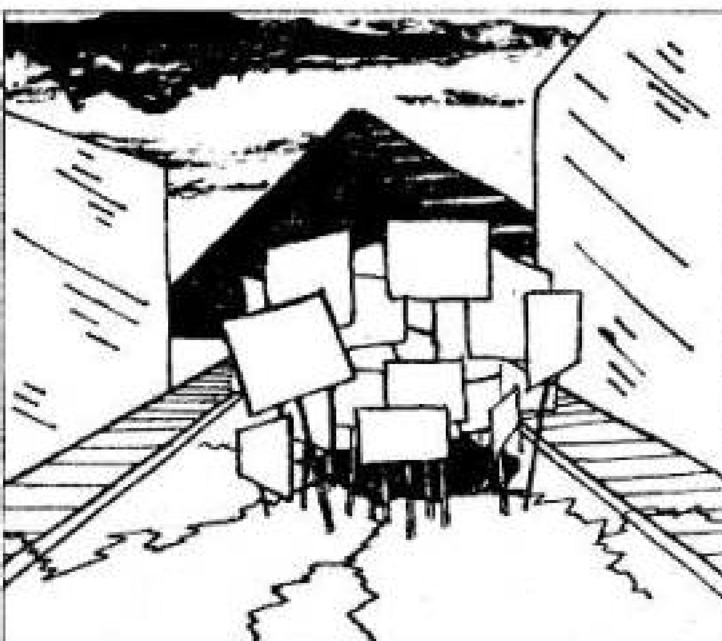
– Ale on jest nasz – zaprotestował słabo.

– Pozornie – odrzekł dezynsektor.

I miał rację.

Do niego bowiem należało usuwanie szkodników z plaży i z wydm. Tak mówiły przepisy, których był strażnikiem

Dziura



Dziś nikt już nie pamięta, w jakich okolicznościach powstała Dziura. Zrobiła się z dnia na dzień, zapewne którejś nocy. Kiedy odkryli ją pierwsi przechodnie, zionęła przepastnie, dwumetrową średnicą – pośrodku jezdni.

Dziura przyciągała i wabiła swoją sekretną egzotyką. Intrygowała nas jej głębokość, toteż wrzucaliśmy do niej kamyczki oraz różne przedmioty, mierząc czas, po jakim z Dziury dobiegnie stukot czy może plułśnięcie. Dziura wchłaniała wszystko i milczała.

Wchłonęła także pewnego poetę, który chciał napisać o niej balladę. Jego krzyki słyszano jeszcze nazajutrz wieczorem – tak głęboka była Dziura.

Po miesiącu przybyli do nas różni specjaliści wyposażeni w nowoczesny sprzęt. Spuścili się do Dziury jeden po drugim. Nie wyszedł z niej żaden.

Po następnych paru miesiącach postanowiono Dziurę zasypać. Sypano w nią na przemian kamienie, piasek, żwir, gruz i szlakę; lano wodę, wapno, cement. Ale Dziura pozostała Dziurą, nadal budząc sensację. Od rana do nocy wokół niej gromadzili się ludzie i zaglądali do środka w nabożnym skupieniu i z respektem. Sporadycznie ktoś do Dziury wpadał i wtedy niektórzy przebąkiwali, żeby z Dziurą zrobić porządek.

Kiedy wpadł do niej synek naczelnika, Dziurę założono płytami betonowymi. Wkrótce płyty runęły. Następnie – zbrojone stalą – wytrzymały niewiele dłużej. Wszystko, czym Dziurę zakrywano, znikało w niej bez śladu.

Na temat pochodzenia Dziury ludzie snuli domysły coraz bardziej niewiarygodne, o treściach fantastycznych, mistycznych, a nawet wrogich ustrojowi. Gwałtownie wzrastała też liczba osób wierzących w posłannictwo Dziury.

Któregoś ranka obok Dziury pojawiła się tablica z napisem: „Tu żadnej dziury nie ma!" Żeby dowieść słuszności napisu, przez Dziurę przeprowadzono zebrę dla pieszych. Z zebry tej mało kto korzystał, wszelako zainteresowanie Dziurą trochę zmalało. Głupio jest przecież ni stąd, ni zowąd zatrzymać się na jezdni i wlepić wzrok pod nogi, tam gdzie niczego ciekawego do oglądania nie ma – o czym zapewnia urzędowa tablica. Zresztą za taką niefrasobliwość służby porządkowe karały mandatem.

Co jakiś czas ktoś z mieszkańców wprawdzie przepadał bez wieści, ale ileż to ludzie na świecie ginie w tajemniczych okolicznościach!

Po pewnym czasie Dziura zaczęła dymić. Parę dni później, o wyznaczonej godzinie, część z nas udała się w kierunku Dziury. Każdy taszczył tablicę, na której widniał zdecydowany napis: „Tu nic nie dymi" i postawił ją w wybranym miejscu, na obrzeżu Dziury.

Istotnie, zza tablic tych dymu jakby nie widać. Tyle, że czuć swąd.

No więc trzeba będzie wykonać następne tablice.

Jacek SAWASZKIEWICZ

Urodził się w Szczecinie, w 1947 roku. Obecnie mieszka w Stargardzie Szczecińskim.

Debiutował na łamach „Szpilek" w 1972 r. Przez wiele lat współpracował z „Karuzelą" i Rozgłośnią Polskiego Radia. Jego twórczość oscyluje od satyry, poprzez groteskę, horror i fantastykę, do prozy realistycznej.

Jest laureatem kilkunastu konkursów literackich. Swoje utwory drukował w almanachach, a także na łamach „Nurtu", „Młodego Technika", „Odgłosów", „Morza i Ziemi", „Spojrzeń", „Politechnika", „Jantaru", „Nowej Wsi", „Razem". „Sztandaru Młodych", „Rzeczywistości", „Nike", „Prometeja", „Gospodyni", „Wiraży", „Konstrukcji", „Zdrowia i Trzeźwości", „Kontaktów", „Kuriera Szczecińskiego". Napisał bez mała 300 krótkich utworów, z których kilkadziesiąt zostało przełożonych na język angielski, niemiecki, francuski, węgierski, czeski, słowacki, rosyjski, łotewski i estoński.

W formie książkowej opublikował: „Czekając", „Mój tatko", „Sukcesorzy" (II wydania), „Przybysz", „Katharsis", „Manekin", „Tatko i ja", „Kronika Akaszy: Inicjacja. Skorupa astralna. Metempsychoza. Powtórka z Apokalipsy" (II wydania), „Eskapizm", „Mistyfikacja", „Z moim tatkiem", „Między innymi makabra", „Wahadło, „Na tle kosmicznej otchłani", „Mój tatko i cała reszta", „Stan zagrożenia".

Sporadycznie zajmuje się krytyką literacką.

W roku 1978 otrzymał nagrodę Ogólnopolskiego Konwentu Klubów SF za najlepszy debiut – zbiór opowiadań „Czekając", rok później zaś nagrodę za najlepszą powieść – „Sukcesorzy". Otrzymał też dwa „Złote Exlibrisy" – w roku 1983 za dwie pierwsze powieści cyklu „Kronika Akaszy" oraz w roku 1986 za najpoczytniejszą książkę 40-lecia, za którą uznano całą tetralogię pod wyżej wymienionym tytułem.

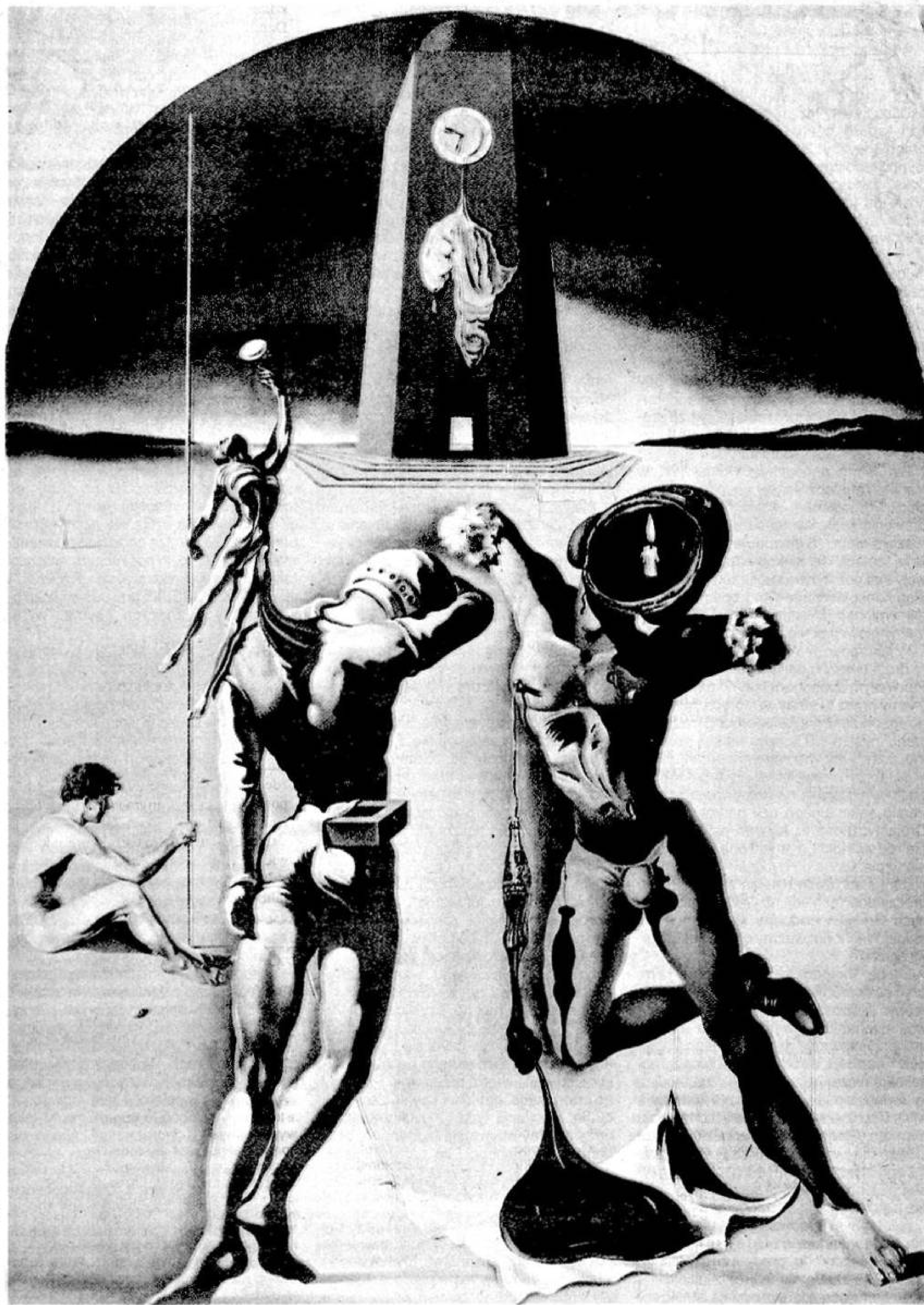
W roku 1984 uhonorowany został Nagrodą Wojewody Szczecińskiego za działalność w dziedzinie upowszechniania kultury. Dwa lata później przyznano mu Honorową Odznakę za zasługi dla rozwoju ruchu społeczno-kulturalnego i Srebrny Krzyż Zasługi. Jest także wyróżniony odznaką „Gryfa Pomorskiego".

Należy do Związku Literatów Polskich, Związku Polskich Autorów ZAKR, Stowarzyszenia Autorów ZAIKS i Klubu Autorów Krajowej Agencji Wydawniczej. Jest również członkiem The International Biographil Centre – z siedzibą w Cambridge.

I to by było z grubsza tyle.

Jacek Sawaszkiewicz

Dalí



W masie tworzymy społeczeństwo zadowolone, które ani myśli się wysilać, aby żyć odrobinę niewygodniej, ale godniej. (...) Tak że analogia z hodowlą jest tu jak najbardziej na miejscu. Kurnik pełen ptactwa, chlew pełen tuczników – oto czym jesteśmy.
Marek Oramus – „Dzień drogi do Meorii"

Dystopia: ucieczka od wolności?!

Jacek Inglot

W swojej „Ucieczce od wolności" Erich Fromm sformułował pewne – będące zasadniczym dla moich tu rozważań – spostrzeżenie: że człowiek bardziej pragnie wyzbyć się swojej wolności niźli jest do tego zmuszany. Brzmi to jak paradoks, zwłaszcza w tej części Europy, gdzie od paru dziesiątek a może nawet setek lat „wolność" jest obsesyjnie poszukiwanym ideałem. Wolność wydaje się być jednym (może najważniejszym) z najbardziej czczonych abstraktów społecznych, którego materialnej realizacji zda się wszyscy pożądają. W tym kontekście właśnie tytułowa „ucieczka od wolności" brzmi co najmniej dziwnie. Zaskakuje szczególnie założona w tym dobrowolność – ucieczka następuje zwykle, gdy dana rzecz lub zjawisko zostanie zinterpretowane jako zagrożenie. Czymże grozi, wedle Fromma, wolność istocie ludzkiej? Przede wszystkim samotnością.

Byt istoty prawdziwie wolnej jest w pierwszym rzędzie bytem osobnym. Psychicznym skutkiem wolności jest uświadomienie sobie dystansu między sobą a resztą świata, co powoduje wrażenie pewnej izolacji. To niekoniecznie musi wywoływać pozytywne skojarzenia. Fromm, idąc konsekwentnie tym tropem, utożsamił wolność z samotnością. Stąd też mamy główny powód ucieczki od niej.

W jaki sposób? Wedle Fromma są cztery drogi ucieczki od tak pojętej wolności. Pierwszym sposobem jest o r g i a. Rozumiemy przez to stany, w których dochodzi do sparaliżowania świadomości i racjonalnego myślenia. Znosząc własną świadomość znosimy tym samym poczucie wolności bądź zniewolenia; orgia polega na odrzuceniu analiz rozumowych na rzecz transu seksualnego czy narkotycznego. Orgiastyczność to sposób na „uwolnienie" od wolności, o ile jest ona bezpośrednio uzależniona od bycia świadomym. W historii ślad takich działań znajdujemy w uroczystościach dionizyjskich starożytnych Greków. Podobne stany znają też religie Wschodu, weźmy choćby buddyjską sansarę.

Drugą metodą jest k o l e k t y w i z m, czyli bezwarunkowe dostosowanie się do grupy. Jednostka, poprzez bezwarunkową, mechaniczną adaptację do otoczenia, przyjmowanie za własne jego poglądów i wartości, uwalnia się od świadomości osobniczej (własnego JA), zastępując ją świadomością grupy (czyli kategorią MY). Dla czytelnika science fiction klinicznym przykładem takiej ucieczki będzie „Pieśń dla Lyanny" George R.R. Martina („Fantastyka" 1-2/82), gdzie celem egzystencji jednostki jest przyszłe zjednoczenie z subkosmiczną, mnogą nad-jaźnią.

Następnym sposobem jest utożsamienie się z własnym d z i a ł a n i e m, całkowite pogrążenie w pracy lub tworzeniu. Następuje zlanie się twórcy z dziełem – poza tym stosunkiem przestaje istnieć cokolwiek zewnętrznego. Akt twórczy „pożera" samego twórcę, ponieważ nie pozostawia miejsca na cokolwiek innego, także na poczucie wolności.

Jako czwarty sposób na zniwelowanie w sobie wolności podaje Fromm m i ł o ś ć. Wszak intymny związek z inną osobą wymaga od nas zrzeczenia się na jego korzyść części bądź w skrajnych wypadkach nawet całego JA. W literaturze istnieje mnóstwo postaci kobiet-modliszek, specjalizujących się w psychicznym i materialnym pożeraniu partnerów (np. „Nana" E. Zoli).

Tyle Fromm. Trzy pierwsze sposoby uniknięcia stanu wolności znajdujemy – w rozmaitym natężeniu – w prawie każdej powieści dystopijnej. Nie chcę tu bynajmniej tworzyć opierając się o nie jakiejś nowej definicji gatunku; zostawiam to mądrzejszym od siebie. Właściwym tematem niniejszej dysertacji jest wolność w społeczeństwie dystopijnym, dokładniej: jaki mają do niej stosunek jego poszczególni członkowie?

Klasyczny schemat dystopii (określony już w „My" Zamiatina) zakłada istnienie w opisywanym społeczeństwie trzech zasadniczych grup: władzy (totalnej i mniej lub bardziej wszechmocnej), niepokornych (w taki czy inny sposób negujący zastany układ) i całą resztę (aprobujących bez oporów daną rzeczywistość). Ci ostatni są z mojego punktu widzenia szczególnie interesujący. Powstaje pytanie – co powoduje ich bezwarunkową zgodę na rzeczywistość?

Epikurejczycy powiadają, że szczęście oznacza pełne zaspokojenie. Z kolei człowiek jest pełen potrzeb, co stwierdzał nawet Pascal. Wniosek stąd prosty – aby otrzymać człowieka w pełni szczęśliwego, wystarczy zaspokoić jego podstawowe potrzeby albo należy mu wmówić, że się te jego potrzeby zaspokoiło. To drugie najlepiej wychodzi u Orwella („1984"), gdzie spadek konsumpcji propaganda obwieszcza jako jej wzrost. Zaś społeczeństwo najpełniej zaspokojone najlepiej przedstawił chyba Lem w „Powrocie z gwiazd". Tam człowiek jest szczęśliwy od kołyski, skutkiem zabiegu zwanego betryzacją, który czyni zeń wyzbyte agresji, łagodne cielątko (tak nb. czy słowo „betryzacja" rymuje się z „kastracja" li tylko przypadkowo?). Nie czyni się tego po to, aby tak zneutralizowanego osobnika wykorzystywać, wręcz przeciwnie – mamy do oporu jadła, napitku i kobiet, zero pracy. W rezultacie tych i innych zabiegów otrzymujemy obywatela łagodnego, bezdennie ogłupionego i co najważniejsze, p o s ł u s z n e g o, bo wszak posłuszeństwo właśnie jest ceną, jakiej się żąda za zaspokojenie.

Ciekawe jest to, że wielu autorów jakby nie wierzy, że do ubezwłasnowolnienia obywatela społeczeństwa dystopijnego wystarczy terror w razie nieposłuszeństwa i marchewka w zamian za zgodę na wszystko. Potrzebny jest jeszcze jakiś inny sposób kanalizowania niekontrolowanych odruchów – poprzez wspomnianą wyżej orgię. A że najłatwiej wywołać takową za pomocą narkotyku, toteż w wielu dystopiach szprycuje się towarzystwo co niemiara. U Huxleya („Nowy wspaniały świat") mamy specyfik o nazwie soma, u Witkacego („Nienasycenie") katatonizuje się bohaterów za pomocą damawesku B_2, Parowski w „Twarzą ku ziemi" zatruwa miejskie wodociągi afrodyzjakami itp. Orwell jest nieco bardziej wyrafinowany – tam towarzystwo rozładowuje się psychicznie na zbiorowych szowinistycznych mityngach (słynne „godziny nienawiści" i inne). W ten sposób chemia i psychotechnika dopełniają poczucia zadowolenia.

Zauważmy: w przeciętnej społeczności dystopijnej tak zwany szary obywatel w zamian za absolutne posłuszeństwo otrzymuje wszystko, czego we własnym mniemaniu potrzebuje. Pragnienia i potrzeby, których siła rządząca nie może lub nie chce zaspokoić, są z jego świadomości poprzez blokadę informacyjną skutecznie eliminowane – vide podświadome pranie mózgów u Huxleya. Tak ukształtowany człowiek jest święcie przekonany, że dane status quo to najlepszy ze światów. Ten świat daje mu poczucie bezpieczeństwa, stanowi rzeczywistość znaną i oswojoną, stąd nie widzi potrzeby zmian. Wręcz przeciwnie, możliwość jakiejkolwiek zmiany napawa go atawistycznym lękiem – o wiele łatwiej, pewniej i bezpieczniej jest dostosować się do grupy, co tak dobrze skonstatował Fromm. Ludzie ci absolutnie nie czują się skrzywdzeni, ponieważ nie wiedzą co to niesprawiedliwość, toż samo z poczuciem wolności (słynny orwellowski slogan „NIEWOLA JEST WOLNOŚCIĄ", powodujący całkowite rozmycie znaczeń obydwu wyrazów).

W gruncie rzeczy sytuacja dystopijna przypomina zamkniętą homeostazę – między władzą a społeczeństwem następuje wymiana świadczeń: posłuszeństwo w zamian za socjalne bezpieczeństwo. I dopóki ta wymiana świadczeń trwa bez zakłóceń, żadna ze stron nie jest zainteresowana zmianą. Wygląda to z pozoru paradoksalnie, ale trzeba to sobie jasno powiedzieć: ten najbardziej godny pożałowania, ubezwłasnowolniony człowieczek, stanowiący tło dystopijnych powieści, jest jak najbardziej zainteresowany w utrzymaniu swego zniewolenia. Zadomowiwszy się i urządziwszy w wydzielonej przestrzeni, nie ma najmniejszej ochoty na zmianę.

Ponieważ zmiana to przede wszystkim niewiadome. Każdy instynktownie odczuwa strach przed nieznanym, a im poziom intelektualny u danego osobnika niższy, tym obawa większa. Wykształcony intelekt pozwala to i owo przewidzieć, co nieco niweluje strach. Wyhodowany głuptak boi się dokładnie wszystkiego, czego przedtem po wielekroć nie obwąchał. Poza tym wolność – rozumiana tu jako przeciwieństwo charakterystycznego dla dystopii zniewolenia – zakłada w swej istocie wielość wyboru. Zamiast jednego sposobu bycia mamy ich całe mnóstwo, w związku z czym trzeba się na coś zdecydować, coś w y b r a ć, czyli wykazać jakąś inicjatywę. Wiąże się z tym pobudzenie procesów myślowych, zmuszenie umysłu do oceny rzeczywistości, a co za tym idzie, zburzenie olimpijskiego spokoju ducha, w jaki wtrąca brak wszelkiego

wyboru. Skutki tak pojętej wolności mogą być straszliwe – wszyscy pamiętamy historię owego osiołka, który skonał między dwoma żłobami z owsem i sianem. Ta ludowa przypowieść w genialnie prosty sposób ilustruje jedną z immanentnych cech wolności – potworną mękę wyboru. Nic też dziwnego, że przeczuwający to jakimś siódmym zmysłem człowiek dystopijny broni się przed tym rękami i nogami. Przekonał się o tym dowodnie Dzikus (NWS, Huxley), kiedy usiłował postawić przed grupą gamm nową możliwość: niebrania somy. Rozwścieczeni tym obywatele dystopii o mało go za to nie zlinczowali. Dzikus nie miał też pojęcia, że ma do czynienia z osobnikami od somy psychicznie uzależnionymi, w związku z czym mógł wywołać jedynie odruch warunkowy, a nie rozumową reakcję, na którą liczył.

Tu dochodzimy do problemu głównego bohatera dystopii. Każda homeostaza jest nieciekawa i na podobieństwo martwej natury na obrazie skupia uwagę przez moment. Społeczeństwo dystopijne, uporządkowane i wyregulowane jak zegarek, nie stanowi wdzięcznego przedmiotu opisu – już Witkacy, kończąc „Nienasycenie", stwierdził, że nie ma po co dalej pisać, ponieważ nie ma o czym. Potrzebne jest coś albo raczej ktoś, kto zburzy apollińską ekstazę zamieszkujących dystopię istot.

Zasadniczo można wyróżnić dwa główne typy bohaterów: pierwszy (jakby nieco rzadszy) dany jest spoza opisywanej dystopii, drugi wywodzi się z jej wnętrza. Pierwszy typ można spotkać np. u Huxley'a, gdzie wspomniany już Dzikus przybywa z rezerwatów i u Lema – Hal Bregg przylatuje po stu latach do uszczęśliwionej ludzkości prosto z gwiazd. Drugi rodzaj spotykamy z reszty autorów – Zamiatina, Orwella, Zajdla, Parowskiego, gdzie bohater jest częścią systemu, z którego się wyłamuje. W salomonowy sposób postąpił Oramus („Dzień drogi do Meorii"), umieszczając obydwa rodzaje bohaterów. Cóż oni porabiają?

Przede wszystkim negują zastany układ. W przypadku osobników przybyłych z zewnątrz sprawa wygląda prosto – ponieważ stoi on w jaskrawej sprzeczności z ich systemem etycznym. Dla człowieka naprawdę wolnego i (co ważne) z wolnością oswojonego sytuacja dystopijna jest nie do zniesienia. Nie potrafią być lennikami władzy – ich rozbudzonych ponad normę potrzeb, dystopia nie może zaspokoić, jako że jedną z jej naczelnych zasad jest tychże potrzeb minimalizacja. Nieco inaczej jest z bohaterem wmontowanym w system. Początkowo oglądamy dystopię jego oczyma, z punktu widzenia przeciętnego, zadowolonego obywatela. Sytuacja konfliktowa rozpoczyna się w momencie, gdy zostaną w nim wzbudzone wyższe potrzeby, których nie potrafił zaspokoić – jednocześnie odkrywa wszystkie ograniczenia systemu, do tej pory nie uświadamiane – klasyczny opis tego rodzaju zmagań dał już Zamiatin, relacjonując duchową metamorfozę numeru Δ-503. Nieco inaczej jest u Orwella – Winston szybko orientuje się w gigantycznym oszustwie, jakiemu poddano społeczeństwo, ponieważ sam je pomaga konstruować. W obu przypadkach wcześniej czy później dochodzi do buntu i próby zmiany rzeczywistości.

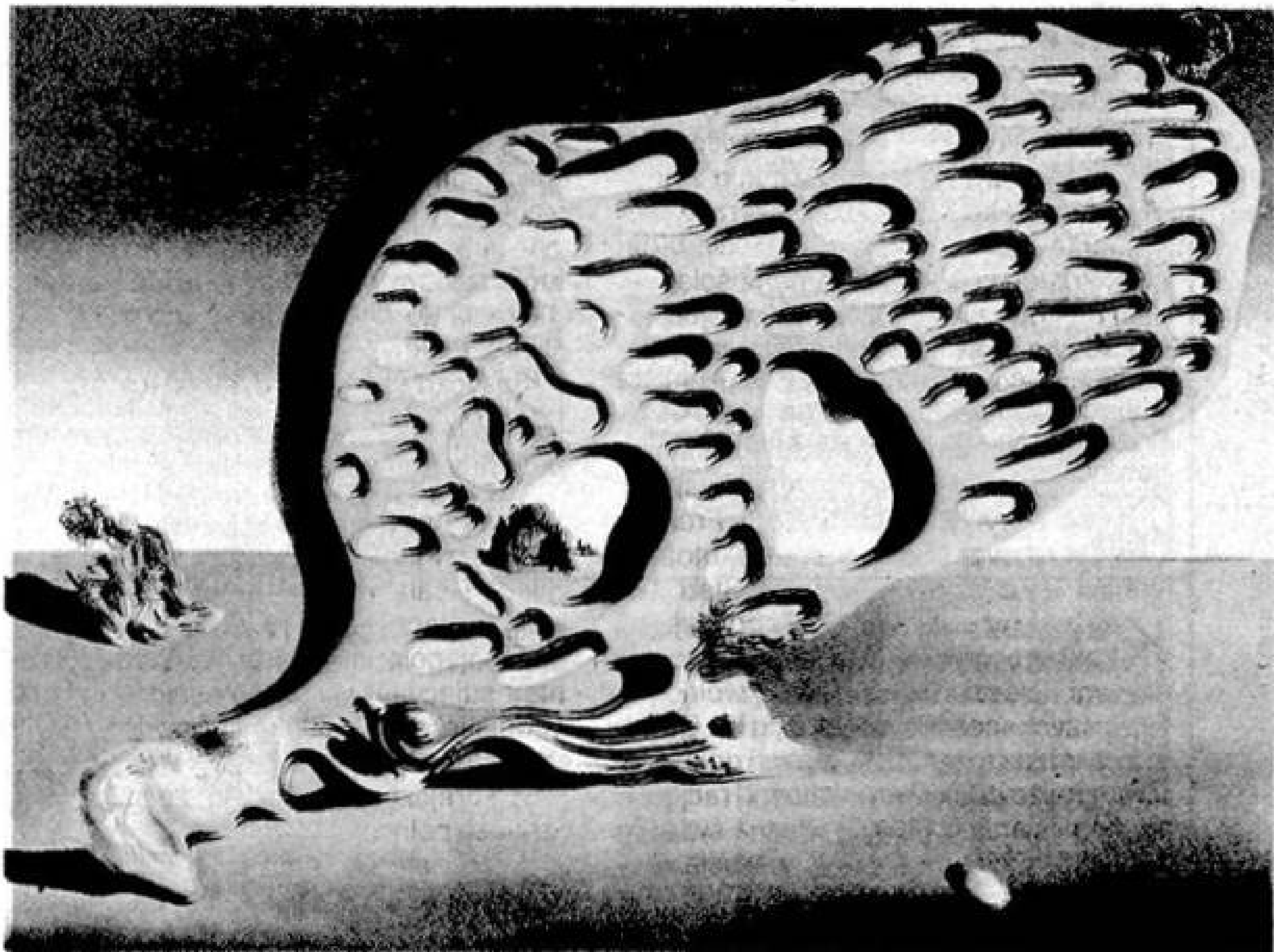
Tu wyłania się następne pytanie: w czyim imieniu? Trudno uwierzyć, aby mieli na to mandat uciskanego społeczeństwa – jak już wcześniej wspomniałem, przeciętny obywatel dystopii nie jest zainteresowany zmianą, ba, boi się jej jak ognia. Buntownikami powoduje jedynie przekonanie o głębokiej słuszności własnych racji moralnych. Racje te są oczywiście całkowicie obce reszcie społeczeństwa, co pociąga za sobą szybką izolację buntu. Jako sprzeczny z interesem większości, po większych lub mniejszych perypetiach upada.

Popatrzmy na losy owych wybawicieli. Huxleyowski Dzikus w ostatecznej desperacji wiesza się, sztucznie odmóżdżony numer Δ-503 wraca na łono społeczeństwa, toż samo dzieje się z Winstonem, bohaterowie Parowskiego i Zajdla zostają wmontowani w rządzący establishment, Bregg macha na wszystko ręką i zajmuje się własnymi sprawami (czyli u c i e k a w miłość), bohaterowie Wnuka-Lipińskiego to specjaliści od nieudanych i przegranych spisków, wciąż z maniackim uporem próbujący na nowo – niczym Wańka-wstańka. Nie natknąłem się na dystopię, w której zwolennicy przemian odnieśliby satysfakcjonujące zwycięstwo – cudowną ingerencję Alicji w „Limes inferior" należy między bajki włożyć. Skądinąd jest to zgodne z logiką stosunków społecznych – przewrót mający przeciwko sobie większość społeczeństwa naprawdę nie ma zbyt wielkich szans. Jedyną szansą byłoby stworzenie systemu terroru, który by ową milcząco-przeciwną większość zmusił... do czego? Do posłuchu i przyjęcia naszych racji – w ten oto prosty sposób walcząc z dystopią, budujemy już od początku jej własną wersję. Jak smutnie uczy nas historia, obrona wolności zawsze była najlepszym pretekstem dla najkrwawszych terrorów.

W świetle powyższego widać jasno, że zbawca jest tak potrzebny społeczeństwu dystopijnemu jak piąty grzyb w barszczu. Niczym nieproszony natręt narusza tylko błogą harmonię, w której jest pogrążone rzekomo potrzebujące wybawienia społeczeństwo. I jako taki ponosi zawsze nieuchronną klęskę.

Czymże zatem jest dystopia? Dyskursem o społeczeństwie niszczonym przez totalitarny ucisk? Rozprawą o społeczeństwie zniewolonym, ale za to szczęśliwym? Kimże jest bohater – wyzwolicielem (jak chcą autorzy) czy burzycielem szczęścia? Tak zarysowany dualizm, którego jedną, zda mi się mało dostrzeganą stronę starałem się tu zarysować, wygląda na nierozstrzygalny. Jednostronne widzenie zjawiska myślowego zwanego dystopią, jako literackiego protestu przeciwko pozbawianiu człowieka przyrodzonego istocie ludzkiej prawa do wolności, wydaje mi się zbytnim uproszczeniem. Nie mam pewności, czy wolność jest to – jak chce konwencja społeczna, w jakiej przyszło nam żyć – podstawowa potrzeba każdego człowieka. Być może rację ma Fromm, sugerujący jakby, że jest dokładnie odwrotnie.

Z cienia klasycznej interpretacji wyłania się inna, zawierająca podstawowe pytanie z dziedziny conditio humana: kim jestem i kim chcę być? Szczęśliwym niewolnikiem czy nieszczęśliwym wyzwolonym? Bezpiecznym w swoim kolektywie czy rzuconym w żywioł wolnego wyboru? Numerem w karnym szeregu czy Robinsonem Cruzoe na wyspie swego indywiduum? Nie jestem w stanie na to odpowiedzieć – może nie będąc do końca pewny swej odpowiedzi.


Salvador Dali

Zastanawiające, jak mało bohaterowie dystopii zajmują się postawą swych nieuświadomionych współobywateli – zbyt pociąga ich rozgrywka z władzą. Dopiero w cytowanej na początku powieści Marka Oramusa natknąłem się na w miarę obszerną analizę motywacji społecznych, którą przeprowadza jeden z buntowników, robotnik i socjolog-amator Garbień. Mówi to przy okazji szukania winnych za dany stan rzeczy – ale czyż można mieć pretensję do tucznika, że jest tucznikiem właśnie i że woli chlew od pełnych swobody zielonych łąk? Najgorsze jest siedzieć w tym chlewie i czuć się człowiekiem. Tucznik nie ma tych problemów. I znów, niczym Mefistofeles do Fausta, powraca natrętna myśl o nieskomplikowanym szczęściu i błogiej harmonii oraz droga ku nim: ucieczka od wolności?! ■

Unkiewicz Tadeusz
(1906-1959)
Socjolog, redaktor, autor fantastyki

Urodził się 29 grudnia 1906 r. w Warszawie. W 1933 r. ukończył Szkołę Nauk Politycznych i rozpoczął studia socjologiczne na UW. W latach 1934-1936 był sekretarzem redakcji „Wiedza i Życie", zaś w latach 1936-1939 referentem w Dyrekcji Programowej Polskiego Radia. Pracował w „Kurierze Porannym". Po zakończeniu II wojny zatrudniony w Polskim Radiu, następnie w „Czytelniku". Był założycielem miesięcznika popularno-naukowego „Problemy" (naczelny redaktor w latach 1945-1950). Zmarł 6 września 1959 r. w Warszawie.

Autor dwóch książek fantastyczno-naukowych: **„Podróże mikrokosmiczne profesora Rembowskiego"** (Nasza Księgarnia, Warszawa 1956) oraz **„Skradzione głowy"** (Iskry, Warszawa 1958). Pierwsza wywodzi się z popularyzacyjno-przygodowej beletrystyki vernowskiej, opowiada o losach szalonego profesora, który zbudował fizjoskop – aparat pozwalający na podróże w głąb kropli wody i obserwacje życia mikroorganizmów. Podobnie jak w historiach Erazma Majewskiego uczestnikiem niezwykłych wypraw jest siostrzeniec profesora, który przez lekkomyślność o mało nie przypłaca życiem swoich zainteresowań naukowych. W „Skradzionych głowach" – powieści kryminalnej osnutej na motywie „cudownego wynalazku" – uczony maniak konstruuje niezwykłą aparaturę: mechaniczną protezę zastępującą większość funkcji ludzkiego organizmu. Przesłanie książki wiąże się z tematem długowieczności i „maszynowo-organicznej" wizji przyszłych losów człowieka.

Urbanowska Zofia
(1849-1939)
Dziennikarka, autorka powieści

Urodziła się 15 maja 1849 r. we wsi Kowalewek koło Konina. Córka zubożałego szlachcica, już w 1870 r. zaczęła zarobkować jako dziennikarka (współpracowała z „Gazetą Polską"), następnie jako korektorka w drukarni. Pisała do „Przeglądu Tygodniowego" i „Wieczorów Rodzinnych". Pierwszą powieść „Cudzoziemiec" opublikowała w 1883 r. Pod koniec XIX wieku była jedną z najpopularniejszych autorek powieści dla młodzieży, w jej dorobku znajdują się utwory obyczajowe („Księżniczka", 1886), krajoznawcze („Róża bez kolców", 1903), fantastyczne baśnie („Złoty pierścień", 1916). Zmarła 1 stycznia 1939 r. w Koninie.

W 1884 r. opublikowała fantastyczno-przyrodniczą powieść **„Gucio zaczarowany"** (Gebethner i Wolff, Warszawa) opowiadającą o leniwym chłopcu, który został przemieniony przez wróżkę w muchę, aby poznać pracowite życie owadów. Kolejną powieścią fantastyczno-przyrodniczą była **„Atlanta, czyli przygody młodego chłopca na wyspie bezludnej"** (L. Anczyc, Kraków 1893) stanowiąca ciąg dalszy książki M. Zaleskiej „Baśń o niezgodnych królewiczach i królowej perłowego pałacu" (1889). Powieść miała swój pierwodruk w „Wieczorach Rodzinnych". Bohaterem utworu jest sierota Janek, który został wysłany na Atlantę, aby pogodzić zwaśnionych braci-królewiczów rządzących trzema państwami przyrody (minerałów, roślin i zwierząt).

Twórczość Zofii Urbanowskiej nader ogólnie łączy się z fantastyką naukową, jest jednak reprezentatywna dla ówczesnej pedagogiki okresu (zob. E. Majewski, W. Umiński) – propaguje umiłowanie pracy, wytrwałość, zmysł praktyczności, zdolność wyobraźniowego przeżywania świata.

Urbanowicz Katarzyna
(ur. 1942)
Ekonomistka, autorka SF

Urodziła się 25 listopada 1942 r. w Warszawie. Studiowała polonistykę, w 1984 r. ukończyła Ekonomikę Handlu i Usług. Pracuje w Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń w Warszawie.

Jako autorka SF debiutowała w 1986 r. zbiorem opowiadań **„Plama na wodzie"** (Almapress, Warszawa, zawartość: Plama na wodzie, Tryptyk, Receptura, Podwójny owoc Kemi, Zadanie, W dowód zaufania). Jej nostalgiczne, poetyckie, aczkolwiek tradycyjne pod względem formalnym opowiadania, zostają podporządkowane jednoznacznej wymowie moralnej: pytaniu o granice wolności, możliwości decydowania o swym losie. Miłość, przywiązanie do drugiej istoty może stać się rodzajem ubezwłasnowolnienia, pozbawić ją tożsamości. Podobnie dzieje się w czasie „kontaktu" z inną cywilizacją. W utworach Katarzyny Urbanowicz Ziemianie próbują podporządkować sobie innych, nie dostrzegają, bądź nie liczą się z różnorodnymi formami obcej kultury, brutalnie ingerują w psychikę swoich partnerów.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

recenzje

Zaskoczenie

Kiedy brałem do rąk powieść Andrzeja Zimniaka, a nawet wtedy, gdy ją po raz pierwszy, jeszcze bardzo pobieżnie, czytałem, miałem wrażenie, że jest to kolejny utwór w dotychczasowym stylu tego pisarza, tzn. utwór dobrze obmyślany, dobrze zaplanowany, ale napisany w sposób wzbudzający pewne opory nieco zbyt „ciężkim" językiem, zbyt długimi zdaniami, językiem wyzbytym dynamiki, polotu literackiego. Chcę być dobrze zrozumiany: nie dyskwalifikuję wcześniejszych utworów Zimniaka, dawałem zresztą wyraz swemu dla nich uznaniu, ale budziły one moje zastrzeżenia właśnie w warstwie językowej. We wstępnym kontakcie z tą książką zwracałem uwagę przede wszystkim na to, że jest to pierwsza powieść autora już uznanego, posiadającego stałą i dobrą pozycję w polskiej SF, pozycję zdobytą dzięki opowiadaniom, ale już w zbiorze „Homo determinatus" widoczna była skłonność do dłuższych form pozwalających pisarzowi na pełniejszą kreację świata przedstawionego, na głębsze wycieczki w głąb psychiki postaci. Właściwie już wtedy można się było spodziewać, że następny utwór Zimniaka będzie powieścią.

I tak się stało. Powtórna lektura tejże właśnie powieści Zimniaka unaoczniła mi jednak fakt, że zmiany zachodzące w tym pisarstwie nie ograniczają się tylko do spraw formalnych, że są o wiele bardziej rozległe, że – krótko mówiąc – Zimniak pracował nad językiem swej prozy i oto teraz zaprezentował powieść pod tym względem znakomitą, nie wzbudzającą najmniejszych zastrzeżeń, powieść, której język doskonale służy prezentacji pomysłów autora, słowa nie „dziwią się" sobie, nie zgrzytają, nie służą budowie długich, zawiłych zdań, przez które należy się przedzierać z dość dużym wysiłkiem. Tu wszystko znakomicie pasuje do siebie, łączy się i zazębia. Prawdę mówiąc jest to dla mnie wielka niespodzianka, że autor już uznany i ukształtowany artystycznie pracujący w gatunku przecież komercyjnym i posiadający znaczącą pozycję – nie spoczął na laurach, ale zmienia swą twórczość, szuka nowych pisarskich sposobów, próbuje nowych, innych możliwości. Wyrazy uznania.

Zimniak napisał powieść w modnym ostatnio stylu, powieść odbiegającą znacznie od konwencjonalnej SF sprzed lat. Jest to fantastyka – mówiąc w niezwykłym uproszczeniu – psychologiczna, ale też bez kompleksów sięgająca do rozmaitych konwencji wewnątrzgatunkowych i wykorzystująca z powodzeniem zarówno motyw wyprawy międzygwiezdnej, i motyw zagubienia człowieka, braku orientacji w sytuacji, w której się znajduje, i wątek miłosny, i elementy powieści typu fantasy, i motyw wędrówki w czasie itd., itd. Zimniak „poszedł na całość" i napisał powieść, w której jest praktycznie rzecz biorąc wszystko możliwe, ale w której główny bohater zachowuje swoją tożsamość i ratuje ją mimo najróżniejszych wywieranych nań presji, mimo licznych niebezpieczeństw i zasadzek o charakterze nie tylko „realnym". Robi to na nie przygotowanym czytelniku wrażenie prozy zwariowanej, ale też ci, którzy czytali choćby utwory Żwikiewicza czy „późnego" Hollanka, nie mówiąc już o angielskich nowofalowcach znajdą tu świat, jaki mogą zaakceptować. To, że bohater wędruje w czasie raz w jedną, raz w drugę stronę nie jest żadną niezwykłością, również to, że zbiera informacje „na ślepo", nie zdając sobie sprawy z tego, czego odeń oczekuje rozumna maszyna kierująca wyprawą, ba, nie zdając sobie sprawy z tego, dlaczego akurat on i jego partnerzy zostali wybrani z całej populacji (przecież nie odznaczają się żadnymi specjalnymi cechami i nie byli przygotowani do podróżowania w Kosmosie). Zimniak chciał zapewne – podkreślając zwyczajność i przypadkowość doboru załogi – wskazać na to, że właściwie każdy człowiek może odbyć taką wyprawę w głąb – w istocie – siebie samego, gdzie spotyka światy „skomponowane" z tego, co mu przekazuje tradycja, jak i z tego, co mu podpowiada wyobraźnia. Myślę, że takie jest znaczenie całej tej wyprawy i takie jej znaczenie – mimo pewnych „narzędzi" i kamuflaży pojawiających się zwłaszcza na początku i końcu: jest to opowieść o wyprawie w głąb siebie, wyprawie pozwalającej rozeznać się we własnych kompleksach, urazach, mechanizmach obronnych i marzeniach. Przekonuje mnie o tym wiele drobnych elementów powieściowego świata, jak też zakończenie powieści sugerujące następną „wyprawę" czyli podpowiadające nam nieuchronność tego wędrowania tu i tam, powrotów do codzienności, rzeczywistości i „odjazdów".

Zimniak napisał bardzo piękną, mimo pewnych drastycznych obrazów, powieść o której znaczeniu nie można niczego pewnego powiedzieć, ale której urok zawiera się właśnie w tej wieloznaczności, w tych wszystkich niedopowiedzeniach.

Leszek Bugajski

Andrzej Zimniak: *Marcjanna i aniołowie*. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 1989. Cena 350 zł.

Statek szaleńców

Najnowsza książka Snerga przyprawiła fanów o wyraźną konfuzję. Wójcik źle mówił o „Arce", mimo że miał ją drukować, już w 1985 roku, zanim redakcja SF KAW się rozpadła i autor przekazał powieść Czytelnikowi. Dzwonią do mnie teraz zaprzyjaźnieni młodzi krytycy – zdołali przeczytać powieść do połowy, Snerg oszalał? Ostatnio w październiku zajrzał do Warszawy Jarek Olsza z Pragi – Masz już coś, wymyśliłeś? Mówię, że nie. Szkoda, bo muszę o tym napisać, może odbiłbym się od ciebie.

Sam czułbym się raźniej, mając przed sobą wynurzenia przytomnego przodka. Zresztą przodek właściwie jest, anonimowy autor wydawniczej notki na tylnej okładce: *Utwór zaludniony przez przedziwnych neurotyków i psychopatów, którzy zniewoleni własnymi wizjami żyją w świecie urojonym, przy czym nie potrafią się ze sobą ani porozumiewać, ani nawet odnaleźć punktów stycznych między własnymi fantasmagoriami. Napisana w konwencji alegoryczno-fantastycznej „Arka" jest dziełem niejednoznacznym, wolnym od natrętnej aluzyjności, pozostawiającym odbiorcy dużą swobodę interpretacyjną, co pozwala odczytywać ją na różne sposoby i smakować jej rozmaite warstwy od parodystycznej aż po psychologiczno-moralną...* Tyle sam zauważyłem. Nie pojmuję natomiast terminu „natrętna aluzyjność". Sformułowanie raczej policyjno-cenzorskie niż krytyczno-literackie wygląda mi na załatwianie porachunków z fantastyką socjologiczną, której historia przyznała chyba jednak rację.

Czy historia przyzna tę rację Snergowi? Otóż w literaturze możliwa jest sytuacja, że rację ma więcej niż jedna strona. Kiedy spojrzeć retrospektywnie, okazuje się, że każda właściwie książka Snerga była zaskoczeniem. „Robot" szokował głównie w sensie pozytywnym, doprowadzał do końca i właściwie przekraczał poetykę lemowską. W powieści fantastyczno-awanturniczej odmalowywał Snerg barwnie einsteinowskie paradoksy czasu i przestrzeni, nakładając na to przedziwną historię, służącego Obcym robota, buntującego się przeciw panom i mechanicznej kondycji oraz parareligijną (wg mnie kompensującą religijne zagubienie autora) Teorię Nadistot. W powieści „Według łotra" mieliśmy wizję sztucznego świata nałożoną już na przypowieść ewangeliczną; fanowie zgłupieli, oczekiwali od Snerga historii bardziej klasycznej. Podobnie było z zadziwiającymi terrorystami i fikcyjnym światem ekranów z powieści „Nagi cel"; rzecz dezorientowała czytelników, twierdzili, że Snerg zjeżdża w dół. A jednak dwa już wydania tej książki rozeszły się bezzwrotowo. We wszystkich tytułach, łącznie z „Arką", zachowuje więc Snerg dar dziwności i oryginalności lecz zawsze trochę sprzeniewierza się wizerunkowi, jaki dawały książki poprzednie. Jednocześnie z tytułu na tytuł zdaje się tracić dar uwodzenia czytelników bez reszty. Coś podobnego, uczciwszy proporcje, przydarzyło się przecież Lemowi. Obu autorów coraz łatwiej przyłapywać na kompozycyjnych załamaniach i eseistycznych przerostach, na fabularnym niezdyscyplinowaniu, na powtórkach i wyniosłym podążaniu trudną ścieżką z lekceważeniem prostych reguł gry z czytelnikiem, jakich przestrzegają autorzy dzieł popularnych. Można widzieć w tym ilustrację odwiecznego mechanizmu samozniszczenia literatów, ale zarazem – rozwoju literatury.

W wywiadzie „Karcer i niebo wcielenia" („F" nr 6/87) udzielił Snerg czytelnikom wskazówek interpretacyjnych, wyznając: *Wszystkie moje powieści połączone są w jedną całość, nie są to książki niezależne, lecz kolejne wcielenia jednej i tej samej postaci. Dlatego pisałem wszystkie powieści w pierwszej osobie, bo dotyczą losów tej samej istoty ludzkiej, zakładającej tylko różne maski...* Snerg mówi o tym w kategoriach zamysłu czy zamiaru; myślę, że właściwsze byłoby rozszyfrowanie sytuacji jako autorskiego odkrycia, dotyczącego własnej twórczości. Pisząc swe książki Snerg dowiadywał się po trochu kim jest. Ale chyba nie zrozumiał siebie do końca. Bo tezę o jednej postaci przeżywającej różne przygody, można zastąpić twierdzeniem bardziej przewrotnym. Mam mianowicie wrażenie, że pisze Snerg, tak jak to się zdarza największym, jedną i tę samą powieść stale od nowa.

Wędrówki Patryka Tenevisa po pokładach Arki, jego spotkania, przygody i dyskusje z szalonymi postaciami zaludniającymi tajemniczą fregatę są, strukturalnie rzecz biorąc, bardzo zbliżone do wędrówki i przeżyć Neta Porejry w wyrwanym z powierzchni Ziemi Kaula Sud. Istnieje w obu powieściach podobne podejrzenie co do natury tego porwania (sprawka Obcych). Podobną wędrówkę przez świat zaludniony mało komunikatywnymi manekinami i wariatami mamy w dwu pozostałych powieściach. Rozważania nad naturą Obcych w „Robocie" znajdują swoje pokrewne odbicie w „dylemacie samotnych rewolwerowców" (dwu cywilizacji kosmicznych), o czym mowa w „Arce". Niepewność „mechaniczne czy człowiecze?" z „Robota", w „Nagim celu" i „Według łotra" staje się dylematem „prawdziwe czy sztuczne?", zaś w „Arce" – „normalne czy szalone?". Powtarzają się więc motywy fabularne, ale także składniki i proporcje dzieła, każące montować Snergowi fabułę i eseistyczne wstawki zawsze z tą samą powagą, podszytą ironią. Zamiast Teorii Nadistot znajdziemy więc w „Arce" – ogólną teorię uwagi, teorię bezpieczeństwa, kartezjański układ pola nastrojów... Snerg czytany uważnie wydaje się więźniem (ale i piewcą – śpiewającym zawsze w podobny sposób) wizji świata postrzeganego jako kondensacja absurdu, mglistości, zagrożenia sztucznością – w którym to świecie tylko drogą wielkich wysiłków moralnych i intelektualnych (np. budując różne teorie) można zachować tożsamość, ocalić bezpieczeństwo i przynajmniej pozory wolności.

Mówiłem o porachunkach z SF socjologiczną. W cytowanym wywiadzie odżegnuje się Snerg od poetyki nurtu politycznego, rzecz go podobno nie interesuje. Ale tak się dziwnie plecie, że gesty postaci Arki nie są wolne od socjologicznych konotacji. Ta „Arka" chwilami bardzo przypomina mi Polskę targaną konfliktami, wątpliwościami i rezygnacją lat osiemdziesiątych. Mamy tu obraz rozpadającej się społeczności załogi fregaty (państwa, społeczeństwa?), mamy zbiorowe obłędy, spiski, gry o władzę, mamy obywateli wykonujących automatycznie pewne absurdalne już role (marszałka, agenta, konduktora, nauczyciela, agenta wywiadu)... Mamy wreszcie postać żeńską, obdarzoną – tajemnicza sprawa – takim samym imieniem jak zajdlowska Alicja z „Limes inferior". Udowadniam to w posłowiu do III wydania „Limes", jest książka Zajdla reakcją na „Robota" i polemiką z tą powieścią. Ale sądzę teraz, że można zauważyć wpływy odwrotne. Szaleństwa załogi „Arki" mając wiele wspólnego z naszymi szaleństwami. AD 1985, Snerg pisze o tym samym co fantaści socjologiczni, inaczej tylko rozkładając akcenty, bardziej niż na mechanizmach koncentrując się na chorobach duszy. „Dwaj samotni rewolwerowcy" to, owszem, nawiązanie do teorii kontaktu, ale także do konfliktu dwu ziemskich mocarstw... Snerg przetrawił tematykę socjologiczną po swojemu, lecz nawet pisząc w sposób *wolny od natrętnej aluzyjności* zbliża się w „Arce" do polskiego doświadczenia i polskiej szkoły SF politycznej bardziej niż w którejkolwiek innej ze swoich książek.

Kolejna krytyczna wskazówka Snerga w cytowanym wywiadzie to nazwiska jego literackich idoli: Kafka, Schulz, Gombrowicz, Dostojewski... Jesteśmy w domu. Co się tyczy Kafki, to najbliżej z „Arki" do „Ameryki"; obie książki przepełniają ciemne koszmary, obie też kończą się wyjściem na słoneczną przestrzeń pełną nadziei. *Jest tak lekko na duszy, jak to bywało w najlepszych latach* (Snerg). *Zniknęła trwoga ostatnich godzin* (Kafka). Podobnie zresztą mamy w „Limes..." i, też trochę na zasadzie cudownego Deus ex machina. Schulza nie trzeba tłumaczyć, wiadomo; z Dostojewskiego bierze Snerg sadomasochistyczną manię ranienia się i obnażania w bezlitosnych, głębinowych dialogach. A z Gombrowicza? Hm, cały 14 rozdzialik, w którym Tenevis opowiada Alicji swą nieudaną przygodę erotyczną z nauczycielką jest opowieścią o pupie (gębie), jaką sobie nawzajem przyprawiamy i o niedojrzałości poszukującej dojrzałości (oraz odwrotnie).

W dodatku przy wielu znamionach oryginalności nie jest powieść Snerga ewenementem na tle bieżącej produkcji SF. „Złote Brighton" Jacka Natansona dzieje się w podobnym świecie, podobne są w obu książkach, błyskotliwe choć niezdyscyplinowane, mechanizmy kreacji dziwności, podobne zakończenia. I obie książki, rajcując smakoszy i krytyków (bo dają im możliwość błyśnięcia talentami analitycznymi) stanowią trudny orzech dla szeregowych czytelników.

Sumując – i w „Arce" jak w innych książkach Snerga zalety autora są tak samo widoczne jak jego grzechy. Do cnót zaliczyłbym oryginalną i konsekwentnie rozwijaną wizję świata, wyobraźnię, dziwność, bogactwo możliwych interpretacji i literackich odwołań. Do wad – niesymetrie fabularne, bardzo statyczne chwilami opisy, czasem wręcz – brak myślowego porządku. Na przeciwnym biegunie do wspomnianej *natrętnej aluzyjności* znajduje się przecież aluzyjność mętna lub wręcz pusta; Snerg ociera się w „Arce" o takie niebezpieczeństwo. Ale, wiem na pewno, że książka ta zostanie mi w pamięci znacznie dłużej niż dziesiątki tytułów sprawniej zmontowanych, lecz banalnych. W czteroksięgu Snerga widziałbym „Arkę" na trzecim miejscu, przed „Nagim celem" i traktował ją jako ciekawą propozycję łączenia konwencji fantasmagoryjnej czy wręcz delirycznej z po raz pierwszy widocznymi u Snerga w takim stężeniu odwołaniami do rzeczywistości. Tu, nawiasem mówiąc, spostrzeżenie – coraz mniej czytam ostatnio urzekających bez zastrzeżeń i porywających książek, coraz częściej zapoznaję się właśnie z zaledwie ciekawymi propozycjami. Czy to ze mną coś się stało? Czy z gatunkiem? A może z całą kulturą, która szuka dla siebie teraz nowej formuły?... W ciągu paru najbliższych, trudnych lecz bez wątpienia niebanalnych, lat rzeczywistość literacka i pozaliteracka powinny udzielić nam odpowiedzi.

Maciej Parowski

Adam Wiśniewski-Snerg: *Arka*. Czytelnik, Warszawa 1989. Cena 500 zł.

– Właśnie, Wasza Królewska Mość. Krąg jest już zamknięty, ale co z lalką? Ona jest przecież bezużyteczna, zupełnie bezużyteczna, przynajmniej w naszej historii. Król westchnął zrezygnowany.

– Tak, Collins. On ma wprawdzie głowę nie od parady, ale dlaczego nie chce zrozumieć, że nie wszystko musi mieć jakiś cel?

(fragment opowiadania „Król i lalkarz", „Fantastyka" nr 8/85)

Swobodna gra fantazji

z Wolfgangiem Jeschkem rozmawiają Ute Bauer, Sascha Mamczak i Thomas Tilsner

Pytanie: – *Czy pan, pisząc, uważa się za lalkarza?*

Wolfgang Jeschke: – Tak, o ile w grze chodzi o lalkę. Dla mnie science fiction zawsze miała w sobie coś z gry. Jest to dla mnie najistotniejszy element science fiction.

– A więc w pańskiej historii lalka była symbolem?

– Symbolem gry, symbolem science fiction.

– Uchodzi pan za zagorzałego fana chrononomocji, chociaż problem podróży w czasie nie występuje już w pańskich nowszych opowiadaniach, powieściach i słuchowiskach jako temat samodzielny. Co pana fascynuje w tej tematyce i czy czas jest dziś dla pana tematem zamkniętym?

– Nie, to nie jest dla mnie temat zamknięty, właśnie dlatego, że odnajduję w nim silny urok zabawy. Krążą mi po głowie jeszcze inne historie, w których podróże w czasie odgrywają dużą rolę. W moim słowie wstępnym do „Króla i lalkarza", zamieszczonym w „Oku feniksa", próbowałem to wyjaśnić: zjawisko czasu jest dla mnie szczególnie ważne. Jest to jedno z najbardziej osobliwych i brutalnych zjawisk, jakie w ogóle istnieją. Wymiary czasowe stanowią tor, po którym jesteśmy spychani jak przez buldożer, powoli lecz nieubłaganie. Nie możemy się przed tym bronić, starzejemy się, znajomi umierają, znikają z naszego życia. Czas jest nieodwracalny; podjęta decyzja jest brzemienna w skutkach, nie można jej odwrócić. Natomiast podróż w czasie umożliwia różne gry: powroty w czasie, zmiany decyzji albo ich korygowanie poprzez ingerencję, tworzenie równoległego wszechświata. Autor może też sprawić, że cała historia będzie miała inny przebieg. Moim zdaniem, oznacza to triumf fantazji ludzkiej nad sztywnymi zasadami fizyki. Wpawdzie jest to zwycięstwo pyrrusowe, ale stanowi naturalną samoobronę przed ową nieubłaganą koniecznością.

– A więc SF ma dla pana coś z komercji, rozrywki, pouczający ton nie dominuje, nie przewodzi?

– Nie czuję w sobie powołania, by być pedagogiem. Korci mnie przede wszystkim gra, która polega na ukazaniu za pomocą zmiany scenografii istniejącej rzeczywistości tego, czego w rzeczywistości nie ma. Ta gra podoba mi się w SF najbardziej. Literatura bardzo szybko staje się dla mnie nudna, o ile nie znajdę w niej elementu fantazji. Dlatego też cieszy mnie fakt, że tzw. literatura głównego nurtu porusza się coraz częściej w tym wymiarze. Jedną z najważniejszych książek była dla mnie „Briefing for a Descent into Hell" Doris Lessing; jestem pełen uznania dla opowiadań i powieści Gabriela Garcii Marqueza, Isabel Allende, oczywiście Borgesa, Buzzatiego – ci autorzy fascynują mnie najbardziej. Również Günter Erich, jeśli chodzi o słuchowiska.

– Ale to są właściwie ludzie spoza kręgu SF...

– Słusznie, niemniej bardzo interesujący. Działają na pograniczu między literaturą fantastyczną a prozą nurtu głównego. Wolałbym, aby ta granica była bardziej płynna. Literatura powinna korzystać o wiele częściej z elementów fantastyki, tak jak korzysta z nich zawsze science fiction. Wystarczy wspomnieć Ballarda, Priesta, Discha czy Gene Wolfe'a.

Na świecie istnieje wiele tradycji związanych z opowieścią fantastyczną i na dobrą sprawę nie powinno się twierdzić, że literaturę stanowi wyłącznie proza mieszczańsko-realistyczna. Ona jest zaledwie jednym z jej nurtów.

Wydaje mi się, że dzięki owej polaryzacji science fiction stała się dziś synonimem wszystkiego, co osobliwe, egzotyczne i dziwne. Pod etykietką „science fiction" sprzedaje się wiele tytułów, które właściwie należą do literatury fantastycznej w ścisłym tego słowa znaczeniu.

– Podkreśla Pan z naciskiem rozrywkowy charakter literatury. Czy z science fiction nie należy wiązać żadnych zobowiązań futurologicznych?

– Ależ to kompletne nieporozumienie! Futurologia powinna rozważać ewentualności o pewnej dozie prawdopodobieństwa. Science fiction nie musi tego czynić. Istnieją oczywiście autorzy, których pociąga wprowadzenie do science fiction elementu „science", jak również igranie z ewentualnościami, które są prawdopodobne. Ale science fiction to przede wszystkim swobodna gra fantazji, dopuszczająca również możliwości, których stopień prawdopodobieństwa jest bardzo nikły. I dzięki Bogu!

– Czy fantastyka naukowa, będąca bardziej social niż science fiction już z założenia nie jest dobrą science fiction?

– Moim zdaniem science fiction, która dotyczy problemów socjologicznych, rezygnując z technicznych, nie jest zbyt wiarygodna. Zgadzam się jednak, że w centrum uwagi autorów powinien znajdować się postęp i rozwój człowieka jako istoty społecznej. Science fiction bez ludzi? Bez ich problemów? To byłaby dość nieciekawa literatura.

– W Pańskich utworach ekstrapolacja jest szczególnie wyraźna. Czy nie dowodzi to pokrewieństwa pomiędzy science fiction a futurologią?

– Pozory mylą. Zarówno w powieściach jak i w opowiadaniach korzystam z elementów fantastycznych, jak podróże w czasie albo elektroniczne reprodukowanie ludzi. Jedno i drugie jest bardzo nieprawdopodobne. Ale jeżeli ktoś zamierza zrobić użytek z tak nieprawdopodobnych ewentualności, musi stworzyć tło o nader wiarygodnym wymiarze. Dlatego w jednej z powieści posłużyłem się realiami o charakterze militarnym i archeologicznym, w innej – starałem się nakreślić klarowny obraz Trzeciego Świata, Europy i Ameryki na przełomie wieku. Potrzebne mi jest realistyczne tło, aby rozwinąć całkowicie nieprawdopodobną intrygę, która musi wyglądać na wiarygodną.

– Jak Pan pracuje?

– Przypominam sobie ludzi, których kiedyś poznałem; krajobrazy i miejscowości, a nawet pokoje hotelowe – wszystko to, co widziałem podczas moich podróży i przy pomocy takiej „rzeczywistości" tworzę tło, na którym rozgrywa się nieprawdopodobna historia oparta na jakimś pomyśle. Najczęściej jednak ten pomysł, zwłaszcza motyw podróży w czasie, jest tak zwariowany, że trzeba go ukryć – tak, by nawet krytycznie nastawiony czytelnik nie od razu odszukał punkt, w którym każda historia podróży w czasie staje się nielogiczna.

– Kiedy powstała Pańska ostatnia powieść „Midas albo zmartwychwstanie ciała"? Kiedy narodził się jej pomysł?

– Koncepcja elektronicznego kopiowania nawiązuje do powieści Algisa Budrysa „Rogue Moon". To wspaniała powieść symboliczna! Wykorzystując ten motyw chciałem ukazać współczesną wartość człowieka. Oczywiście nie chodzi o kopiowanie ludzi. Idzie o to, że ludzi można wykorzystywać w brutalny sposób, zwłaszcza naukowców czy twórców (por. fragment książki). Pisząc tę powieść myślałem również o sytuacji w krajach Trzeciego Świata – zwłaszcza o zdobywającej sobie coraz większą samodzielność kaście oficerskiej, która w przeciwieństwie do armii tradycyjnej zdaje sobie sprawę z faktu, że stanowi najmniej zagrożoną grupę i w rzeczywistości kieruje biegiem wydarzeń.

Przede wszystkim zależało mi jednak na tym, aby opowiedzieć pasjonującą historię. Zafascynowała mnie zwariowana gra, na którą decyduje się Andrew, aby uzyskać informację na temat własnej biografii, ponieważ nie wie, czy działał już jako kopia; nie wie nawet, czy w ogóle istniał. Chce znać swą przyszłość w przypadku, gdyby kiedyś znów powstała jego kopia.

– Dlaczego pisał Pan tę powieść siedem lat?

– Ponieważ bardzo rzadko jestem w stanie pisać. Tylko wtedy, kiedy uciekam od codziennej pracy w redakcji Heynego i wyłączam telefon.

Mój sposób pisania również nie jest typowy. Latami kolekcjonuję wrażenia, które po-

tem montuję na zasadzie kolażu. Nierzadko mija sporo czasu, zanim zorientuję się, co z tego naprawdę wyniknie. Następnie ów kolaż zostaje podporządkowany pewnej idei, która zaczyna wiązać ze sobą poszczególne cząsteczki. Ale w mojej pracy jest to proces stosunkowo późny. Kiedy zaczynam pisać, jest to jakby podróż w nieznane. Bardzo często początek, który sprawia mi najwięcej trudności, ostatecznie wyrzucam i wcale do niego nie wracam, wynajduję zaś inny obraz, aby lepiej przekazać swój pomysł.

Zazdroszczę ludziom, którzy są w stanie pracować nad swoim materiałem trzy, cztery miesiące i napisać w tym czasie powieść. Kiedy praca ciągnie się latami, w końcu nie jest się już pewnym, czy napisało się tekst, który zamierzało się napisać. Zmienił się już nastrój, stosunek do materiału, do występujących w powieści osób. Rzeczywistość dogania nas, jak walki w Sri Lance. Kiedy pisałem o tym siedem lat temu, konflikty te rysowały się dopiero mgliście na horyzoncie. Dziś stały się faktem.

– Czy swoją najnowszą powieść „Midas albo zmartwychwstanie ciała" sprzedał Pan również w RFN?

– Nie, znalazłem się w dosyć osobliwej sytuacji. Oczywiście jestem zobowiązany zaoferować swoją powieść wydawnictwu Heyne. Za pośrednictwem agenta Thomasa Schlücka usiłowałem umieścić ją w wydawnictwach zapewniających druk w twardej oprawie, ale niestety nie istnieje żadne wydawnictwo tego rodzaju, które zajmowałoby się science fiction. W ten sposób nie udało się wydać nawet nowego utworu Clarke'a. Zewsząd słyszę, że ostatnie doświadczenia rynku księgarskiego zniechęcają do podobnych inwestycji. Mógłbym oczywiście umieścić tę powieść w wydawnictwie Heyne, ale miałoby to nieprzyjemny posmak, naraziłbym się bowiem na zarzut, że odrzucam powieści innych autorów i publikuję własne. Zaryzykowałem więc i czynię starania, aby książka ukazała się najpierw za granicą. Jesienią prawdopodobnie zostanie wydana w Anglii nakładem New English Library.

– Jakie znaczenie mają w Pańskiej powieści motywy baśniowe?

– Te motywy nawiązują przecież do odwiecznych zagadnień rozpusty, chciwości i przemocy. A wynalezienie maszyny MIDAS (Molecular Integrating and Digital Assembling System) otworzyłoby im wrota. Dla wojskowych „kije samobije" byłyby idealnym rozwiązaniem problemu militarnego – ale z pewnością nie powstrzymałoby to wielu oficerów do wysyłania na śmierć prawdziwych, żywych ludzi.

Groźba stałego pomniejszania wartości człowieka staje się realna, kiedy przebywa się w takich miastach jak Kalkuta. Kiedy widać umierających na ulicy ludzi, którymi nikt się nie przejmuje, kiedy zwłoki leżą do momentu, aż wreszcie zjawi się coś w rodzaju śmieciarki, aby je uprzątnąć. Za 60 lat samych Hindusów będzie już półtora miliarda! Doprowadzi to do powstania całkowicie nowych warunków życia. O tym, ile wówczas będzie wart człowiek, można przekonać się już dziś, patrząc na obszary przeludnione. Za opowieścią o kopiowaniu ludzi kryje się realny problem przeludnienia Ziemi, zmniejszającego wartość każdego człowieka.

– Pańskie tematy to bezrobocie, zagłada przyrody, Trzeci Świat. Twierdzi Pan, że nie zamierza nikogo pouczać. Ale tło Pańskich utworów to tematy z istoty swej dydaktyczne.

– Jeśli mogę osiągnąć ten dodatkowy efekt, cieszę się tym bardziej. Ale na temat ochrony środowiska naturalnego albo Czarnobyla można ględzić tak długo, aż naprawdę wszyscy będą mieli już tego dosyć. Uderzać w ten sam ton za pomocą science fiction to, moim zdaniem, zamiar beznadziejny, a nawet niebezpieczny.

– Czy w Pańskiej pracy lub pracy innych pisarzy pojawiają się tematy, które dosłownie wiszą w powietrzu?

– Tak. W „Ostatnim dniu stworzenia" mamy do czynienia z osobliwym duplikatem cyklu Julian Mays „Pliocen", którego akcja rozgrywa się również w wyschniętej niecce Morza Śródziemnego. Autorka chciała koniecznie, abym przysłał jej egzemplarz powieści, gdyż sądziła, że przepisałem po prostu tekst jej książki, ale udało mi się dowieść, że moja powieść ukazała się wcześniej i została ukończona przed wydaniem jej tetralogii. Takie podobieństwa nie muszą zaraz oznaczać plagiatów literackich. Kiedy w „Scientific American" opublikowano wyniki wierceń Glomar Challenger w Morzu Śródziemnym, uświadomiłem sobie, że znalazłem scenerię swojego utworu – pustą nieckę Morza Śródziemnego, w której mógłbym umieścić moich bohaterów działających w przeszłości odległej o pięć i pół miliona lat...

– Czy niektórzy pisarze rozumieją lepiej albo szybciej, dokąd zmierzamy? Czy mają lepsze wyczucie przyszłości?

– Czyba właśnie dlatego są autorami science fiction.

– Nie ma innej możliwości, aby wyrazić tę przyszłość – jedynie za pomocą elementów fantastycznych?

– Tak sądzę. Literatura głównego nurtu nie zajmuje się tymi problemami – chyba tylko w tym stopniu, w jakim przełamują się one w psychice człowieka. Nie ekstrapoluje tych doświadczeń tak, jak to czyni Thomas Disch w powieści „334", opisując miasto Nowy Jork jako podupadłe do tego stopnia, że nie można w nim już w ogóle mieszkać. Tylko fantastyka naukowa potrafi to osiągnąć. Wydaje się, że w science fiction istnieje proces literacki polegający na tym, że te same pomysły zostają podchwycone przez innych pisarzy, którzy rozbudowują je dalej. To właśnie one ułatwiają dotrzeżenie tendencji szybciej niż w przypadku autorów nurtu głównego.

– Ale tendencje stają się coraz bardziej negatywne. Czy autorzy SF są dziś nastawieni bardziej krytycznie do rzeczywistości?

– Wydaje mi się, że tak było zawsze. Optymizm lat czterdziestych daje się zauważyć jedynie w trywialnych utworach science fiction. Już H.G. Wells patrzył sceptycznie na technikę i jej zastosowanie, nie mówiąc o E.M. Fosterze, Huxleyu i Orwellu. Myślę, że science fiction zawsze była nastawiona krytycznie wobec techniki, ale nigdy nie była antytechniczna! Przestrzegano tylko przed brzemiennymi w skutki decyzjami i kierunkami rozwoju.

– Czy to, że również science fiction nie jest w stanie dostrzec i opisać najbardziej przełomowych procesów naszej cywilizacji jest winą zalewającego nas ostatnio potoku informacji?

– No tak, science fiction nie przewidziała wielu rzeczy, z drugiej strony dostrzegła wiele spraw, które nie zostały zrealizowane. Jeśli np. Arthur C. Clarke zaznacza co dwa miesiące, że to on „wynalazł" satelity telewizyjne na orbicie stacjonarnej, to jest to żenujące, gdyż kilka miesięcy później „wynalazłby" to z pewnością ktoś inny.

Ale dlaczego Isaac Asimov wynajduje dla potrzeb swoich powieści mózg pozytronowy? To przecież zupełny bezsens, redukować do rozmiarów czaszki olbrzymią maszynę liczącą. Ma to natomiast sens ze względów fabularnych, ponieważ można potem stworzyć odpowiadającą starym marzeniom romantycznym sztuczną istotę, która na pierwszy rzut oka nie różni się wcale od człowieka. Jednak autorów, którzy zajmują się na serio futurologią, jest w SF mało – jeśli pominąć Aleksandra Kazancewa, który pakuje do jednej powieści 150 „odkryć". To przecież czyni książkę strasznie nudną!

Jeden pomysł albo najwyżej kilka – i umiejętna gra z ich udziałem – oto zasada science fiction. Może są autorzy, którzy istotnie chcieliby przewidzieć przyszłość. Ale kiedy patrzy się na dawną literaturę SF, widać, że wszycy spudłowali i to grubo.

– Mam tu na myśli nie tyle aspekt futurologiczny, w pewnym sensie ekstrapolację techniczną, ile pytanie, co ona oznacza dla ludzi. Również i tu SF osiąga powoli granice swojej siły wyrazu ze względu na gigantyczne przemiany nauki.

– Przecież science fiction stale podejmuje takie tematy, proszę sobie przypomnieć „Muzykę krwi" Grega Beara. Orwell napisał „Rok 1984", aby uniknąć roku 1984, nie zaś, by zaprezentować obraz roku 1984. Każdy pisarz SF chciałby kogoś ostrzec – dlatego maluje wszystko w nieco ciemniejszych barwach, niż odczuwa to osobiście. Bardzo ładnie ujął to kiedyś John Brunner: „Kiedy myślę, jestem pesymistą, kiedy czuję – optymistą".

Sądzę, że istnieje pewien próg – przed nim znajduje się jeszcze inny próg – samozagłady spowodowanej przez wojnę atomową – a mianowicie zachowanie genetycznej różnorodności życia na Ziemi. To jest, moim zdaniem, najważniejsze zagadnienie, z którym należy uporać się w przyszłości.

– W gruncie rzeczy jest Pan optymistą?

– Tak, jestem zdania, że ludzkość poradzi sobie z zagadnieniami, jakie stworzyła.

– Czy nie tracimy na próżno czasu?

– Potrzebna jest bardziej subtelna technologia. Ale i tak w ciągu ostatnich 10, 20 lat ludzie zaczęli myśleć inaczej, na przykład w kwestii środowiska naturalnego. Proces ten będzie się jeszcze nasilał. Nie można przeprowadzić wszystkiego wbrew woli społeczeństwa. W przeciwnym razie tracilibyśmy tylko czas.

– Więc jest Pan zdania, że pod wieloma względami nie jest jeszcze za późno?

– Nie sądzę, aby było za późno. Oczywiście, każdego dnia robi się za późno dla niewiem-już-nawet-ilu gatunków. To prawda. Ale historia Ziemi obfituje w wiele podobnych katastrof, a przyroda każdorazowo potrafiła przezwyciężyć ich skutki i przeżyła.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

Spośród wszystkich biologicznych tworów Ziemi tylko dwa rodzaje są w stanie zagrozić naszemu istnieniu. Jeden – to my sami, bo to właśnie ludzie tworzą nieludzki świat i cywilizację, która może zniszczyć samą siebie. I drugi – to wirusy, najmniejsze z tworów, jeszcze zdolnych do mnożenia; mogą one atakować nas tak wytrwale, aż wygubią gatunek *Homo sapiens*, zanim zdążymy się im przeciwstawić (AIDS jest najnowszym sygnałem takiej możliwości).

Z tamtej strony lustra

Maciej Iłowiecki

Ostateczna broń

Zdumiewająca okoliczność: z dwóch czynników, które mogą naruszyć nietrwałą równowagę w biosferze jeden stanowią istoty niejako najwyższe, obdarzone świadomością, drugi zaś – istoty najniższe i najprostsze, tak proste, że odmawia im się często daru życia.

W kropce nad i mogłoby się zmieścić kilkanaście milionów wirusów; nikt nie pokusił się o wyliczenie, ile ich może znajdować się w biosferze Ziemi – ale chyba trzeba byłoby liczyć w bilionach, może trylionach?

Atakują wszystkie inne organizmy, żadna żywa istota nie jest w ich obecności bezpieczna: ani bakterie, ani rośliny wyższe, ani zwierzęta, ani ludzie; są też takie superproszczone wirusy, które atakują swych nieco większych wirusowych współbraci, ale w tym wypadku nie czynią im większej szkody, używając ich tylko jako swoiste „machiny oblężnicze", potrzebne do sforsowania obrony komórki. Bo wirus, żeby wykonać swą jedyną życiową funkcję – reprodukcję – musi znaleźć się w żywej komórce i skorzystać z jej życiowych mechanizmów. Właśnie: jedyną cechą, wiążącą wirusy ze światem życia, jest rozmnażanie. Biologowie wolą nazywać to „namnażaniem", jako że jest to coś innego, niż rzetelne, biologiczne rozmnażanie; mamy tu do czynienia raczej z rodzajem niesamodzielnego powielania, niesamodzielnego, bo to przecież komórka powiela na własną zgubę wirusy, które do niej wniknęły. Gdyby na Ziemi zostały same wirusy, musiałyby zginąć. Są pasożytami, zabijają swych dobroczyńców, bez których nie mogłyby się odtworzyć.

Czym właściwie są wirusy? Opisano wiele form, wiemy też, że są to formy bardzo zmienne, łatwo przybierają nową postać (dlatego taka trudna jest z nimi walka). Ich treścią, niejako samą esencją jest struktura chemiczna, zwana kwasem nukleinowym (jak pamiętamy, występuje w dwóch formach: DNA i RNA), czasem obudowana niezbyt grubym białkowym płaszczem, czasem „naga" – i nic ponadto. Ale DNA jest przecież „substancją dziedziczności", wszystkie geny zbudowane są z DNA. Tyle że genom ludzki na przykład, zestaw naszych genów, składa się z miliardów jednostek: to, co tworzy wirusa, składa się z kilku (czasem tylko trzech), do kilkuset genów. DNA we wszystkich organizmach jest nośnikiem informacji genetycznej – DNA (lub RNA) wirusa jest nośnikiem informacji bez organizmu, można powiedzieć, że jest *samą* informacją. Wirusy są czymś w rodzaju „wolnych genów", które potrafią zmusić żywą komórkę, by je reprodukowała. Czy są zatem żywymi istotami?

Odpowiedź zależy od tego, co przyjmiemy za kryterium życia. Jeśli za kryterium uznamy trwanie przemian metabolicznych, to w wirusie takich przemian nie [illegible] jest on martwą strukturą biologiczną w takim samym stopniu, jak martwa jest na przykład ludzka kość sprzed tysięcy lat. Jednak analogia nie jest dobra – wirus nie jest „całkiem" martwy, skoro wystarczy, by natrafił na żywą komórkę, wówczas aktywnie do niej wnika i następuje namnażanie, powstają nowe wirusy. Wirus jest „czymś z pogranicza", bytem zawieszonym pomiędzy światem życia i światem martwym.

Buntujemy się czasem przeciw takim określeniom; nasz umysł posługuje się najchętniej i najczęściej logiką dwuwartościową, w której coś nie może być czymś i zarazem tym nie być. Albo-albo, tak lub nie. Albo coś jest żywe, albo jest martwe, nie można zarazem żyć i nie żyć. A jednak nie jest to proste, świat nie podporządkowuje się logice dwuwartościowej; istotą rzeczywistości nie są indywidualne, ostro oddzielone byty – istotą naszego świata są raczej stany przejściowe i dotyczy to nie tylko wirusów. Dygresja ta była potrzebna, by uświadomić nam status wirusów, istot tak dziwnych, iż można je uznać za martwe i żywe zarazem.

W XIX wieku, mniej więcej w czasach Pasteura, domyślano się już, że obok bakterii muszą istnieć „zarazki niewidzialne", to znaczy coś, co wywołuje pewne choroby, ale co niewidoczne jest pod mikroskopem. Niemniej nikt nie miał wątpliwości, że te najmniejsze zarazki muszą być żywe, inaczej nie przenosiłyby choroby; nie można się przecież *zarazić* martwą trucizną, można się nią zatruć, ale to co innego.

Istnienie takich niewidocznych zarazków udowodnił po raz pierwszy rosyjski uczony Dymitr Iwanowski w 1892 r. (stwierdził, że wywołują tzw. chorobę mozaikową tytoniu). Już wtedy nazywano je wirusami. „Virus" jest słowem łacińskim, oznacza jad, truciznę, „zatrutą ślinę", także mówiąc delikatnie, brzydką woń.

Badania nad wirusami przynosiły coraz więcej rewelacji, ale prawdziwą sensację przyniósł rok 1935: wtedy nowojorski biochemik Wendell Stanley otrzymał wirusy w stanie krystalicznym. Rzeczywiście, trudno sobie wyobrazić coś mniej podobnego do żywej istoty, niż kryształ, w którym jednakowe elementy ułożone są symetrycznie, regularnie: elementy życia nigdy przecież nie są jednakowe, regularne, ułożone wedle matematycznej symetrii i sztywno osadzone na swoich miejscach.

Rozpuszczony kryształ wirusowy odzyskuje zdolność atakowania komórek, znowu nabiera cech życia...

Skąd się na Ziemi wzięły tak niezwykłe stwory? **Jest to pierwsza, wielka tajemnica wirusów.** Są przecież strukturalnie identyczne z naszymi genami, ale zarazem są wobec nich obce, wobec nas wrogie, wykorzystują urządzenia naszych komórek do swoich celów i niszczą przy tym te komórki, często niszczą nas, jeśli nie zdołamy się z nimi uporać.

Czy zatem wirusy są częściami pradawnych bakterii, częściami, które kiedyś, na początku ewolucji życia, wyodrębniły się z komórek bakteryjnych i usamodzielniły? Czy było trochę inaczej – niektóre prabakterie uwsteczniły się ewolucyjnie, zredukowały do samej informacji genetycznej, do minimum tego materiału biologicznego, który jeszcze może się odtwarzać, zachowując tożsamość?

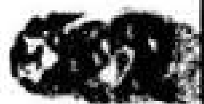
Czy było jeszcze inaczej: wirusy są przetrwałymi do dziś formami struktur chemicznych, z których później wyłoniło się życie, ale które – niezbyt wiadomo, dlaczego akurat one – przetrwały w prawie nie zmienionej formie aż do dziś?

A może było jeszcze zupełnie inaczej: wirusy są trwałymi we Wszechświecie nosicielami „czystej informacji biologicznej", są jakby „latającymi genami", które, natrafiwszy na sprzyjające warunki gdzieś w Kosmosie rozpoczynają tam ewolucję życia? Może są wiecznymi zarodkami życia?

Wszystkie wyżej wymienione hipotezy mają wśród uczonych swoich zwolenników i przeciwników, nietrudno się domyślić, że najwięcej przeciwników ma hipoteza ostatnia... Przypomnę, że odżyła ostatnio w związku z wirusem AIDS, który ujawnił się w dość tajemniczy sposób w latach 80-ych naszego stulecia i od razu zaczął zbierać śmiertelne żniwo. Oczywiście większość specjalistów uważa, iż wirus ten trwał w swoich „niszach ekologicznych" w Afryce z dawien dawna, a dopiero teraz znalazł dobre warunki do podboju reszty świata (bywało tak już nieraz z różnymi epidemiami wirusowymi) – ale, mimo wszystko, trudno nie zastanawiać się: dlaczego akurat teraz? Dlaczego od razu w takiej skali? Dlaczego tak nagle? Wszystkie te pytania (i inne) znalazłyby odpowiedź, gdyby można było dowieść, że w końcu XX wieku na planetę dotarła z kosmosu kolejna chmura „latających genów" i że to właśnie takie inwazje bywały dawniej przyczyną nagłych i straszliwych epidemii pustoszących Ziemię. Na razie jest to tylko hipoteza, dowodów nie ma.

Ale niezależnie od tego, skąd pochodzą, wirusy były zawsze największym wrogiem ludzi. „Wirus to zwiastun zła, opakowany w białko" – powiedział kiedyś słynny biolog brytyjski, Peter Medawar (Nobel '60). W istocie: zapalenie wirusowe wątroby (zakaźna żółtaczka), grypa, świnka, odra, ospa (prawdziwa i wietrzna), choroba Heinego-Medina, wścieklizna, żółta febra, półpasiec, zapalenie opon mózgowych, pewne rodzaje biegunek, liczne nieżyty i zapalne stany różnych narządów – i naturalnie AIDS.

Te same wirusy mogą atakować różne układy naszych organizmów, względnie różne wirusy wywołują takie same objawy. Dopiero w naszych czasach zaczęto podejrzewać wirusy o ścisły związek z nowotworami (zwłaszcza z białaczkami, ale nie tylko), z pewnymi chorobami degeneracyjnymi układu nerwowego (np. straszna choroba Alzheimera) układu mięśniowego, z pewnymi zagadkowymi, zakaźnymi „gorączkami", których nasilenie obserwuje się od niedawna. Owe „gorączki" nazywa się od miejsca ich wybuchu – np. „gorączka z Marburga", „gorączka z Lassy", „gorączka z Sudanu" i inne – na razie wyłącznie lokalne, ale bardzo groźne (śmiertelność 50-90% chorych) i co gorsza, słabo rozpoznane; właściwie nie wiadomo skąd, dlaczego... Pojawiają się w ogóle nieznane dawniej choroby (np. „choroba Kawasaki" w Japonii, febra połączona z krwotokami w Zairze, czy tzw. choroba zielonej małpy w Ugandzie, albo tajemnicza „choroba znad jeziora Tahoe", przypominająca AIDS i jak dziś wiadomo, związana z podobnym wirusem). Nie wdaję się teraz w fascynującą historię badania tych chorób i walki z nimi (niektóre wirusy – sprawcy, zostały już rozpoznane, niektóre różno-objawowe choro-



by mają tę samą przyczynę – jeden rodzaj wirusa) – chodzi mi o pewien wniosek ogólny: oto pojawia się coraz więcej nowych chorób wirusowych, a wiele chorób „starych", nękających ludzi od niepamiętnych czasów, zaczyna się podejrzewać o pochodzenie wirusowe. Wspominałem już o nowotworach; obecnie istnieją hipotezy o wirusowym pochodzeniu przynajmniej pewnej liczby... zawałów serca i – być może – w ogóle arteriosklerozy (jest to hipoteza amerykańskiego kardiologa Davida Spodick'a; w USA arterioskleroza jest przyczyną ogromnej liczby zgonów). Niektórzy sądzą, że wirusy mogą być przyczyną pewnych chorób umysłowych, np. schizofrenii, a także pewnych stanów, nękających dziś ludzi, a uważanych za przejaw nieprzystosowania do nieludzkiej cywilizacji... Na przykład – opisywany od pewnego czasu tzw. syndrom zmęczenia; któż nie walczył nigdy z wszechogarniającym zmęczeniem, zniechęceniem, brakiem energii i nadziei – dzisiaj obserwacje wskazują, że okresowo cierpi na to wielu ludzi, coraz więcej, wśród nich także młodzi i aktywni. Lekarze brytyjscy uznali ów stan stałego zmęczenia za... objaw zakażenia pewnymi wirusami i choroba otrzymała nazwę „postviral fatigue syndrom" (PFS – syndrom zmęczenia, spowodowany wirusami).

Wirusy podejrzewa się także o wywoływanie stanów depresyjnych, ba – nawet mogą być przyczyną chorobliwego lenistwa i być może alkoholizmu (a przynajmniej niektórych jego form).

Byłoby źle, gdybyśmy nagle lenistwo, brak energii, alkoholizm i niechęć do pracy zaczęli usprawiedliwiać wirusami (zatem czynnikami od nas niezależnymi), ale kto wie, czy nie jest na przykład tak: wirusy atakują tych przede wszystkim, którzy chcą się im poddać, są słabi psychicznie, nie walczą z własnymi słabościami... Jest to odrębny temat, wart zastanowienia, teraz pytamy o **drugą wielką tajemnicę wirusów:** jaki jest właściwie charakter związków, łączących wirusy z organizmami wyższymi? Jaki jest związek między „latającymi genami" a naszym genomem? Jaki jest rzeczywisty udział wirusów w naszych schorzeniach, w procesach degeneracyjnych, w starzeniu, w dyskomforcie psychicznym? I wreszcie dlaczego coraz więcej chorób okazuje się efektem działania wirusów? Są to pytania na pozór różne, ale niektórzy uczeni przeczuwają, iż odpowiedź na nie może być jedna i wspólna.

Istnieje hipoteza, że wirusy odgrywają szczególną rolę w ewolucji życia, której podstawą jest genetyczna (dziedziczna) zmienność osobników. Uczono nas w szkole, iż owa zmienność osobnicza jest efektem mutacji w genach. Mutacje zaś (zmiany w DNA) mogą mieć różne przyczyny, ale jedną z tych przyczyn może być... wniesienie do organizmu nowego materiału genetycznego przez wirusy.

Okazało się bowiem, że czasami wirus może wnieść do komórki, którą atakuje, nie tylko własne geny, ale jakby „podczepione", przeniesione z innej komórki geny innego gatunku. Np. wirusy atakujące bakterie (bakteriofagi – pożeracze bakterii) przenoszą pomiędzy tymi drobnoustrojami informacje genetyczną, odpowiedzialną za odporność przeciw antybiotykom. Jeśli antybiotyk nie zabija bakterii chorobotwórczych w naszym organizmie, odpowiedzialne za to są wirusy!

Odnaleziono pewne wirusy zwierzęce, które „niosły w sobie" geny zwierząt; geny te mogą zostać przekazane innym zwierzętom – nowym „żywicielom" tego wirusa. W ten sposób może się odbywać w świecie życia wymiana genów – i takie zjawisko mogłoby odgrywać ogromną rolę w ewolucji gatunków. Mikrobiolodzy z Uniwersytetu w Montrealu – Sorin Sonea i Maurice Panisset napisali na ten temat książkę, która w kołach biologów narobiła ostatnio sporo szumu. Twierdzą w tej książce, że wszystkie bakterie na Ziemi są ze sobą „powiązane wirusami", stanowią jakby olbrzymi „bank genów" dla całej ziemskiej biosfery, a z tego banku korzystają wszystkie organizmy. „Świat bakterii – piszą Sonea i Panisset – działa jak gigantyczna sieć informacyjna, wspierająca życie we wszystkich możliwych zakamarkach naszej planety, dzięki ustanowieniu różnych związków i genetycznej wymiany wszędzie tam, gdzie znajdą się do tego sprzyjające warunki". Mowa jest o bakteriach, ale „przeskoki genów" między nimi byłyby możliwe dzięki wirusom. Zresztą dotyczyłoby to nie tylko bakterii, a wszystkich żywych istot na Ziemi. W 1987 r. w amerykańskim czasopiśmie naukowym „Smithsonian" Fred Hapgood referował hipotezę „że wirusy są częścią wielkiej sieci komunikacyjnej umożliwiającej wszystkim komórkom na naszej planecie prowadzenie szerokiej dyskusji o ich zadaniach i o tym, jak tworzyć możliwie najlepsze rodzaje komórek".

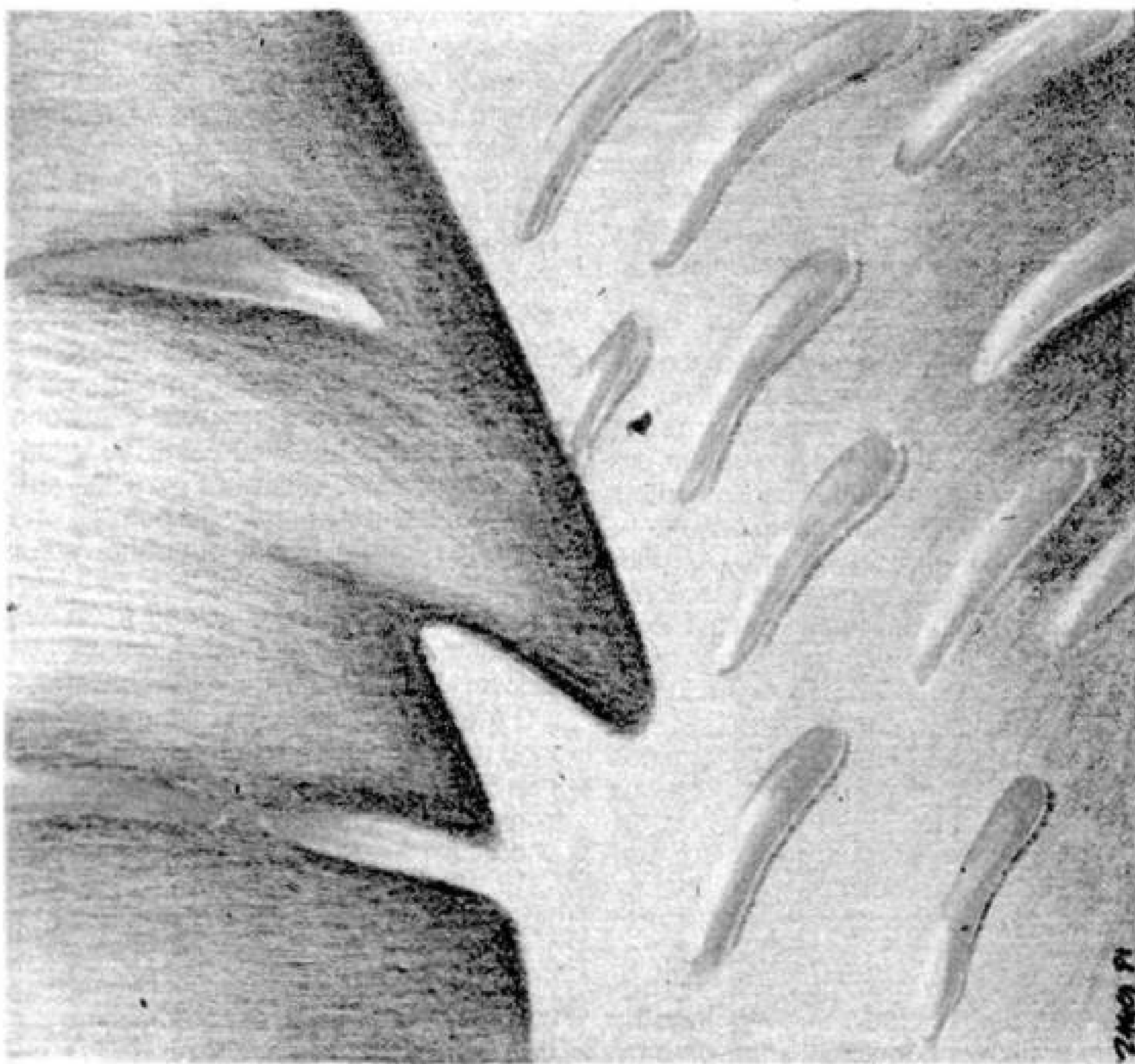
Byłaby to w istocie „wirusowa wymiana informacji" pomiędzy organizmami ziemskimi i niewątpliwie ważny napęd ewolucji. Nie jest to dowiedzione, ale jest bardzo prawdopodobne, ponadto tłumaczyłoby **trzecią wielką tajemnicę, związaną z wirusami,** mianowicie zdumiewający fakt, że komórki wyższych organizmów tak łatwo, aż zbyt ławo wpuszczają do swego wnętrza śmiertelnego wroga. Być może, ewolucyjna korzyść z dopływu świeżych genów jest wyższa, niż straty wynikłe z choroby – ale mimo wszystko, wydaje się, że powinny się wykształcić jakieś zabezpieczenia przed ubocznymi skutkami goszczenia wirusów. Dlaczego się nie wykształciły? Dlaczego szerzą się epidemie, mogące zniszczyć całe populacje? Dlaczego atak wirusa na jakieś komórki organizmu tak często – zbyt często – kończy się śmiercią całego organizmu? Przypomina to działanie na zasadzie „skórka za wyprawkę", a takich zasad ewolucja nie uznaje... Coś w tym musi się jeszcze kryć, o czym nie wiemy.

Inżynieria genetyczna wiąże z wirusami ogromne nadzieje. Właśnie dzięki temu, że komórki wyższych organizmów tak łatwo akceptują wirusy, włączają je do swego aparatu genetycznego, namnażając obce geny – otóż dlatego możliwy jest i taki pomysł: że w białkowe powłoki wirusów „wkłada się" zdrowe ludzkie geny i następnie „rzuca się" te wirusy na podbój komórek, w których te geny zostały uszkodzone. W ten sposób w organizmie człowieka można zastąpić geny z defektem genami zdrowymi! Główna przyczyna wielu ciężkich chorób genetycznych byłaby w ten sposób usunięta i jest to niewątpliwie idealna terapia przyszłości, taki sposób wydaje się bowiem realny, choć dziś byłby jeszcze bardzo trudny do wykonania. Zatem wirusy mogłyby także pełnić rolę dobroczyńców ludzi?

*

Kiedy zastanawiałem się nad „trzema tajemnicami" wirusów i pytaniem, dlaczego zachowują się tak, jakby chciały wygubić ludzi na Ziemi, przyszedł mi do głowy pewien pomysł z gatunku science fiction. Oczywiście, używanie wobec wirusów określeń w rodzaju „zachowują się" lub „jakby chciały" jest niedopuszczalną antropomorfizacją. Lepiej więc powiem ostrożniej: świat wirusów funkcjonuje tak, jakby był zaprogramowany na wygubienie świata ludzi. Otóż właśnie – to sedno mojego pomysłu! Może biosfera – jako pewien ewolucyjnie rozwijający się system, jako całość, ma „wrodzoną" możliwość obrony w razie ostatecznego zagrożenia? Może tym zagrożeniem jest gatunek *Homo sapiens*, ludzie, którzy rozpoczęli od pewnego czasu bezprzykładne niszczenie biosfery, są wobec niej niczym straszliwy nowotwór? Może wirusy są rodzajem „ostatecznej broni" systemu życia na Ziemi? Może wirusy są swoistym „układem odpornościowym" w skali całej biosfery, reagującym na „obce ciała" – na czynniki, które zaczynają zagrażać biosferze? Może ów układ reaguje tym silniej, im zagrożenie jest ostrzejsze? Może wirusy przestaną NAS niszczyć dopiero wtedy, kiedy MY przestaniemy niszczyć sferę życia na planecie?

Hipoteza zbyt fantastyczna (i zbyt ponura), żeby mogła być prawdziwa. Chyba, że...



Marek Zalejski



Krucjata à la Spielberg

Trzeci z kolei film o przygodach archeologa-awanturnika Indiany Jonesa nosi tytuł „Ostatnia krucjata" (ostatnia, ponieważ jest to, jak zarzekają się realizatorzy, finałowy film z tym bohaterem). Ci, którzy z przyjemnością obejrzeli „Poszukiwaczy zaginionej arki" i „Świątynię zagłady" – a nie jest ich mało – westchną z żalem, ale na pewno spodoba im się również trzeci film cyklu. Bowiem, tak jak w poprzednich, dzieje się tu dużo, dzieje się szybko i dobrze się kończy.

Zgodnie z tradycją film rozpoczyna krótka sekwencja wstępna. Tym razem scenarzyści cofnęli się do czasów szkolnych Indy'ego, który już wtedy, jak się okazuje, wykazywał zamiłowanie do archeologii i starał się wciągnąć w tę przygodę, niekiedy niebezpieczną, swoich kolegów skautów. Wstęp wyjaśnia nam również pochodzenie słynnego kapelusza, z którym bohater „Zaginionej arki" nigdy się nie rozstawał. Wprowadza także postać Jonesa Seniora – ojca (w tej roli Sean Connery). Wystarcza jedna scena, żeby przestała nas dziwić ogromna wiedza młodego bądź co bądź naukowca – szkoła, jaką dał mu tatuś wyjaśnia wszystko. Nie dziwi nas także, że panowie nie widzieli się potem przez dwadzieścia lat.

Spotykają się dopiero podczas „Ostatniej krucjaty", kiedy to nastąpi pojednanie rodzinne. Pojednanie w wielkim stylu.

Tak więc po krótkim wstępie przenosimy się do roku 1938. Indiana Jones jest, jak pamiętamy, wykładowcą archeologii na uniwersytecie. Tym razem od jego rutynowych zajęć oderwie go przygoda związana z pasją życiową Jonesa Seniora – poszukiwanie świętego Graala. Poza tym, że przedmiot ten – gdyby naprawdę istniał – byłby wielkim zabytkiem kultury chrześcijańskiej, posiada on również (przynajmniej tak głosi legenda) inną wartość. Kto się z niego napije, będzie żyć wiecznie.

Wydarzenia następują po sobie z ogromną prędkością. Niekiedy ma się wrażenie, że scenarzysta nie dowierzał swoim własnym pomysłom i chciał nadrobić ich jakość ilością. Niepotrzebnie. Prawdą jest, że „Ostatnia krucjata" wykorzystuje wiele wątków i pomysłów znanych z poprzednich filmów cyklu, ale takie jest prawo serialu. Wydaje się, że twórcy nie docenili wzbudzonej u widzów sympatii i momentami trochę przeszarżowali.

W każdym razie akcja toczy się jeszcze szybciej niż w poprzednich filmach. Graalem interesują się także naziści. I z nimi rozegra się gros potyczek, nie pozbawionych zresztą elementów komicznych (spotkanie z Hitlerem, odlot z Berlina itp.). Ale główną batalię Indy będzie musiał stoczyć sam ze sobą.

Bohaterowie przenoszą się z Wenecji do Austrii, potem do Berlina, z którego odlatują ogromnym, cudownym sterowcem (naprawdę, był czas, kiedy zeppeliny służyły do celów komunikacji), ale po drodze będą musieli rzecz jasna zmienić środek transportu – żeby dotrzeć do fikcyjnego państewka gdzieś w okolicach Turcji.

Na ich drodze stają szczury, walące się grobowce (metody archeologa Indiany Jonesa nie należą do najdelikatniejszych), pojedynek powietrzny, uwięzienie w twierdzy będącej jednym z centrów dowodzenia armii hitlerowskiej (wyjątkowo źle zresztą strzeżonym), spotkanie z tajnym bractwem chroniącym Graala i piękna kobieta (w tej roli Irlandka Allison Doody, pierwszy raz na ekranach). Niestety sporo jest też krwi, która leje się znacznie obficiej niż w poprzednich filmach.

Podkolorowanie ekranu na czerwono miało zdaje się służyć urealnieniu sytuacji, ale widzowie akceptują przecież realizm magiczny stworzony dla potrzeb kina (Vittorio Storrato, słynny operator – autor zdjęć do „Czasu Apokalipsy" i „Ostatniego cesarza" – powiedział kiedyś, że film przedstawia rzeczywistość, która nie jest prawdziwa, ale nie jest też kłamstwem).

Pewne niedociągnięcia filmu (albo raczej nadciągnięcia) rekompensują ostatnie sekwencje. Wspomniana już scena walki Indy'ego z samym sobą to najlepsza scena filmu. Udało się w niej połączyć perfekcję techniczną, jedyną niekwestionowaną chyba zdobycz cywilizacji, z tym co niezmienne w kulturze, z mitem i wiarą. I dało to znakomity efekt. Reżyser ani na chwilę nie odrywając się od realizmu potrafi udowodnić, że są rzeczy, których nie da się osiągnąć bez pomocy ducha. Własnego. W dodatku sceny te są bardzo filmowe. I oczywiście zrealizowane bez zarzutu.

Ogromną atrakcją filmów o Indianie Jonesie jest sam odtwórca głównej roli, Harrison Ford. Zjednał on sobie sympatię widzów nie tylko nieugiętą postawą w odnajdowaniu zabytków naszej kultury i cywilizacji, i niekonwencjonalnymi metodami jakie stosuje, żeby je przywrócić społeczeństwu (niekonwencjonalnymi jak na skromnego wykładowcę uniwersyteckiego, bo zachowania takie w niektórych gatunkach filmowych stały się wręcz konwencją), ale także swymi słabostkami i ludzką zdolnością do popełniania błędów.

Zachowanie odpowiednich proporcji między cechami supermana i zwykłego mężczyzny tworzą bardzo pociągającą mieszankę dla widzów obojga płci. Potrzebny jest nam bohater, ale nie może on zbytnio się od nas różnić. W „Ostatniej krucjacie" Fordowi wtóruje w roli ojca Sean Connery. A że w dodatku specjalista od dialogów stanął na wysokości zadania, sceny z udziałem tych dwóch odtwórców stają się największą atrakcją filmu.

Zarówno Harrison Ford jak i Sean Connery należą do aktorów, którzy osiągnąwszy wysoką pozycję zawodową nie pogardzili kinem popularnym. Sean Connery wybił się jako agent 007, a dziś potrafi w krótkim czasie przedzierzgnąć się w policjanta („Nietykalni" Brian De Palma), w mądrego zakonnika Wilhelma z Baskerville („Imię róży" Jean-Jacques Annaud) i wreszcie w seniora Jonesa, sędziwego archeologa, którego jedyną pasją (no, powiedzmy największą) stało się odnalezienie świętego kielicha. Z kolei Harrison Ford, którego nazwisko stało się sławne po „Wojnach gwiezdnych" wraca do roli Indy'ego po serii produkcji z Peterem Weirem („Wybrzeże moskitów", „Świadek") i po roli w filmie Romana Polańskiego „Frantic", w których kreował przecież zupełnie innych bohaterów.

Obok tych dwóch aktorów, w „Ostatniej krucjacie" powrócili również weterani z „Poszukiwaczy zaginionej arki": Denholm Elliot i Michael Byrne.

Reżyserował jak zwykle Steven Spielberg. Produkcja George Lucas. A więc grono stałych współpracowników zebrało się znowu.

Szkoda, że ma to być ostatni film z tej serii. Zwłaszcza że „Ostatnia krucjata" jest znacznie lepsza niż „Świątynia zagłady". Jednak pewną nadzieję fanów Indy'ego może budzić fakt, że udało mu się napić z Graala. Przynajmniej filmowo powinien stać się więc nieśmiertelny. Zobaczymy.

Dorota Malinowska

INDIANA JONES AND THE LAST CRUSADE (Indiana Jones i ostatnia krucjata). Reżyseria: Steven Spielberg. Scenariusz: Jeffrey Boam według opowiadania George'a Lucasa. Zdjęcia: Douglas Slocombe. Muzyka: John Williams. Obsada: Harrison Ford, Sean Connery, Denholm Elliot, Michael Byrne, Allison Doody. USA 1989.

PS. W listopadowym numerze „Fantastyki" na III stronie okładki Wawrzyniec Sawicki informował Państwa o realizacji filmu Petera Fleischmana „Trudno być bogiem" (na podstawie powieści braci Strugackich). Ta ogromna koprodukcja niemiecko-radziecka została już ukończona. Film pokazano na ostatnim festiwalu w Wenecji podczas specjalnych pokazów filmów widowiskowych, mających na celu przedstawienie najnowszych i najciekawszych prądów w kinie komercyjnym.

D.M.

GALERIA



GALA